

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIII.

ROK XI.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień

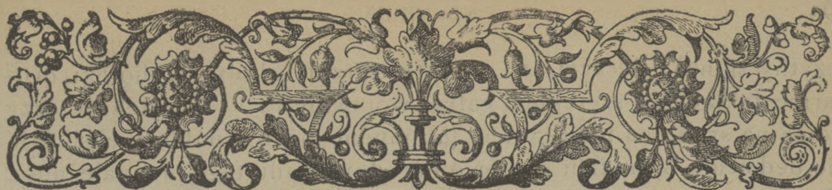
WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Lipca 1886 r.



MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

I. Przymierze braterskie.

W wieku XVII niebo się nie inaczéj aniżeli w wieku naszym nad ziemią rozciągało, nie inaczéj słońce świeciło, nie inaczéj się natura oczom ludzkim przedstawiała; inaczéj jednak przedstawiały się warunki, śród których żyli ludzie, zajmujący w społeczeństwie stanowiska wyższe. Silnie rozwinięty indywidualizm wysoko po nad poziom społeczny wynosił jednostki, poczuwające się bardziéj, aniżeli potentaci doby dzisiejszéj, do „panowania.“ Panowie byli „panami“ w całém wyrazu tego znaczeniu, biorąc twierdzenie, jako ziemia i wszystko co się na niéj znajduje dla człowieka stworzoną jest, na swój wyłącznie rachunek; byli panami — jak ci oto dwaj, którzy przekroczywszy próg komnaty, weszli i jeden obok drugiego zasiedli. Zasiedli w komnacie zapełnionéj księgami przy stole, świadczącym o odbywającéj się przy nim pracy naukowéj. Byli to mężowie poważni, leciwi, mimo że nie starce: jeden liczył lat czterdzieści ośm, drugi czterdzieści dwa wieku — poważni i nacechowani wyrazem téj pewności siebie, którą śmiertelnikom nadają stanowisko społeczne wysokie i majątek wielki. Co do wrażenia, jakie oblicza ich sprawiały, jeden mianowicie szczegół na zaznaczenie zasługuje: zachodziło pomiędzy nimi uderzające rysów podobieństwo. Od pierwszego oka rzutu, poznawało się, że to bracia rodzeni.

Jakoż byli to bracia: Mikołaj i Piotr, potomkowie rodu znakomitego, znanego w dziejach pod nazwiskiem Zrini, w Kroacyi—Zriński. Węgrzy mają ród ów za swój, Kroaci—za swój i stąd pochodzi dwoistość formy, nadawanéj nazwisku. Pierwsi chlubią się Zrinimi, drudzy — Zrińskimi: Mikołajem, co Szigetu bronił i jak bohater sta-

rożytny zginął; Jerzym, co oświatę szerzył, szkoły, biblioteki, drukarnie zakładał, i szeregiem całym wojowników i obywateli, którzy z ojca na syna, na polu takiém lub inném sprawie publicznéj służyli. Nie będziemy wchodzili w spór o narodową rodu tego przynależność. W momencie, do którego się opowiadanie niniejsze odnosi, sprawa narodowościowa nie miała zgoła tego, co obecnie znaczenia. Narodowość ustępowała pierwszeństwa państwu i pozostawała faktem, o który się nikt nie troszczył. Naród odegrywał rolę bezwarunkowo bierną—istniał u spodu, w fundamentach budowli, wzniesionej sztucznie i spojonéj cementem łacińskim. Budowlę tę przykrywała i cechowała korona św. Szczepana — nazwę jéj na zewnątrz nadawały Węgry, które, dzięki zajęciu tronu ich przez monarchów z rodu Habsburgów, znajdowały się, ze względu na historyczne prawa swoje, w położeniu fałszywém. Węgry stały się wraz z Kroacyą przyczepkiem cesarstwa niemieckiego. I źle im z tém było—od chwili zwłaszcza, jak państwo Ottomańskie pomknęło zabory swoje na brzeg lewy Dunaju. Zrińscy uważali siebie za obywateli państwa węgierskiego, za przedstawicieli jednéj ze składowych onego części, która z niém razem doznawała następstw położenia fałszywego, cierpiąc podwójnie: ze strony Niemiec i ze strony najazdów tureckich. Te ostatnie sprowadziły bój, znany w historyi pod nazwą św. Gotarda, który Węgrzy nazywają bitwą pod Koermend (1 lipca 1664). Chrześcianie pod dowództwem generała cesarskiego Montekukuli i bana Kroacyi Mikołaja Zrińskiego — jednego z wymienionych powyżéj dwóch braci — odnieśli zwycięstwo świetne i zupełne. Dla Węgier jednak i Kroacyi nie przyniosło ono rezultatów pomyślnych żadnych, przeciwnie — pokój w Vasvasar zawarty położenie ich pogorszył.

Zejście się dwóch braci w komnacie zamkowéj nastąpiło po zaznaczonych powyżéj wypadkach. W kraju zapanował pokój o tyle przynajmniéj, że wrzawa wojenna ucichła i nad mieszkańcami nie wisiała groza rabunków, gwałtów, pożogi i morderstw, towarzysząca ruchom wojsk walczących. W pokoju mijały miesiące; minęło lato, nastała jesień — jesień pogodna, rozkoszna, taka, jaką zazwyczaj w Kroacyi bywa. Z okien zamku, zwanego Czakowac, w którego komnacie zejście się Mikołaja i Piotra Zrińskich miejsce miało, widzieć się dawały w dali pola i lasy zabarwione w ten sposób, w jaki ziemię barwią październik i listopad.

Zrińscy jeden po drugim próg przekroczyli, i gdy się drzwi za nimi zamknęły, Mikołaj do Piotra z zapytaniem się zwrócił:

— No?... cóż mi powiedzieć masz, żeś tak uroczyście rozmowy ze mną sam na sam zażądał?..

— Chcę—odrzekł zapytany — ażebyś mi postępek swój wytłómaczył.... W zdumienie on wprawił wszystkich, wszyscy jednak tłómaczą sobie takowy oburzeniem, jakiém ciebie, bracie, równie jak każdego człowieka, co ma rozum i serce, przejął pokój vasvasarski... Mnie atoli, znającemu ciebie lepiéj, bliżéj i głębiéj, aniżeli inni, tłómaczenie to nie wystarcza... Pogodzić się nie mogę z myślą, ażeby Zriński dla téj jeno racyi od spraw się publicznych usunął...

Mikołaj przed oknem stał, na mieniące się żółtemi i czerwonemi barwami stoki gór patrzał i w milczeniu słów brata wysłuchał. Wysłuchał, od okna się odwrócił i zrobił brwiami giest, oznaczający, że wezwaniu brata młodszego ulegając, tłómaczyć się chce. Zaczął więc:

— Nie taję, że oburzenie jest pobudką główną.... Zajmowanie się moje sprawami publicznemi w warunkach, w jakich nas król Leopold postawił, było laniem wody do beczki Danaid... Nie mówiąc o czém innéin, gdyby nie ja, armia cesarska nie byłaby pod Koermend zwycięstwa odniosła....; nie byłaby nawet bitwy stoczyła... Jakiż stąd wynik?

Zatrzymał się, chwilkę pomilczał, ręką machnął i ciągnął daléj:

— Wobec faktów takich poczułem to, co czuje żeglarz, gdy burza na okręcie jego żagle podarła i maszty połamała, ale okrętu nie zatopiła... Zapragnąłem portu bezpiecznego i spokojnego, no... i do portum zawinął....

— Dla poustawiania masztów nowych i pozawieszania żagli całych — podchwycił brat młodszy.

— Zrazum nie myślał o tém — odrzekł starszy. Zapragnąłem spokoju mędrca....

Słowom tym towarzyszyło wejrzenie, którém wskazał na zapełnione księgami półki i na rozłożone na stole przybory do pisania.

— Nie bezczynności ale spokoju, który jest dla myśli tém, czém dla pszczoły łąka kwietna.. Zamierzyłem pole pracy zmienić i zostawić po sobie owoce, które by były posiłkiem dla pokoleń....

— Czyżeś owoców takich nie wyhodował już? — zapytał Piotr.

— Hodowlę rozpocząłem — odparł Mikołaj — i prowadziłem ją dorywczo...

— Dobrze jednak — wtrącił Piotr.

— Być może.. Jest-to rękojmia, że prowadzić ją będę doskonale, gdy umysł mój na nią wyłącznie zwrócę, usuwając od niego przeszkody i dystrakcye wszelakie...

Bratu młodszemu twarz rozjaśniła się pół-uśmiechem zadowolnienia, co, gdy zauważył starszy, dodał:

— Będziemy spółzawodniczyli... chyba, iżbyś zapragnął zająć opróżnione przezemnie stanowisko, w razie bowiem takim zerwać byś musiał z syreną Adryatyku...

— To nastąpić nie może — podchwycił Piotr.

— Ażebyś z syreną zerwał? — zapytał Mikołaj.

— Ażebym z nią zerwał dla stanowiska...

— Jeżeli banem zostaniesz...

— Banem ja nie zostanę, musiałbym się bowiem w Wiedniu kłaniać i krytemi drogami dobijać, czego nie uczynię; wiedeńska zaś władza nie ofiaruje mi z natchnienia własnego godności téj, albowiem rada jest temu, że takowa, przez zrzeczenie się dobrowolne, z rąk Zrińskich wyszła... Na tém — dodał tonem półzarzutu — polega błąd postanowienia, jakieś bracie powziął i dokonał... Powziąłeś je *ab irato*... za pośpiesznie może...

Mikołaj rękę wyciągnął i odparł:

— Nie czyń mi zarzutu tego... Nie postąpiłem sobie lekkomyślnie... Patrz jeno...

Wskazał ręką na leżące na stole w skórę oprawne księgi. Piotr się do stołu zbliżył, okładki zwierzchnie ksiąg podnosił i w myśli tytuły czytał: *Joannis Długossi seu Longini, canonici quondam cracoviensis, Historiae polonicae libri XII*; daléj: *Martini Cromeri. De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX*; następnie tegoż autora: *Polonia, sive de situ, populis, moribus, magistratibus et republica regni Poloniae, libri II*: wreszcie R. Heidenszteina: *De bello Moscovitico Commentariorum libri sex.* Przeczytawszy tytuły powyżéj wymienione, Piotr głowę podniósł i na brata spojrzał. W oczach jego świeciło zadziwienie złączone z wyrazem zapytania, jakby dowiedzieć się chciał: co to znaczy? — dla czego Mikołaj z księgozbioru swego wydobył księgi dziejów polskich się tyczące i niemi się zajmuje? — wreszcie dla czego jego (Piotra) uwagę na zajęcie to zwraca? Mikołaj wyraz ten zrozumiał. co było rzeczą łatwą; nie odrazu jednak na zapytanie odpowiedział, jakby chciał, ażeby brat sam się domyślił. Stąd na chwilę dłuższą zapanowało milczenie, w ciągu którego w oczach Piotra potęgował się stopniowo wyraz zapytania. Wreszcie milczenie przerwał Mikołaj.

— Nie to cię zapewne dziwi, żem Kaliopę zamienił na Klio, ale to, żem w towarzystwie jéj udał się do krainy Sarmatów?..

Skinieniem głowy Piotr na zapytanie to odpowiedział twierdząco.

— Zgłębić chcę Sarmatów dzieje — ciągnął Mikołaj — nie bez racyi, wypowiedzenie której poprzedzić muszę oznajmieniem, żem powziął postanowienie napełniania skarbca mego tak, jak go nie na-

pełniał żaden z przodków naszych... Studyowanie dziejów Polski połączę z gromadzeniem złota...

— Masz chyba... — zaczął Piotr i zaciął się, zawahał z wypowiedzeniem myśli, co mu nagle w głowie strzeliła.

— No?—odezwał się Mikołaj z akcentem zachęty.

— Masz chyba na Polskę widoki... zamiary?...

— Mam — była Mikołaja odpowiedź. Powziąłem je stąd (na Heidenszteina palcem wskazał) i uzupełniłem, wglądając w głąb dziejów narodu, któremu tacy, jak ci (wskazał na Długosza i Kromera) pomniki i świadectwa wystawili... Zuchwałym jest zamiar mój... Chcę dokonać tego, dokonaniu czego Stefanowi Batoremu śmierć przedwczesna przeszkodziła... W Polsce tkwi potęga, która należycie zużytkowana, może chrześciaństwu oddać usługi ogromne...

— Potęga ta jednak w czasach ostatnich mocno osłabła — zauważył Piotr.

— Osłabła—odparł Mikołaj—tak; nie w istocie swojéj jednak, ale przez to, że Jan Kazimierz poradzić z nią sobie nie umie, że się nie trzyma wzorów wielkich poprzedników swoich...

Znów pomiędzy braćmi nastąpiło milczenie. Mikołaj zdawało się jakby się namyślał, wahał, jakby doznawał trudności w wymówieniu wyrazów, co mu na języku wisiały. Wreszcie trudność przemógł i milczenie przerwał:

— Czém był Stefan Batory, tém... może... być bym potrafił i ja...

— O! — odezwał się Piotr tonem, w którym zabrzmiało słów tych całkowite potwierdzenie i uznanie. To wątpliwości nie ulega najmniejszéj... byle jeno myśl twoja, bracie, urzeczywistnić się mogła...

— Polska — zaczął Mikołaj — przedstawia się jak córa królewska, młodość i dziewiczość po śmierci każdego monarchy swego odzyskująca... Spółubiegać się o nią, jak o królewnę bajeczną, każdemu synowi królewskiemu i rycerzowi wolno... Zrińscy w rycerstwie nie gorsi od Batorych, od Rakoczych... Staną więc, gdy moment nadejdzie, do spółzawodnictwa moją osobą i moim majątkiem i... los może na mnie padnie... Najwyższy błogosławi zamiarom czystym, a zamiarem moim jest: Polskę podnieść i chrześciaństwo ratować...

— Bracie! — zawołał Piotr w uniesieniu — wielką jest myśl twoja!.. Oby ci Najwyższy w urzeczywistnieniu jéj pobłogosławił!.. Nie można jednak nie zauważyć, że będziesz miał nie małe do usunięcia przeszkody... przeszkody, które w czasach ostatnich spotęgował Rakoczy nieboszczyk...

Była to aluzya do udziału, jaki Jerzy II Rakoczy, który umarł r. 1660, wziął w wojnie szwedzko-kozackiéj przeciwko Polsce.

— Prawda — odrzekł Mikołaj. Słuszną jest uwaga twoja.... Postępek Rakoczego był haniebny i rozumowi wstrętny... Pomiędzy Rakoczemi jednak a Zrińskimi jakiż zachodzi związek?

— Dotychczas żaden—odparł Piotr — ale... Zresztą, gdyby się to widokom twoim sprzeciwiać miało, usunąć można będzie związek, który się nastręcza, a o którym rozmówić się z tobą chciałem...

— Cóż przecie? — zapytał Mikołaj.

— Księżna wdowa obesłała mnie propozycyami, tyczącemi się połączenia węzłem małżeńskim Franciszka z Heleną...

— A? — odezwał się Mikołaj.

— Jak dotychczas, jest-to jeno zapytanie uboczne, które usunąć łatwo, jeżeliby się ono, jak powiadam, zamiarom twoim sprzeciwiało... Bez woli twojéj, bracie, który jesteś głową rodu, propozycyi nie przyjmę żadnéj...

Mikołaj się zamyślił; w zamyśleniu razy parę po komnacie się przeszedł i po chwili tak głośno myślał:

— W sprawach politycznych jakże często działają prawa kontrastów! To, co wedle obrachowań ścisłych przeszkodzić powinno, pomaga nieraz... Tak się stało przy wyborze Batorego, który się ostatni i najskromniéj przedstawił, mając przeciwko sobie Francyą, cesarstwo i ojca świętego, za sobą zaś nic innego, jeno szczerość i prawdę... Tak samo chcę się przedstawić i ja... Niech ci więc — do brata mowę zwrócił — jeżeli do tego przyjść ma, synowica moja z synem najezdcy Polski węzłem małżeńskim skojarzy; nie sprzeciwię się temu; gdy pora nadejdzie, stanę wobec Polaków i powiem: Otom ja wnuk Zrińskiego, co w obronie chrześciaństwa w Szygiecie śmiercią bohaterską zginął, spadkobierca Zrińskiego, który oświatę szerzył, potomek rodu sięgającego początkiem swoim tych czasów, w których poczyna się ród Piastów, potomek rodu Piastom pokrewnego, były ban Kroacyi, zwycięzca z pod Koermend, pan, którego dobra i bogactwa dobrom i bogactwom monarszym się równają, przedstawiam się wam i przyrzekam siebie i wszystko, co mojém jest, na usługi i korzyść Polski i chrześciaństwa oddać.“ Polacy się z łatwością przekonają, żem nieprawdą nie szedł i... uwierzyć mi muszą...

Słowa powyższe mówił, po komnacie chodząc powoli. Zatrzymał się i do brata zwracając, zapytał:

— Rozumiesz teraz, dla czegom się baństwa zrzekł i od spraw publicznych usunął?..

— O, bracie — odpowiedział zapytany. Oby się zamiary twoje jaknajrychléj ziścić mogły!..

Mikołaj dłoń podniósł z giestem protestacyi i odparł:

— Janowi Kazimierzowi śmierci rychłéj nie życzę... Niech żyje do kresu, jaki mu Pan Bóg naznaczył... Życie jego da mi czas przygotowania należytego kandydatury mojéj...

— A tak—podchwycił Piotr— w Polsce stosunki pozawiązywać potrzeba...

— Zapewne... Nie na téj atoli jednéj tylko drodze przygotowywać kandydaturę moję będę, ale oraz i na tej — odrzekł, uderzając pięścią o znajdującą się mu pod ręką księgę.

Piotra wejrzenie wyraziło się akcentem zapytania.

— I na téj—powtórzył. Wezwę ku pomocy Platona, Arystotelesa, Tacyta, Grociusza, Erazma, Długosza, Kromera, Heidenszteina i innych; przy pomocy téj napiszę, czego Polsce brak i czego dla zapełnienia braków jéj potrzeba, jak się ona urządzić powinna i jakim przewodnik jéj powinien być, ażeby z niéj sława i pożytek dla chrześciaństwa urosła; pracę moję wydrukować każę i narodowi polskiemu ją ofiaruję... Autor *Zriniady*, z księgą drogi Polski prostującą. wobec narodu polskiego, jako spółzawodnik do tronu, stanie i zapyta : co mu do zarzucenia jest?.. Polacy porównają go z kandydatami innymi... Jak myślisz?—zapytał—czy źle on na porównaniu wyjdzie?..

— Zachwycasz mnie, bracie! — zawołał Piotr.

— Tłómaczę się i usprawiedliwiam przed tobą...

— Szkoda, że usprawiedliwienia tego głośno objawić nie można... Postępek twój za złe jednogłośnie biorą ci wszyscy przyjaciele nasi; nieprzyjaciele zaś...

— Co? — zapytał Mikołaj.

— Domyślają się.... zamiarów jakicheś ukrytych upatrują... podstęp...

— Co do zamiaru ukrytego, racyą mają; co do podstępu... nie... Nie rozgłaszam przedwcześnie rzeczy, która do skutku nie dojść może najzupełniéj naturalnie... Śmiertelni jesteśmy: umrzeć mogę prędzéj, aniżeli Jan Kazimierz...

— Czyś — zapytał nagle Piotr—pozostawał w czasach ostatnich w jakich z księciem Lobkowiczem stosunkach?

— W żadnych od tygodni kilku...

— Powiadał mi, że ci przesłał ostrzeżenie, ażebyś się na baczności miał...

— Dla czego?..

— Nie powiedział... Znasz go... ostrożny... Przypuszczać można, że zagraża ci niebezpieczeństwo...

— Jakie! — odparł Mikołaj tonem lekceważenia. Montekukuli by mnie — dodał żartobliwie — w gulaszu zjadł; ale nimby się w celu tym do Czakowca przyjść namyślił, upłynie wody i lat tyle, że jego

i mnie nie stanie... Gdyby się zaś namyślił rychléj i nadciągnął, to, dzięki krzepkości murów i wierności załogi, odbić go potrafię...

— Jeżeli niebezpieczeństwo ci zagraża— odrzekł Piotr — to nie ze strony Montekukulego chyba, ale...

— Z czyjéj?..

— Ze wspomnienia o nieboszczyku stryju naszym...

— No i cóż! Stryj był ewangielikiem; my jednak jesteśmy katolikami dobrymi...

— Jezuitów nie zadawalnia katolicyzm nasz...

— Ha! trudna rada... Zadowalnia księdza Marka, zadowalnia sumienia nasze; wyznania się nie zapieramy, obrządki pełnimy: czy tego nie dosyć?..

— Nie dosyć dla tych, co sumienie króla opanowali i natchnęli go polityką: *facere Hungariam captivam, postea mendicam, deinde catholicam*...

— Ja z nimi walczyć nie myślę... do dworu ani zajrzę... Gdy się przekonają, żem się w rzeczy saméj od spraw usunął i nie mieszam się do niczego, zważać na mnie przestaną... Ramię moje uczuć się im da nie pierwéj, aż na tronie polskim zasiądę... Zapomną więc o mnie... Sam się im kiedyś, jeżeli mi Pan Bóg życie przedłuży i zamiarom swoim pobłogosławi, przypomnę...

— Pozwól mi jednę uczynić uwagę—odezwał się Piotr nieśmiało prawie.

— No? — zapytał Mikołaj.

— Czy takie puszczenie siebie w zapomnienie absolutne nie zaszkodzi zamiarom twoim?

— I dlaczegoż-by zaszkodzić miało?

— Ludzie garną się do tego, co znać o sobie daje... Myślę o kandydaturze twojéj, która, gdy się pojawi nagle, zdziwi, ale... na grunt nieuprawiony padnie... Dlatego, zdaniem mojém, nie wypadało by jéj trzymać w tajemnicy absolutnéj... Czy nie mamy na Węgrzech i w Polsce przyjaciół?

Mikołaj znów w zamyśleniu po komnacie chodzić począł. Piotr prawił daléj:

— Wesselenyowie, Nadasdyowie, Nagyowie, Czakowie z nami są ciałem i duszą; Frangopanowie do rodziny naszéj należą; Toekielowie... czy o przyjaźni ich dla Zrinich wątpić wolno? Wszyscy oni mają w Polsce śród panów stosunki i koligacye, których i my pozbawieni nie jesteśmy, które jednak nie przez nas wprost, ale przez nich zużytkować by się dały, celem przysposobienia zawczasu gruntu... Poparcie ich przyda się nam w razie każdym, ale się spotęguje, gdy się im z góry zaufanie okaże... Toć to zainteresować zamiarem

twoim, bracie, i pozyskać dla niego należy nie tylko panów węgierskich i polskich, ale i dwory i zakołatać: do ojca świętego, do rzeczypospolitéj weneckiéj, do króla francuskiego, do księcia siedmiogrodzkiego, do Danii, do Szwecyi... do sułtana może...

— I wywołać a rozbudzić przeciwdziałanie...

— Nie...—odparł Piotr. Gdy się pole orze, nie powiada się roli, jakim będzie ona rodzajem ziarna zasiana...

— Hm?..—mruknął Mikołaj. Słuszną jest uwaga twoja... Mają mnie, jak wiesz, łaskawi odwiedzić gromadnie: skorzystamy z tego i poradzimy się...

— Tymczasem, co do porady saméj, zasięgnąć by można zdania księdza Marka... Na zdaniu jego i na nim polegać można...

— O! jaknajzupełniéj...—odparł Mikołaj.

— Możeś mu zamiar wyjaśnił już?..

— Nie jeszcze... Chciałem przedewszystkiém pomówić z tobą, spodziewając się, że ty najpierwszy do tłumaczenia mnie za usunięcie się od spraw publicznych pociągniesz... Ludzie wiedzą, że jesteśmy braćmi wedle ciała i wedle ducha, że stanowimy w dwóch osobach istotę jednę, że lutnia piewcy „Zriniady“ i piewcy „Syreny morza Jadrańskiego“ nastrojone są na ton jednakowy... Co jeden mówi po madiarsku, na to drugi odpowiada po kroacku... Rozumimy się i kochamy i dla tego chodziło mi o to, ażebyś pomiędzy śmiertelnikami o zamiarze moim, zastąpienia działalności pod egidą niemiecką działalnością niepodległą na czele narodu walecznego, wiedział najpierwszy... Nim zamiar mój dojrzeje i urzeczywistni się, umrzéć mogę.. Maż on wraz ze śmiercią moją zginąć?.. Któż go podjąć i do skutku lepiéj doprowadzić zdoła, jeżeli nie ty?..

Wyciągnął do brata dłoń; Piotr się naprzód podał, pochylił się i w objęcia braterskie się pogarnął. Uścisnęli się uściskiem braterskim, długim a serdecznym, który był niejako pieczęcią, odciśniętą na traktacie przymierza, spisanym nie na papierze, ani na pargaminie, ale w sercach ich. Kiedy się ramiona ich rozwarły, oczy jednego i oczy drugiego wilgotne były od łez.

II. **Hrabianka Helena.**

Komnata, w któréj bracia *Zrińscy* pomiędzy sobą przymierze zawarli, stanowiła część składową zamku, będącego ze strony swojéj częścią składową warowni, zwanéj Czakowac. Na mapach znajduje się ona pod nazwą Csakathurn, albo Tschakathurn, albo Csaktornya. Węgrzy ją madziaryzują dla tego, że leży na zewnątrz oficyalnych

Kroacyi granic, na północ od takowych, w oddaleniu nie przenoszącém mil gieograficznych czterech. Od granicy oddziela ją rzeka Drawa, przepływająca tak blisko, że ją widać z wyżyn czakowackich. Czakowac jednak nie ku Drawie, ale ku Murze cięży, rozsiadł się bowiem nad jednym z prawobrzeżnych téj ostatniéj dopływów biegnącym z ukosa od zachodu ku wschodowi i przecinającym w poprzek prawie widła, które daléj nieco na wschód tworzą zlewające się w koryto jedno Drawa i Mura. Gdzie się rzeki te schodzą, tam leży Legrad. Obecnie przez Czakowac a nieopodal od Legradu przechodzi droga żelazna, znamionująca przemysłowy i handlowy ruch. W wieku XVII miejscowości te łączyła komunikacya wojenna; stanowiły one punkty obronne, odpowiadające stanowiskom zaczepnym tureckim, zagrażającym Kroacyi z Kanisy. W Kanisie rezydował pasza, odbierający rozkazy od wezyra, który podbitemi przez Turków Węgrami zarządzał z Budy. Czakowac, własność Zrińskich,ześrodkowywał w sobie sposoby i zasoby obronne. Gród otaczały rowy i mury; zamek wznosił się na wyżynie i jeżył zębami, biegnącemi wierzchem ścian i wieńczącemi baszty krągłe, z których, ze strzelnic, wyglądały paszcze dział. Na basztach strażnicy we dnie i w nocy wartę trzymali, a na jednéj z nich, nad inne wyżéj za górą wystrzelającéj, po środku wbity i słomianemi smołą napojonemi przewiąslami z dołu do wierzchu obmotany słup służył do dawania ludności znać o przekroczeniu przez nieprzyjaciela rzeką Murą zaznaczonéj granicy. Z baszty téj widok rozlegał się szeroko. Gdy się stanęło obliczem ku wschodowi, oko na prawo i na lewo chwytało raz się pokazujące, znów znikające, a wężowemi skrętami wijące się Drawę i Murę, naprost zaś sięgało bielejących murów Legradu. W stronie téj ciągnęły się płaszczyzny, które się na lewo, wzdłuż Mury, rozlewały w podmakające jesienią i na wiosnę trzęsawiska. Ku zachodowi widok przedstawiał się inaczéj. W dali siniały góry i góry te, zachodnie Alp styryjskich odskoki, wysyłały ku ujściu Mury garby, które się załamując i rozlicznie kombinując, wytwarzały w obec Czakowca krajobrazy malownicze. Krajobrazy te w dwóch zwłaszcza dnia porach—rano i nad wieczorem—wdziękami jaśniały. Kiedy słońce wschodziło, ożywiały się i uśmiechały; kiedy zachodziło, powlekał je półcień tajemniczy, zagadkowy a uroczy.

Na baszcie téj, w momencie kiedy się słońce ku zachodowi chyliło a Zrińscy, Mikołaj i Piotr, w komnacie osobnéj o sprawach ważnych konferowali, na warcie stał młody, na lat dwadzieścia pięć najwyżéj wyglądający człowiek, odziany w barwy grafów Zrińskich i uzbrojony w zawieszony na bandolerze u boku miecz krótki i w halabardę, którą w ręku trzymał. Wedle odzieży, zwłaszcza zaś wedle

miny sądząc, poznać w nim było można żołnierza, zajmującego wyższe anizeli szeregowca prostego stanowisko. Posterunek, jaki zajmował, wymagał dozoru pilniejszego i dla tego powierzany był oficerom, którzy w czasie owym inaczéj się, aniżeli dziś, klasyfikowali. Oficerem uważał się ten, co miał pod sobą ludzi dziesięciu i ten co przewodniczył setni; kapitan odegrywał rolę wodza i zajmował niekiedy stanowisko pułkownika. Kapitan albo kapetan (od *caput*—głowa) odpowiadał analogicznie godności paszy, którego tytuł jest pochodzenia tegoż samego (*pasz-basz*-głowa). Wartownik, o którym mowa, nie należał do téj kategoryi wysokiéj. Był to jednak oficer, który w czasach naszych, luboć „subalterny," nie byłby na warcie stawiany.

Miejsce na którém się znajdował, przedstawiało się pod postacią platformy lekko wypukłéj, murowanéj i krągłéj. Na środku sterczał słup sygnałowy. W okół wznosiła się ściana gruba, krenelowana. Wzdłuż ściany biegł rowek, służący do ścieku w czasie deszczu wody, która spływała do otworu i przez otwór ów na zewnątrz rzucała się kaskadą. Inny otwór, okutą zasuwą nakrywany, służył do wchodzenia na platformę i do schodzenia z takowéj za pomocą schodów kręconych, idących przez cztery piętra, z których na każdém znajdowała się izba, oświecona światłem, wciskającém się przez poprzebijane jedna obok drugiéj strzelnice. Dzięki zębom na wierzchu i strzelnicom na piętrach, baszta w razie potrzeby pięcioma szeregami ogniem kolistym zionąć mogła.

Wartownik, halabardę na ramieniu trzymając, przechadzał się krokiem powolnym wzdłuż ściany—co sprawiało, że chodził w kółko. Od czasu do czasu zatrzymywał się przed luką tą i ową, okiem przez chwilkę po płaszczyźnie lub po górach powodził i zwykle zwracał się w stronę przeciwną. Raz chodził lewem, znów prawem do ściany ramieniem. Z dołu patrząc, w lukach pokazywała się postać jego i połyskiwała halabarda w odstępach regularnych. Chodząc nucił a nucąc, przerywał sobie i ruchy zmieniał; niekiedy zamilkał, zamyślał się i miał minę taką, jak poeta „z poematem w głowie." Do koła szeroko panowała cisza, przerywana świegotaniem wróbli lub krakaniem wrony. W momentach zatrzymywania się w chodzeniu uwaga jego zwracała się nie na widoki, co się w krajobrazach rozwijały, ale na stado szpaków, które, niby obłoczek czarny, słaniało się szybko w powietrzu, tworząc figury rozmaite. Zajmowało go widowisko to, oczami śledził zwoje i skręty ptasie, które się to od baszty oddalały i na horyzoncie nikły, to się do takowéj zbliżały. W momencie pewnym stado szpacze tak się zbliżyło, że szum onego słyszéć się dał. Zaszumiało, jakby wichrem gnane przeleciało i wzię-

ło kierunek taki, jakby mimo baszty na podwórzec zamkowy wpadło. Wartownik kroku przyśpieszył celem przeświadczenia się, azali w rzeczy samej szpaki na podwórze wleciały, podszedł do zwróconej ku zamkowi ścianie, przez lukę krenelową na zewnątrz głowę wychylił i—szpaków nie zobaczył. Głowy jednak nie cofnął. Zafrapowało go widowisko inne, bardziej zajmujące i ponętniejsze. Przez środek podwórca szło ludzi dwoje—on i ona. Widowiska rodzaju tego zawsze mają dla ludzi młodych pociąg, który w razie tym potęgował się przez to, że ona przedstawiała się pod postacią wyszłego świeżo z lat dziecinnych dziewczęcia ozdobionego nie młodością jeno, ale oraz i krasą. Była to smukła, kształtna, urokami z dołu do góry owiana panna. Ze szczytu baszty wartownik widział ją w postawie, która się w języku malarskim nazywa skróceniem. W oczy rzucały mu się przedewszystkiem jej ciemnopłowe warkocze, połyskujące odblaskiem metalicznym i jej ramiona, przysłonięte narzutką siatkową, przez którą przebijało się ciało gorsu bogato rozwiniętego. Szła przodem, za nią podążał człek wzrostu słusznego, na którego głowie, siwiejącym włosem okrytej, połyskiwała szeroka tonsura i którego postać okrywał habit zakonu ś-tego Augustyna. Na tego ostatniego młody człowiek nie zważał. Uwagę jego postać dziewicza pochłaniała całkowicie. Przypatrywał się jej z zajęciem. Zajęcie wszakże niebawem zmieniło się w zdziwienie, gdy zmiarkował, że para ta ku wnijściu do baszty zmierza. Przez lukę się mocniej wychylił i patrzył. Panna się przed wnijściem zatrzymała, słów kilka, ręką zlekka giestykulując, do zakonnika przemówiła i do drzwi wkroczyła. Wartownik od luki się oderwał, wyprostował się, odzież swoję wejrzeniem obrzucił, przylgniętą do niej od muru nieczystość palcami na odlew strzepnął, bandolier na sobie poprawił i, halabardę na ramie wziąwszy, począł dalej powoli chodzić. Chodził i wzrok zwrócony trzymał nie na okolicy, skąd spodziewać się można było najścia Turków, ale na otworze, który z wnętrza baszty wyprowadzał na platformę. I stąd się najścia spodziewał.

Ściśle rzecz biorąc, na stanowisko to wkraczać prawa nie miał kto inny, jak patrole, ronty i wodzowie, a do tych nie należeli: mnich augustynianin i panna. Wartownik jednak znał ich. Nie wchodzili, oni do kategoryi wodzów, nie mniej przeto posiadali prawa zaprzeczeniu nie podlegające, w obec których miękły i w niwecz się obracały przepisy regulaminu wojskowego. Któż by z największych kodeksu służbowego rygorystów zaprzeczyć mógł w zamku czakowackim prawa wkroczenia na posterunek Helenie hrabiance Zrińskiej, córce Piotra, synowicy Mikołaja? Prawa tego zaprzeczyć by można mnichowi; ten atoli, idąc wraz z hrabianką, znajdował się pod osłoną

przysługującéj jéj prerogatywy. Wartownik jednak wahał się, azali ma lub nie, osoby najście czyniące zatrzymać w otworze po niemiecku brzmiącym okrzykiem służbowym:

— Stój!.. kto idzie?..

Wahał się, nie wiedział co począć, zdecydował się wreszcie na uczynienie przepisom zadość; lecz mu wyrazy na ustach zamarły, gdy z otworu wysunęła się głowa, za głową ramiona, za ramionami biust, stan, kibić i postać cała, która się wynurzała z głębi kamiennéj i sprawiała wrażenie takie, jakby z obłoku wychodziła. Pod wpływem bijących od postaci jéj uroków kamienie istotę zmieniały. Tak z piany morskiéj Afrodyta wynurzać się musiała. Hrabiance okoliczność ta, że miała na sobie odzież, wdzięków nie ujmowała. Wykazywały się one stopniowo oczom wartownika, którego w oniemienie wprawiły tém zapewne, że w chwili kiedy on do wygłoszenia okrzyku regulaminowego usta otwierał, w chwili téj w oczy jego weszły dwa prądy promienne z oczów hrabianki. Zamiast przeto wydania okrzyku, halabardę z ramienia spuścił, zwrócił się do dziewczyny frontem, broń do nogi wziął, wyprostował się i oniemiał. Gdyby hrabianka nie była taką piękną, byłby prawa nie przekroczył.

Ona mu w oczy spojrzała i wyszła, a wyszedłszy, ku otworowi się zwróciła i głosem, który srebrzyście zadzwonił, w głąb zawołała:

— Ojcze wielebny!.. gdzie wy?..

Z głębi słyszéć się dała odpowiedź, ale niewyraźna jakaś. Dziewczyna znów zawołała:

— Ciężko wam?.. Spocznijcie sobie!..

Odwróciła się i na żołnierza przelotne rzuciwszy wejrzenie, powiodła do koła oczami, jakby czegoś szukała. Po chwili poszła, w stronę, z któréj widok na płaszczyznę wybiegał—co ją od żołnierza na całą platformy szerokość oddaliło, zatrzymała się przy jednéj z luk i rozpatrywać się w dali poczęła.

Po niejakimś czasie z głębi odezwało się postękiwanie, które, zrazu głuche, stawało się coraz to wyraźniejsze. Następnie postękiwaniu zawtórowało sapanie.

— Oh... uh... uf!..

Żołnierz odchrząknął, jak czyni człowiek, co się do odezwania zabiera. W chwili téj z otworu wynurzyła się tonsurą połyskująca głowa siwa i, jak skoro się po nad platformą ukazała, wnet zabrzmiał z ust wartownika donośnie a z naciskiem rzucony okrzyk:

— Stój!.. kto idzie?..

Żołnierz krok naprzód postąpił, halabardę pochylił i ku głowie siwéj ostrzem ją zwrócił. Głowa się znieruchomiła i niezwłocznie

obok niéj pojawiła się postać hrabianki, która zdziwiona z wyrazem zapytania oczy w żołnierza utkwiwszy, odezwała się:

— Co to znaczy?..

Żołnierz wyprostował się i halabardę do nogi ściągnął.

Hrabianka na niego przez chwilkę popatrzywszy, do zakonnika przemówiła:

— Chodźcie, ojcze wielebny...

— Hm... czy wolno?..—zapytał tenże.

Helena zapytanie to wejrzeniem żołnierzowi powtórzyła i otrzymała od niego odpowiedź taką, jaką posągi dają. Niby wkopany stał i ani mrugnął.

— Czemuż by—rzekła po chwilce—miało być nie wolno wam, jeżeli wolno mnie?... Chodźcie, ojcze...

— Hm?.. racya...—odparł zakonnik. Radbym wszelako wiedziéć, co o tém myśli pan wojak, któremu chwali się pełnienie powinności...

Wojak się nie odzywał.

— Powinność ta tyczy się snadź—zaczęła hrabianka—takich jeno, których o złe zamiary podejrzywać można... Jakież złe zamiary wy żywić możecie?.. Wy i ja przychodzimy tu w celu oglądania okolicy czakowackiéj przy zachodzie słońca...

— Wolno?..—zapytał mnich żołnierza, zapytanie skinieniem głowy i brwi akcentując.

Żołnierz odpowiedzi nie dał.

— Kto milczy przyzwala...—rzekł augustynianin i wznosić się począł po nad otwór.

Wkrótce wynurzył się całkowicie.

— Ah!..—westchnął i dodał:—O toż schody!..

— Jam się nie znużyła zgoła...—odparła hrabianka.

— Byłbym się nie znużył i ja, gdybym miał lata wasze, dostojna panno.. Lata ciężarem są... Rzekłszy to, zapytał:—Cóż stąd widać?..

— Chodźcie...

Poszła przodem do luki, przy któréj stała poprzednio i, gdy obok niéj zakonnik stanął, zaczęła, palcem pokazując:

— Zieleń, niby morze... fal jeno i szumu brak, ale za to pokazują się na niéj przedmioty, które widok urozmaicają i ożywiają... Patrzcie tam; widzicie?..

— Smugi białe... — odrzekł mnich po chwili wpatrywania się w dal.

— A tam?..—zapytała, w prawo pokazując.

— Toż samo...

— To Legrad a to Warasdin... Szukajcież teraz smugów błyszczących, co się śród zieleni przewijają...

Mnich czas jakiś oczami powodził i odrzekł:

— Nie widzę...

— A jam dopatrzyła od razu...

— Co oczy wasze, to nie moje...

— Wzrok wasz jednak dojrzał smugi białe...

— Dla tego, że białe... Biały kolor widzi się najdaléj...

— Czemu?..—zapytała hrabianka.

— Jest to kolor niewinności...

— Niewinność przeto pokazuje się zdaleka?..

— W sposób ten ludziom się zaleca...

Hrabianka tłómaczenie to do wiadomości przyjęła i znów zakonnika do odnalezienia smug jasnych wezwała. Zakonnik jednak nadaremnie wzrok powtórnie wytężał. Smug nie widział ani na prawo, ani na lewo, zasłaniało je sitowie z jednéj a oddalenie z drugiéj strony i trzeba było wzroku bystrego, ażeby odróżnić śród barw jesiennych paski sinawe oznaczające wodę.

— Ja przecie widzę.. widzę wyraźnie...—mówila hrabianka. Oto Drawa, a to Mura... Mimo jednak, że smug tych nie widzicie, nie prawdaż, ojcze, że natura w stronie téj przedstawia się pięknie?..

— Wszędzie się ona przedstawia pięknie, wszędzie bowiem wyobraża wielkość Stwórcy...

— O tak... Stwórca jednak wielkość swoję odziewa rozmaicie, tu tak, owdzie inaczéj i widoki jéj rozmaicie budzą u nas upodobanie...

— Prawda...—odrzekł zakonnik z akcentem uznania dla słów, które w ustach dziewczyny tak młodéj świadczyły o dojrzałości umysłu.

— Jak oto tu, naprzykład..—ciągnęła. W stronie téj przedstawia się nam obszar i oko sięga najdalszych horyzontu granic... A chodźcie, ojcze, tam...

Odwróciła się i poprowadziła zakonnika ku ścianie przeciwnéj, do luki, obok któréj wartownik z halabardą u nogi stał.

— Patrzcie jeno... Inny świat: góry, lasy, skały... tam piękność inna, tu inna, a jedna i druga tajemnicza... Tajemniczość nas pociąga...

— Ciekawość...—wtrącił zakonnik tonem upomnienia.

— Niewinna...—odparła hrabianka. Nie pytam, co i jak jest.. to rzecz boża; ale, patrząc na te góry i lasy, co zdaje się, jakby drzémały, domyślam się, że za osłoną ich ukrywa się coś, co bym widzieć rada...

— Ukrywa się zwierz wszelaki w legowiskach, wiewiórki w dziuplach, ptastwo rozliczne na gałęziach...

— Nie to tylko... W odgłosach, jakie nas z głębi lasów dochodzą, słyszymy takie, których nie wydają ani zwierzęta czworonożne, ani ptaki, które się odzywają, kiedy wiatr nie szumi, a kiedy szumi, to raz mu przewodniczą, znów wtorują... Kto głosy te wydaje?..

— Hm?..—odparł zakonnik. Czy głosy te nie są złudzeniem?..

— Złudzeniem...—podchwyciła—może... nie wiem... Złudzenie to atoli powtarza się od tak dawna, tak często i dotyka ludzi tak dużo, że w złudzeniu samém coś prawdziwego być musi... Dziś przecie, ojcze, czytaliśmy o nimfach leśnych i wodnych, o dryjadach i najadach, o syrenach...

— Wymysły poetyczne...—odrzekł zakonnik.

— Zapewne... ale w części może... Poeci nie wymyślali sami... O istotach tych dowiedzieli się od innych, ci zaś inni: czyż wszyscy poetami byli?.. Sam mnie nauczałeś, ojcze, że w starożytności ludzie więcéj i lepiéj, aniżeli w obecnych zepsutych czasach, widzieli i słyszeli...

— Widzieli i słyszeli, co Najwyższy im widziéć i słyszéć pozwalał...

— Przypuszczać więc się godzi, że nie zabraniał oglądać istot, o których nam starożytni wiadomość podali a które my przeczuciem naszém zeznajemy... Ojciec mój nie mógł by pieśni swoich pod natchnieniem syreny morza Adryatyckiego ułożyć, gdyby podanéj mu przez starożytnych za istniejącą syreny przeczuciem własném nie uznawał...

— Są to—odparł zakonnik—podania pogańskie...

— Tłómaczyłeś mi to, ojcze, gdyśmy Eneidę czytali... Wierzę temu, że są to podania pogańskie...

— Które kościół odrzuca...—wtrącił,

— I słusznie ..—ciągnęła daléj;—zdaje mi się jednak, że odrzuca dla tego, ażeby istotom, o których mówimy, czci Bogu i wybrańcom jego należnéj nie oddawać... Po za to odrzucanie nie idzie i zostawia nam swobodę domyślania się przynajmniéj, że tam—na widniejące a cieniem nadwieczornym przysłonięte lasy palcem wskazała—zamieszkują istoty, nie będące ani aniołami, ani ludźmi, zagadkowe, piękne, nieszkodliwe, przy blasku księżyca ukazujące się śmiertelnikom niekiedy i obdarzone przymiotami, których ludzi nie posiadają..,

— Złudzenie... złudzenie...—odrzekł zakonnik.

— Złudzenie, z którém się rozstawać żal .. Przypuszczać jednak można, że istoty takie istnieją...

— Nie istnieją...

— Wila...—odezwał się niespodzianie głos z boku.

Zakonnik i hrabianka zwrócili się razem ku wartownikowi, który, obok nich stojąc, rozmowę ich całą słyszał, ale udziału w niéj nie brał. Na raz—odezwał się i, odetchnąwszy, dodał co następuje:

— Wila mieszka na górach w lasach: widział ją człowiek nie jeden...

— Wila?..—zapytała hrabianka.

— Piękna jest, nieszkodliwa, pomocna nawet: gdyby nie ona, nie stało by już plemienia naszego...

— Tyś jéj jednak nie oglądał...—rzekł zakonnik.

— Nie oglądałem jéj, alem ją słyszał...

— Gdzie i kiedy?..—podchwyciła hrabianka.

— Kiedy mnie po rozprawie slunskiéj graf Piotr wysłał, ażebym języka dostał, zabłąkałem się w górach i nie wiedziałem, w którą się zwrócić stronę... Ze szczytu góry do uszu moich doszło wołanie: w prawo!.. Wołanie to słyszałem ja i huzary, co ze mną byli... Poprowadziłem ich w prawo, wyszliśmy szczęśliwie, językaśmy dostali i za powrotem moim graf poszedł z nami za Turkami w pogoń: zabiliśmy Turków dwie seciny, wzięliśmy stu czterech w niewolę i zdobyliśmy pięć bajraków tureckich... Gdyby nie wila, byłbym ja z huzarami przepadł i graf by nic o nieprzyjacielu nie wiedział... Słyszałem ją, alem jéj nie widział...

Opowiadania żołnierza hrabianka wysłuchała z zajęciem żywém; gdy skończył, jeszcze słuchała i w milczeniu, powoli, podniosła na niego oczy, z których na żołnierza spłynęło wejrzenie pełne słodyczy i wdzięcznośei. W chwilkę późniéj zabrzmiały w ustach jéj wyrazy:

— Aleś nie widział...

— Nie widziałem...—odrzekł.

— A znasz takich, co widzieli?..

— O... znam... Widział ojciec mój rodzony...

— Jakże to było?..

— Kiedy ojciec mój z Ozalii do Seni wracał, wypadło mu za Ogulinem w górach Kapelskich nocować... Na noc stanął, ognisko rozłożył i przy ognisku do snu legł... Około północy obudził się... patrzy, przy ognisku ktoś siedzi... Kto?.. niewiasta jakaś... Ojciec się podniósł; niewiasta wstała i powoli, nie oglądając się, w las odeszła... Miała na sobie długie, białe szaty, a od niéj tak jaśniało, że, kiedy się śród drzew ukryła, zdawało się, jakby kto z pochodnią w las się zagłębiał... Ojciec mój widział to na oczy własne...

— Gdzież ojciec twój mieszka?...

— Oh...—odrzekł z westchnieniem—mieszka on teraz pod murawą zieloną...

— Nie żyje już?..

— Pod Ottoką, pod grafem Piotrem zginął...

— Czy nie Boguliewicz?..—zapytała.

— Nie... Wuk Jowanowicz...

— A...—odezwała się, z wyrazem przychylności w oczach na młodego człowieka patrząc. Był to wojak waleczny... dużom o nim słyszała...

Żołnierzowi powtórne z piersi wydarło się westchnienie. Westchnął, naprzód się nieco pochylił i odchrząknął.

Hrabianka zabierała się do zadania mu pytania jakiegoś nowego, gdy z głębi podwórca zamkowego słyszeć się dało wołanie gromkie.

— Ojcze Marku!.. a! ojcze Marku!..

Zakonnik, gdy mu się wołanie to po raz pierwszy o słuch obiło, brwi sfałdował i ucho nastawił; za drugim razem do luki się zbliżył, wychylił się i głośno zawołał:

— Otom ja!.. A co tam?..

— Najdostojniejszy ban wzywa wielebność waszą!.. zabrzmiała w dole odpowiedź.

— Dokąd?..

— Do książnicy!..

— Wnet idę!..—odpowiedział.

— Idziemy...—rzekła hrabianka z lekkim niechęci odcieniem, nie w porę bowiem przychodziło wezwanie, odrywające ją od materyi, która w niéj budziła zajęcie żywe.

Rady jednak nie było. Z żołnierzem sam na sam pozostawać nie mogła.

III. **Dwie hrabiny.**

Ksiądz Marek, którego nazwisko rodowe było Forstal, pełnił ważną na dworze Zrińskich funkcyą: kapelana, nauczyciela i sekretarza. Ta ostatnia nie miała charakteru oficyalnego. Sekretarstwo pozostawało w ręku kogo innego i kto inny zawiadował zwyczajną przychodzącą i odchodzącą korespondencyą; ojciec Marek zaś wzywany był w razach takich jeno, gdy się nadarzała sprawa, wymagająca tajemnicy. Tajemnica bywała dwojaka. Jedna pochodziła bądź z nakazu, bądź z polecenia rządu wiedeńskiego i tyczyła się stosunków, powierzanych w imieniu cesarza dostojnikom, zajmującym sta-

nowiska, które wprowadzały ich w styczność z władzami państw zagranicznych. Stanowisko takie właśnie zajmował ban Kroacyi. Drugi rodzaj tajemnicy odnosił się do własnéj dostojnika osoby i bywał ważniejszy lub mniéj ważny, stosownie do tego, co ta osoba sama przez się znaczyła. Taki Zriński, mimo że bańswa się zrzekł, znaczenia wysokiego nie postradał i tajemnice osobiste jego posiadały wagę, któréj lekceważyć nie wypadało. Do osłaniania takowych używano cyfr, znanych jeno powiernikom takim, przed którymi nic do ukrywania nie było. Do tajemnic tego rodzaju w wieku owym służyli księża, po największéj części zakonnicy. Jedni krążyli po Europie w charakterze posłów sekretnych, obarczonych misyą delikatną, drudzy, przywiązani do osobistości wysoko postawionych, byli depozytaryuszami uczuć, myśli, widoków, zamiarów i cyfr.

Nauczycielstwo księdza Marka zwracało się do pokolenia młodego i obejmowało dwóch chłopców i dziewczynę: syna Mikołaja, syna Piotra i tego ostatniego córkę starszą, hrabiankę Helenę, która starsza od swego stryjecznego i rodzonego brata, odznaczała się pojętnością i ciekawością, a także skłonnościami nie koniecznie płci jéj odpowiedniemi. Uczyła się wszystkiego, co do zakresu edukacyi męskiéj wchodziło, języków starożytnych, retoryki, matematyki, historyi i w historyi, np. zajmowały ją najbardziéj wojny. Czytała Eneidę i na pamięć umiała te ustępy, w których poeta opiewał boje; czytała Plutarcha i marzyła o bohaterach, co się na polu walk za ojczyznę wsławili. Pojęcie „ojczyzna“ miało dla niéj urok szczególny. Ksiądz miał z nią kłopot z téj racyi, że na polu nauki przodem wybiegała tak, że nietylko braci wyprzedzała, ale nauczyciel doznawał w podążaniu za nią trudności. Trudność potęgował poetyczny ducha jéj nastrój. Wiadomości, jakie z ksiąg czerpała i jakich jéj ksiądz udzielał, przerabiała w umyśle swoim na poematy, które stosowała do ziemi rodzinnéj, do narodu, do położenia w jakiém się Węgry i Kroacya znajdowały, do bohaterskich postaci przodków, do bohaterów stryja i ojca, którzy zasłynęli jako rycerze i jako poeci — poeci narodowi, jeden węgierski, drugi kroacki. Helena *Zriniadę*, utwór stryja, i tęż samę Zriniadę w tłómaczeniu ojcowskiém na język kroacki, równie jak utwory tego ostatniego oryginalne, jak np. *Syrena morza Adryatyckiego*, na pamięć umiała. Ksiądz na drodze téj podążał za nią; nie zawsze jednak podążyć zdołał.

Wezwanie księdza, podczas kiedy on z hrabianką ze szczytu baszty widokom się przypatrywał, nie zdziwiło ani jego, ani hrabianki. Hrabiance sprawiło ono przykrość niemałą. Nie było jednak rady. Ruszyła przodem. Zakonnik spuścił się za nią. Znikli we wnętrzu baszty i po chwili oboje wynurzyli się na podwórzu, na którém

z góry postać dziewczyny odprowadziły do samego na ganek wnijścia oczy wartownika. Podbiła serce żołnierza.

W sieniach zatrzymała się.

— Co za szkoda—do zakonnika rzekła—żeśmy na baszcie dłużéj pozostać nie mogli...

— Widzieliśmy, co do widzenia było...

— Może by nam się wila była pokazała...

— Ja w wile nie wierzę...

— Ale ja wierzę — rzekła półżartem. Wiara zaś, jak napisano, góry z miejsca na miejsce przenosi, a zatém mi i wilę kiedyś pokaże...

Zakonnik hrabiance palcem pogroził i udał się w prawo, podczas kiedy ona w lewo się zwróciła i drzwi do komnat wewnętrznych prowadzące otworzyła. Komnaty nie zalecały się, jakby się spodziewać należało, przepychem. Stolica rodowa Zrińskich znajdowała się w Ozalii; Czakowac służył za rezydencyą oficyalną — za rodzaj filii Zagrzebia, który, jako stolica krainy, wymagał obecności bana. Ban w Czakowcu tę miał dogodność, że zajmował posterunek militarny, a przytém bliżéj mu ztąd było do Gracu, do Presburga i do Wiednia — trzech punktów, z któremi go łączyły stosunki służbowe. Nadto, był u siebie—rządził krajem z majątku własnego, nie ulegając kontroli i natręctwu wojskowych i cywilnych urzędników z Wiednia nasyłanych. Z racyi téj zamek czakowacki, acz zaopatrzony dostatnio, ustępował pod względem przepychu zamkowi ozalijskiemu. Malowidła, zwierciadła, kobierce, tyftyki, bronzy, marmury znajdowały się w tamtym. W tym umeblowanie i przyozdobienie cechowała surowość względna i komnaty, przez które hrabianka przechodziła, nie posiadały okazów, świadczących, że zamieszkuje w nich jeden z najbogatszych korony św. Szczepana magnatów. Z komnat tych pierwsza, do któréj wkroczyła, przedstawiała się pod postacią obszernego bardzo równoległoboku, ze ścianami przyozdobionemi w panoplie i trofea łowcze, z długim po środku stołem dębowym, dawała się z łatwością poznać, że była salą, w któréj się odbywały uczty rycerskie. Sufit jéj podpierały kolumny równie jak ściany przyozdobione i zaopatrzone w kandelabry, które do spółki ze zwisającemi od pułapu dwoma olbrzymiemi pająkami zalewały ją potokami światła, gdy w kandelabrach i pająkach gorzały nocną porą świéce woskowe. Obecnie przez szereg okien dostawało się do niej światło słoneczne, że się zaś słońce ku zachodowi już miało a okna z zewnątrz osłaniały gęste kraty żelazne, panował więc w niéj półzmrok, w którym postać hrabianki przesunęła się i przez jedne z sześciorga drzwi wyszła do komnaty przyległéj, mniejszéj i jaśniejszéj. Nie zatrzymała się w niéj jednak — poszła

dalej i minąwszy jeszcze pokój jeden, w którym nie spotkała nikogo, otworzyła drzwi do komnaty, zajętéj przez dwie płci niewieściéj osoby, siedzące jedna obok drugiéj na sofie pod oknem. Weszła i z lekkiego zdziwienia akcentem w głosie, odezwała się :

— O?.. same?..

Damy zajęte były rozmową. Z nich jedna, na zapytanie hrabianki, oczy na nią podniosła i odpowiedziała :

— Dziwi cię to?.. Godzina ta jest porą spoczynku...

— Nie nastał jeszcze zmrok zupełny — zauważyła.

— Odpuściłyśmy damy te wcześniéj trochę dla tego, żeśmy ze sobą do pomówienia miały...

— Zawadzam więc może — rzekła i cofnęła się w intencyi opuszczenia komnaty.

— Zostań — odezwała się tonem uprzejmym druga dama. Materya, w któréj rozmowę ja i matka twoja toczymy, obchodzi i ciebie, moje dziecko i twój w niéj udział zbytecznym zgoła nie będzie... przeciwnie...

Ta, co słowa powyższe wyrzekła, była to hrabina Zrińska, małżonka Mikołaja, stryjenka Heleny, niewiasta w sile wieku, poważna, nieco otyła i nacechowana na obliczu wyrazem dobroci ujmującéj. Wyraz ten zastępował piękność, któréj jéj natura nie udzieliła. W latach młodych być musiała hożą i ponętną, czemu przyświadczały rysy oblicza jéj regularne, ale pospolite i różniące się od rysów, zaznaczających oblicze bratowéj, uderzające niepospolitością. Ta — piękną niegdyś była i lata nie starły z niéj śladów, przebijających się w postaci całéj. Jeszcze by za piękną uchodzić mogła. Córka ją przypominała luboć nie zupełnie, zwłaszcza zaś co do wyrazu, jaki z oczu jéj i z czoła bił, wyrazu, który cechowała ambicya. Postrzegać się on dawał od pierwszego oka ruchu i wzbudzał w ludziach pewien rodzaj obawy, trzymającéj w oddaleniu tych, co ją otaczali. Szanowano ją, ale się do niéj, tak jak do Mikołajowej nie garnięto.

Na wezwanie hrabiny Mikołajowéj hrabianka zwróciła na matkę wejrzenie pytające.

— Zostań — powtórzyła hrabina Piotrowa.

— Usiądź tu... przy nas... — odezwała się stryjenka, wskazując oczami stołki rozstawione przed tamburkami, krosienkami i stoliczkami do robótek, któremi komnata w głębi ustawioną była.

Helena przysunęła sobie jeden ze stołków i zabrała miejsce pomiędzy stryjenką a matką.

— Matka twoja—zaczęła hrabina Mikołajowa—na stryja twego mocno się gniewa... Ma mu za złe, że urzędów się zrzekł...

— Jakże się nie gniewać za to ! — rzuciła hrabina Piotrowa.

— Co do mnie, postanowienie to hrabiego przyjęłam, jeżeli mam prawdę całą wyznać, z radością... Gdy przypomnę sobie te niepokoje, te trwogi, te smutki, jakie mnie trapiły wówczas, kiedy hrabia najprzód kapetaństwo, następnie bańswo sprawował, to rada temu jestem, że się to nareszcie skończyło... Bogu dzięki! — rzekła, dłonie i oczy w górę nieco wznosząc.

— Teraz jednak — odparła hrabina Piotrowa — kiedy ten haniebny vasvarski pokój zawarty został, smutki i trwogi nie zagrażają żadne...

— Ja za ten właśnie pokój haniebny, dzięki któremu hrabia od spraw się usunął, Bogu dziękuję... Pokój ów sprowadził spokój, który mi sprawił ulgę ogromną...

— Pokój ten był—odparła hrabina Piotrowa—racyą, dla któréj hrabia Mikołaj powinien był władzy z rąk nie wypuszczać... Sprowadził on bowiem, jak powiadasz bratowo dostojna, spokój, ale nie powiadasz tego, że spowodował niezadowolenie ogólne. Narodowi brak kierownika... Hrabia się od kierownictwa w chwili najważniejszéj usunął... Czy się to godził..

— Czyż się nie znajdzie nikt, co by go zastąpił?..

— I nad Zrińskich się wyniósł?—dokończyła hrabina Piotrowa.

Zapytanie to charakteryzowało ją i stanowiło różnicę, jaka zachodziła pomiędzy nią a męża jéj bratową. Téj ostatniéj nie uśmiechały się dostojeństwa i zaszczyty, w odniesieniu do których hrabina Piotrowa była rękojmią niejako pogodzenia dwóch rodzin kroackich od wieków spółzawodniczących. Frangopanówna z domu wyszła za Piotra Zrińskiego dla tego, ażeby tamę położyć procesom pomiędzy Zrińskimi a Frangopanami, które w spadku z ojca przechodziły na syna i doprowadzały nierzadko do zawichrzeń w kraju. Ręka jéj stała się różczką oliwną w stosunkach pomiędzy dwoma temi rodami możnemi. Frangopanowie Zrińskim ustąpili pierwszeństwa. Hrabina o tém wiedziała i ceniła siebie odpowiednio do roli, jaką osoba jéj odegrała. Frangopanówna wyszła za Zrińskiego nie na to, ażeby pędzić żywot sielankowy. Usunięcie się od spraw publicznych Mikołaja dotykało ją, usuwało bowiem w cień męża jéj i zamykało go w szczupłéj stosunkowo sferze piastowanego przezeń kapetaństwa seńskiego. Kapetan Seni znaczył wiele pod skrzydłem brata-bana; pod skrzydłem zaś bana innego stawał się kapetanem zwyczajnym i, co więcéj, miał do stolca bańskiego drogę zagrodzoną. Bolało ją to i drażniło i z racyi téj do Mikołaja czuła żal wielki.

— Zrińscy upadli—mówiła—i kto wié czy się podniosą kiedy...

— Ale... a...—głową chwiejąc, tonem protestacyi odpowiedziała hrabina Mikołajowa.

— Cesarz nie będzie ich prosił, ażeby zająć raczyli stanowisko, którém wzgardzili...

— Hrabia nie wzgardził... Usunął się dlatego, że na stanowisku tém użytecznym być nie mógł ani krajowi, ani królowi swemu...

— W Wiedniu o tem myślą inaczéj...

— Co myślą, czy my wiemy?.. Zresztą, stało się — dodała z akcentem zadowolnienia wewnętrznego: — co my na to poradzić możemy?..

— Kto wie, czy poradzić nie możemy!—odezwała się po chwili hrabina Piotrowa. Będziemy mogły poradzić się przynajmniéj i znaleść drogę jaką do trafienia w Wiedniu do cesarza...

— Nie właściwiéj by było zostawić to hrabiom?— odrzekła hrabina Mikołajowa.

— Zdarzają się położenia, w których mężowie sami występować nie mogą, zwłaszcza gdy chodzi o naprawienie błędu...

Wyraz ostatni wymówiła z naciskiem, który ze strony byłéj banicy wywołał wejrzenie protestacyi dobrotliwéj.

— Błędu—powtórzyła—tego bowiem jestem zdania, które podzielają wszyscy, że hrabia Mikołaj w rozdrażnieniu popełnił błąd, honorowi jego nieuwłaczający bynajmniéj, sprawie jednak publicznéj tém szkodliwszy, że w trudnych teraźniejszych czasach nikt jéj lepiéj, niż on, służyć nie jest w stanie... Błędu tego ani on, ani brat jego naprawić nie może... Im o nim mówić nawet nie wypada... Nie pozwalają im na to ambicya, miłość własna, które nie krępują ani was, dostojna pani i bratowo, ani mnie... My mogłybyśmy sprawę poruszyć i wprowadzić ją na drogę, na któréj by ona sama już do mety doszła...

— Lękałabym się rękę do niéj przykładać...

— Przeszkadzać mi jednak nie macie powodu? — zapytała hrabina Piotrowa.

Hrabinę Mikołajową zapytanie to zmieszało. Nie wiedziała co odpowiedzieć na nie, uciekła się przeto do zwyczajnego w razach podobnych wybiegu — do przyznania się do nieświadomości.

— Ja bo nie rozumiem właściwie — odparła — co zamierzacie i jaką w tém rolę pomoc lub przeszkoda moja odegrywać ma...

— Nie do mnie—odrzekła hrabina Piotrowa—należy starać się o prostowanie hrabiego Mikołaja ścieżek... Jeżeli postępek jego nazywam błędem, to dlatego, że tak mi przekonanie moje powiada; skarżę się, ale na skardze poprzestać muszę, nie mając prawa wypowiadać jéj głośno... Jestem jednak matką i żoną, i jako taka, mam nie tylko prawo, ale i obowiązek troszczyć się o losy dzieci moich,

zależne od stanowiska ojca ich a męża mego... Zamierzam przeto poruszyć sprawę promocyi hrabiego Piotra...

— Jak skoro wam o to, dostojna bratowo — odrzekła z uradowaniem hrabina Mikołajowa—chodzi, nie wiem, czy się wam pomoc moja przyda na co, ale pomagać wam gotowa jestem z serca całego... Chcecie, ażeby dostojny małżonek wasz na bańską stolicę wszedł... i owszem... Najpierwsza z tego cieszyć się będę i dla dopięcia celu tego zrobię wszystko, czego odemnie zażądacie... Rozporządzajcie mną, hrabino...

— Dziękuję wam, bratowo dostojna—rzekła hrabina Piotrowa.

— Rozporządzajcie mną — powtórzyła.

Ta powtórzyła podziękowanie.

— Szczerze wyznam, że gdyby się rzecz małżonka mego tyczyła, nie znaleźlibyście we mnie gotowości do pomocy tyle... Mnie się bardzo czekający nas spokój podoba; wzdychałam do niego życie całe i z żywem upragnieniem wyglądam téj chwili, w któréj się on nareszcie na prawdę rozpocznie...

— Chwila ta niedaleka — wtrąciła hrabina Piotrowa.

— Dzieli nas od niéj dwa tygodnie... i — dodała — wrzawa...

— Śród téj wrzawy właśnie postawiać chcę na drodze, na którą sprawę małżonka mego wprowadzę, wytyczne... Z Węgier całych, z Kroacyi, z Siedmiogrodu, ze Styryi, zjedzie się szlachta wysoka na pożegnanie bana... Stawią się wszyscy Zrińskich przyjaciele... Pomiędzy nimi nie trudno będzie znaleść grono ludzi, którzy domagać się zechcą, ażeby miejsce hrabiego Mikołaja zajął hrabia Piotr.... Grono te spoić, wzmocnić i ku celowi wytkniętemu pchnąć: oto zadanie, w którego rozwiązaniu do pomocy wzywam cię, bratowo...

— Ani na chwilę nie wątp, że zrobię wszystko, co w mojéj będzie mocy... Sprzyjam wam i dzieciom waszym z serca całego i — tu się do słuchającéj w milczeniu hrabianki zwróciła — będzie mi miło, gdy synowica małżonka mego obok stolca bańskiego stanie... Podobałoby ci się to? — zapytała.

— Nie wiem, stryjenko — była odpowiedź dziewczyny.

— Jakżebyś wiedzieć nie miała!..

— Nie myślałam jeszcze o tém...

— Do tego nie potrzeba myślenia długiego... Czy nie podobałoby ci się, gdyby o tobie mówiono, żeś córka bana?

— Gdyby banem był ojciec mój, to zawsze bańsko jego byłoby dodatkiem, któryby się mnie nie tyczył, chyba dodatkowo... Bardziéj mi się podoba to, żem córka człowieka, co ojczyźnie prawdą i ramieniem służy... Może by mu w tém bańsko przeszkadzało...

— Nie konieczneś do rady dobra — odezwała się matka. — Im wyższém jest zajmowane stanowisko, tém większe człowiek oddać może ojczyźnie usługi...

Hrabianka zamilkła pomimo, że miała co matce do odpowiedzenia. Hrabina jednak nie nadawała się do dyskutowania z dziećmi własnemi. Córce odrzekła i nie zważając już na nią, do hrabiny Mikołajowéj się zwróciła.

— Przybędzie tedy Wesseleni, przyjedzie Nadasdy, Nagy, baron Tottenbach... Z każdym z nich pomówić można...

— Z baronem szczególnie—wtrąciła hrabina Mikołajowa.

— Toekeli... Rakoczi...

— Rakoczi za młody — zauważyła.

— Ale księżna wdowa ma u dworu zachowanie wielkie i nie wątpię, że — z ukosa okiem na córkę rzuciła — wpływów swoich na rzecz hrabiego Piotra nie pożałuje...

— Zapewne...

— Liczę oraz— ciągnęła hrabina — na osobistość jednę, która, nie zajmując stanowiska wysokiego, posiada jednak przydać się mogące stosunki...

— Którą? — zapytała hrabina Mikołajowa.

Hrabina Piotrowa z przymusem niejakim, z pół-wykrztuszeniem wymówiła nazwiko :

— Mikołaj Erdödi...

— O ?.. Ależ on ? — zaczęła.

— Zalicza się do grona tych, co Zrińskim nie sprzyjają — podchwyciła. Niesprzyjania tego wszakże racya tyczyła się rzeczy, która nie istnieje już oddawna...

— Jam bo nigdy dobrze powodu nieprzyjaźni téj nie rozumiała...

— Uhm—mruknęła hrabina Piotrowa, uśmiechnęła się i dłonią zlekka machnęła. O tém dziś i wspominać nie warto... Erdödi niegdyś wzdychał do mnie; lecz... jam za mąż wyszła, on się ożenił i żal jego do Zrińskich nie ma już racyi najmniejszéj...

— Nie wiedziałam o tém...

— Nie była to bowiem rzecz głośna... Hrabia Piotr o spółzawodnikach innych wiedział, o Erdödim nie wiedział i nie rozumiał zrazu powodu, dla którego się on do partyi przeciwnéj przerzucił... Dziś są to historye przestarzałe, mające znaczenie wspomnień, na których przyjaźń budować można. .

— W kraju—zauważyła hrabina Mikołajowa— Erdödi miru nie posiada... z Niemcami trzyma...

— I dlatego właśnie mir posiada w Wiedniu...

— Jemu... podobno... przewodzi żona...

Na uwagę tę hrabina Piotrowa odpowiedziała giestem, który wyraził lekceważenie i domyślać się kazał, że przewodnictwo to zneutralizować się da przewodnictwem innėm, donioślejszėm i skuteczniejszėm. Giest ten, po polsku przetłómaczony, znaczył: „Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.“ Erdödi mieszkał od Czakowca bardzo blisko—w Warasdynie, gdzie pełnił funkcyą kapetana, i jako sąsiad, bywał, pomimo różnic, jakie go od Zrińskich dzieliły, częstym w zamku czakowackim gościem. Nie bywać zresztą nie mógł. Póki hrabia Mikołaj był banem, na zamek często sprowadzały go obowiązki służbowe, w pełnieniu których spotykała go ze strony gospodarstwa gościnność, nie czyniąca różnicy pomiędzy tymi, co w progi zamkowe wstępowali. Hrabina Piotrowa przeto, dzięki stosunkom kapetana warasdyńskiego z byłym banem, jako téż dzięki tym wspomnieniom, które się do jego kawalerskich i jéj panieńskich czasów odnosiły, miała prawo niejakie na życzliwość, jeżeli nie czynną, to przynajmniéj bierną dawnego swego wielbiciela liczyć. Stąd to poszło skinienie lekceważące, gdy hrabina Mikołajowa o przewodnictwie hrabiny Erdödi wspomniała.

— Nieprzyjaźń jego—mówiła— jeżeli kiedy pozory racyi miała, to pozory te oddawna istnieć przestały... Czas je zniszczył... Co zaś do hrabiny Erdödi: cóżby ona miała za przyczynę okazywać nieprzyjaźń hrabiemu Piotrowi?.. Raczéj by mu sprzyjać powinna...

Hrabina Mikołajowa ścisnęła ramionami na znak, że się w kwestyi téj niekompetentną uznaje. Następnie materyą rozmowy zmieniła.

— Kiedy się — zapytała — markiza spodziewacie?..

— Przyjazd swój zapowiedział w przyszłym tygodniu...

— Z Trsata mu droga daleka i trudna...

— Byle jeno pogoda sprzyjała...

— Na niepogodę się nie zanosi, Bogu dzięki... A zresztą, oboje młodzi, to chociażby w podróży przykrości doznali, zniosą ją łatwiéj aniżeli gdyby byli w wieku póżnym... Odpoczną raz w Ozalii, drugi raz w Zagrzebiu...

— Dla markizy to pierwsza w kraju naszym podróż...

— Pierwsza — odpowiedziała hrabina Piotrowa.

— Rzecz ciekawa, jak się jéj po Wenecyi miasteczka i miasta kroackie wydadzą?..

— Mniéj więcéj tak, jak wydały się wam, dostojna bratowo, po Wiedniu...

— Ja niemka, ona włoszka... Ja baronka Löbl, ona księżniczka Nari...

Powiedziała to półżartem, stosując powiedzenie to do Julii, z domu księżniczki Nari, która przed niedawnym czasem zawarła zwią-

zek małżeński z markizem Franciszkiem Frangopano, rodzonym hrabiny Anny Katarzyny Zrińskiéj, Piotra małżonki, bratem. Z rodziny, do któréj księżniczka weszła, nie wszyscy ją znali. Nie znała jéj hrabina Zofia Mikołajowa; nie znała wujenki hrabianka. Stąd wzmianka o niéj wzbudziła w téj ostatniéj ciekawość, któréj wyrazem stał się wykrzyknik, brzmiący jak następuje:

— O! gdybyż im nic z miejsca ruszyć nie przeszkodziło!...

— Przeszkodzić by im mogło jedno chyba — odparła hrabina Zofia.

— Co, stryjenko?..

— Ciekawaś... co?.. — odpowiedziała hrabina tonem żartobliwym. Zaspokoisz ciekawość swoję, gdy sama za mąż wyjdziesz.

Na słowa te hrabianka spłoniła się i nie pytała już więcéj; hrabina Zofia zaś hrabiny Piotrowéj zapytała:

— Czy markiza była w Wiedniu kiedy?

— Nigdy...

— Piękna, słyszę, i rozumna... o, ona by Piotrowi grunt w Wiedniu przysposobić mogła.

Słowa te, od niechcenia wyrzeczone, hrabinę Piotrową zafrapowały mocno. Oczy jéj zaświeciły.

— O... — zaczęła.

Zamilkła jednak, w chwili téj bowiem służba weszła ze świecznikami, potrzebnemi z powodu zupełnego, jaki w komnacie zapanował, zmroku. Służba świeczniki rozstawiwszy, cofnęła się; komnata napełniać się poczęła. Po dwie, po trzy wchodziły panie i panny i zajmowały miejsca przy krośnach, tamburkach i stolikach. Był to hrabiny Zofii dwór niewieści, składający się, jak w Polsce po dworach panów wielkich, z córek rodu szlacheckiego. W sposób ten magnaci skarbili sobie śród *plemiczów* stronników, których liczba świadczyła o potędze i decydowała o wpływach magnata.

(d. c. n.) *T. T. Jeż.*





HENRYK SAINT-SIMON I SAINT-SIMONIZM.

III.

August Comte. Stosunek jego do Saint-Simonistów.—Jego pogląd na religią.—Zwrot umysłowy Comte'a.—Staje się on założycielem nowéj religii i nowego kościoła.—Przekonanie Comte'a o łączności socyalizmu z pozytywizmem i społeczne jego poglądy. Littré. Blignières. Ortodoksyjni wyznawcy Comte'a.

August Comte zaparł się wpływu Saint-Simona. Littré starał się poprzéć swego nauczyciela dowodami. Nie możemy jednak zgodzić się na nie. Co więcéj, przychodzimy do przekonania, że Comte o wiele bliższym jest przekonań i poglądów społecznych Saint-Simona, aniżeli późniejsi tegoż uczniowie, znani pod nazwą saint-simonistów. Można powiedzieć, że Comte nadał poglądom społecznym Saint-Simona formy kamienne, kiedy tymczasem saint-simoniści zachowali je w stanie plastyczności, zdolnéj przeobrażać się postępowo. Mówię to nie o filozofii pozytywnéj Comte'a, ale o jego teoryi rozwoju przyszłościowego form społecznych.

Sam Comte poświadczał niejako swoję bliskość z poglądami zdeklarowanych uczniów Saint Simona, umieszczając artykuły w ich piśmie, *Le Producteur* (dwa ostatnie miesiące r. 1825 i trzy pierwsze 1826). Późniéj jednak zajął względem nich stanowczo nieprzyjazne stanowisko i wypowiedział to publicznie w styczniu 1832 r. w liście do dyrektora czasopisma *Le Globe*. Najgłówniejszą przyczyną, która miała różnić Comte'a z saint-simonistami, było zapatrywanie się jego na religią. Oto, co sam Comte mówi w rzeczonym liście. „Wiedzą oni (naczelnicy saint-simonizmu) doskonale, że nigdy, w żadnéj epoce, nie wahałem się uważać wpływu myśli religijnych za główną przeszkodę do tworzenia wielkich planów umysłowości ludzkiéj i do powszechnego udoskonalenia organizacyi społecznéj, przypuszczając nawet, że sprowadza się on nieustannie, jak to jest obecnie u naro-

dów najwięcéj posuniętych w oświacie, do najmniejszych rozmiarów. I nie wahałem się głośno wypowiadać tego. Droga naukowa, po któréj ciągle szedłem, odkąd myśléć zacząłem, i praca uporczywa nad wyniesieniem teoryi społecznych do rzędu nauk fizycznych, znajdują się w widocznéj, radykalnéj i absolutnéj opozycyi do wszelkiego rodzaju dążności religijnéj, lub metafizycznéj“ (1). Z ustępu tego widzimy, że Comte, tak samo jak późniéj Littré, nie rozumiał dobrze różnicy pomiędzy *religią* i *sposobem teologicznym myślenia*. W tym względzie saint-simoniści wniknęli w rzecz głębiéj.

Zresztą sam Comte zaprzeczył sobie w późniejszym czasie. Pod wpływem potężnego uczucia miłości, pochwycony przytém powszechnym zapałem, jaki wzbudzała rewolucya lutowa 1848 r., wystąpił on jako twórca nowéj społecznéj teoryi i jako założyciel nowéj religii. Pomiędzy uczniami Comte'a napotykamy w tym czasie jednego z polskiém także nazwiskiem, Jundziłła, młodego profesora matematyki, który napisał nawet odę do Comte'a drukowaną w *Synthèse Subjective*).

Zwrot swój nowy zarysował Comte dostatecznie w wydanym r. 1848: *Discours sur l'ensemble du positivisme.* Uderza tam silnie i przeważnie na ateizm i materyalizm; ulegając wpływowi ówczesnych prądów, czyni teoryom społecznym pewne ustępstwo, uważając, że mają one swoję stronę pożyteczną, a nadewszystko teorya komunizmu. Pewnym szczegółowym objawom społecznym, które wtedy przybrały znaczne rozmiary, nadaje zanadto wielkie znaczenie, kiedy tymczasem ogólnego prądu demokratycznego nie ocenia należycie. Wypowiada już tam swoje poglądy społeczne i spodziewa się, że do ich upowszechnienia najwięcéj przyczynią się proletaryusze i kobiety, chociaż jednym i drugim wyznacza takie stanowisko społeczne, którego światlejsze z pomiędzy nich jednostki uznać nie chcą. Mówi tam także o nowéj religii, w któréj Ludzkość wyeliminuje nieodwołalnie Boga; któréj zasadą—miłość, podstawą—porządek, celem—postęp; która zamiast praw uzna obowiązki. „Wyraz: *prawo* należy usunąć tak samo z języka politycznego, jak wyraz: *przyczyna* z języka filozoficznego.“

W r. 1849 i 1850 Comte miał szereg wykładów publicznych, w których, streszczając swoje poprzednie poglądy pozytywne, przybierał coraz bardziéj charakter objawiciela nowéj religii. W tymże czasie uznał się za kapłana Ludzkości (2). „Z początku samo przez

---

(1) Str. 107 i 108, V Vol. Oeuvres de Saint-Simon et d'Enfantin.

(2) „....j'ai solennellement conferé, en 1850, comme Prêtre de l'Humanité:..“ Str. 19. Préface. Système de politique positive ou traité de Sociologie, instituant la Religion de l'Humanité T. I. 1851.

się powstająca, następnie natchniona, późniéj objawiona, religia oparła się wreszcie na dowodach“ (1) powiada Comte. Czém dawniéj była teologia, tém stanie się w przyszłości socyologia; jak pierwsza była podstawą teokracyi i teolatryi, tak druga stanie się podstawą socyokracyi i socyolatryi. Zapatrując się coraz bardziéj na teologią, Comte uważał za konieczne ustanowienie dogmatu, kultu, rządu kościelnego. Mając przed sobą wzór kościoła katolickiego, formował kościół nowy z aniołami stróżami, sakramentami socyalnemi, świętymi i świętami, modlitwami, katechizmem itd. „Można powiedzieć, że francuski myśliciel chciałby, nie przekształcając ciała, ożywić je tylko nową duszą. Zamiast wiary katolickiéj, pragnąłby tchnąć w nie pozytywną“ (2).

Zwrot religijny u Comte'a łączył się ze zwrotem ku poglądom teologicznym i reakcyjnym. Widoczném to jest w dziele, wydaném w r. 1851—1854 p. t. *Système de politique, ou traité de sociologie instituant la religion de l'humanité* (3); jeszcze widoczniejszém w ostatniém dziele z 1856 r. p. t. *Synthèse subjective, ou système universel des conceptions propres à l'état normal* (wyszedł tylko I-szy tom), w którém autor ogłosił się Wielkim Kapłanem Ludzkości (4).

Jakiego Comte był zdania o socyalizmie? W liście do Littre'go w 1850 r. pisał, co następuje: „... ścisła łączność pomiędzy socyalizmem i pozytywizmem uwydatniła się w tym roku na tyle, że odtąd nic nie może przeszkodzić ich rozwojowi“ (5). Zdawało mu się nawet, że proletaryusze, przyjmując mimowolnie „szczęśliwy wyraz“: *socyalizm* zamiast dawniejszego: komunizm, posunęli sprawę naprzód, gdyż przyjęli zadanie komunistów, a odepchnęli podawany przez nich środek (6). Zdaniem jego, jedynie pozytywizm, regulujący zapatrywania socyalne, zdoła zapobiedz na zachodzie „wszelkiéj ważniejszéj próbie komunistycznéj“ (7).

W jakiż sposób dałyby się usunąć trudności ekonomiczne, które coraz bardziéj grożą wywrotem istniejącéj organizacyi społecznéj? Rozwiązanie kwestyi apryoryczne dla Comte'a nie ma znaczenia.

---

(1) Ibid. Str. 7. T. II, Paris, 1852. — (2) Str. 146. Socyologia Augusta Comte'a. Lwów, 1875. — (3) Konserwatyści czyli wstecznicy mniéj szkodzili pozytywizmowi, aniżeli rewolucyoniści. Préface X i XI. T. III. Paris, 1853. W liście do ces. Mikołaja (14 kw. 1853 r.) nazwał go „seul homme d'Etat de la chrétieneté.“ W następnym jednak roku, w przedmowie do 4-go tomu, pod wpływem rozpoczynającéj się wojny, już inne objawia zdanie. „Je dois donc regretter que mon manifeste ait proclamé l'infériorité des hommes d'état occidentaux...“ XXIII, T. IV, sierp. 1854. — (4) Septième circulaire annuelle (15 stycz. 1856). Préface du tome premier XL. Synthèse Subjective. Paris, novembre 1856. — (5) Auguste Comte et la philosophie positive par E. Littré, 2-ème éd. Paris, 1864, str. 624.— (6) Str. 153. T. I. Système de polit. positive.— (7) Str. 154. Ibid.

Trzeba poprzednio poznać historyą ludzkości i jéj drogi, a wówczas zrozumiemy tylko, dokąd ona prowadzi. „L'homme s'agite, et l'Humanité le mène“ (człowiek miota się, a Ludzkość go prowadzi). Im więcéj pokoleń poprzedza nasze, tém silniéj ulegamy prądowi historycznemu czyli—podług sformułowania Comte'a—„rządy umarłych nad żywymi stają się coraz większe.“ Takim objawem dziejowym, coraz wydatniejszym i coraz trwalszym, ma być podział na kapitalistów (patrycyat) i proletaryuszów. Drugim objawem dziejowym jest ten, że dziedzina stosunków prywatnych zwęża się, a publicznych rozszerza. Kombinując niejako te dwa objawy, Comte mniemał, że można dobroczynną wywrzéć modyfikacyą na stosunki społeczne. Kapitalista i robotnik więc mają być uznani za działaczy publicznych. Kapitalista, czyli właściciel stanie się zawiadowcą tylko majątku publicznego. Robotnik pobierać będzie nie zapłatę za zasługi swoje, lecz przypadającą mu sprawiedliwie część zysku ogólnego. Zachowując własność materyalną w rozporządzeniu osobistém pewnéj tylko liczby jednostek, Comte mniemał, że *głównym środkiem* zapobieżenia wynikającym z tego złym następstwom, jest „zamiana dziedziczności teokratycznéj, opartéj jedynie na urodzeniu, na dziedziczność socyokratyczną, ulegającą większéj zmianie i lepiéj uregulowaną“ (1). W tym celu każdy właściciel, na 7 lat przed złożeniem swéj czynności, co ma następować w 63 roku życia, obowiązany jest wyznaczyć sobie następcę, a to dla tego, „by godnie poddać się kontroli powszechnéj, która wszakże ma uszanować jakąkolwiekbądź jego decyzyą“ (2). Ażeby zrozumiéć tę dziwną sprzeczność, jaka się zawiera w ostatniém zdaniu, trzeba przypomniéć, że Comte opiera cały porządek społeczny na wysokiém poczuciu moralności i altruizmu, które mają być przez wychowanie silnie zaszczepione w charakterze każdego obywatela. „Żyć dla bliźniego,“ „żyć aby być pożytecznym dla innych“, „nic nie robić takiego, do czegoby się przyznać nie można“—oto główne zasady przyszłéj moralności. Dla uzupełnienia poglądów ekonomicznych Comte'a, dodajmy jeszcze dwa jego postulaty: 1) ażeby mężczyzna żywił kobietę i 2) ażeby klasa czynna żywiła klasę kontemplacyjną.

Littré, uczony, który oddał wielkie usługi badaniom języka francuskiego, był jednym z najgorliwszych uczniów Comte'a i szedł z nim wspólnie aż do zamachu stanu 1851 r. Tu po raz pierwszy rozeszły się ich drogi. Comte, który prędko godził się w polityce z faktami dokonanemi, stanął po stronie zamachu. W Littré'm ode-

---

(1) Z listu do ces. Mikołaja. Str. XXXVII, Préface, T. III. Système de politique.
(2) Str. 333. T. IV, 1854.

zwało się dawniejsze gorące uczucie demokratyczne i republikańskie. Odtąd ich drogi rozchodziły się coraz bardziéj, i Littré uznał za potrzebne poddać pisma Comte'a krytyce, opartéj na metodzie pozytywnéj. Skutkiem tego, cofnął się on do dawniejszego stanowiska Comte'a, zaznaczonego w znakomitém dziele: *Cours de philosophie positive*, chociaż w tém już dziele—jak to zauważałem w mojéj rozprawie o socyologii Comte'a—dynamika socyologiczna w znacznéj części tłómaczy nam powody zwrotu, który doprowadził wreszcie do metody subiektywnéj i dziwacznych jéj zastosowań (1). Od roku 1867 Littré wspólnie z Wyrubowem wydawał pismo dwumiesięczne: *Revue de philosophie positive*, które wiele przyczyniło się do upowszechnienia zasad filozofii pozytywnéj. W kwestyi społecznéj Littré chylił się ku socyalizmowi, pragnąc, by ten rozwijał się w sposób naturalny, organiczny (bez wstrząśnień gwałtownych) i miał charakter więcéj praktyczny, co najwyraźniéj wypowiedział w swoim artykule o socyalizmie (Revue de la philos. posit., mai-juin 1870).

Drugi bardzo zdolny uczeń Comte'a, Celestyn de Blignières, który w dziełku: *Exposition abrégée et populaire de la Philosophie et de la Religion Positives*, główny położył nacisk na podział dwóch władz, doczesnéj i duchowéj, przed samą śmiercią Comte'a poróżnił się z nim także i usunął z grona jego uczniów. Grono to, do którego należeli Piotr Laffitte, dr. Robinet, znany antropolog, dr. Audiffrent, stolarz Magnin i inni, utworzyło—że tak powiem—kościół Comtowski ortodoksyjny, przyjmując odpowiedzialność za wszystkie zasady i pomysły swego mistrza. Mollin bronił gorliwie poglądów społecznych Comte'a na kongresie międzynarodowym bazylejskim 1869 rok. Komuna paryska znalazła także współczucie u nich. Robinet był przez pewien czas jéj członkiem, a Laffitte ułożył nawet plan zorganizowania komun po wielkich miastach francuskich i oddania im rządu nad Francyą. Rownocześnie Fryderyk Harrison bronił komuny w prasie angielskiéj. Od kwietnia 1872 r. uczniowie ci Comte'a zaczęli wydawać *La Politique Positive, revue occidentale*. Dwóch szczególnie uczniów odznacza się gorliwością propagandy: Piotr Laffitte, który miewa wykłady w Sorbonie, i robotnik Finance, którego artykuły pojawiały się w *Le Prolétaire* i *Le Proléturiat*, i który dość często przemawia na zgromadzeniach robotniczych. Antydemokratyczne jednak zasady Comtowskiego pozytywizmu politycznego są tak przeciwne demokratycznym dążeniom klasy robotniczéj, że wyznawcy ich mogą tylko tworzyć nieliczną grupę sekciarską. Nie pociągną ludu za sobą ci, co twierdzą, „że od 24 lat, od czasu wejścia

---

(1) Str. 138. Socyologia Augusta Comte'a.

swego na arenę polityczną, nowy mocarz (Lud panujący) popełnił więcéj krwawych bezeceństw, aniżeli najnienawistniejsi z pomiędzy królów francuzkich“ (1). Comtowskie zasady socyalne znalazły także trochę wyznawców w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Jeden wszakże z gorliwych wyznawców angielskich i współpracownik pisma, *La Politique positive*, Ryszard Congrève, zasadom Comtyzmu zaczął w ostatnich czasach nadawać jakiś dziwny charakter biblijny.

IV.

Pierwszy zawiązek saint-simonistyczny. *Producteur*. Eugeniusz Rodrigues. Zapał do nowéj nauki. Saint-Amand Bazard. *Doctrine Saint-Simonienne*. Treść jéj: okresy organiczne i krytyczne; nauka, jaką nam dają dzieje; niewolnictwo i jego formy; dziedzictwo familijne; hierarchia społeczna; przeobrażanie się własności; organizacya banków; państwo i kościół; przyszłe klasy; feudalizm ekonomiczny; wychowanie; religia. Szerzenie się saint-simonizmu. Enfantin. Nauczania i kwestya stosunków płciowych. Kościół saint-simonistyczny. Zapał religijny. Sprawa kobieca. Chevalier. Prześladowanie rządowe. Saint-simoniści w dziennikarstwie. *Globe*. Rodzina saint-simonistyczna w Menilmontant. Budowanie świątyni. Śmierć Talabot'a. Procesy saint-simonistów. Szukanie Matki. Wyjazd Enfantin'a do Egiptu. Kanał Sueski. Saint-simoniści w Egipcie. Ich udział w pracach przemysłowych we Francyi, Arlès-Dufour. Propaganda w klasie robotniczéj. Saint-simoniści podczas rzeczypospolitéj r. 1848. Napoleon Pokojowy. Rodzina. Projekt zorganizowania kredytu umysłowego. Ostatnie dzieło zbiorowe saint-simonistów. Rozdział ich. Sąd Enfantin'a o Chevalier. Różnica przekonań. Stosunek saint-simonistów do innych socyalistów. Zapatrywanie się ich na stosunki narodowe. Ocena zasady saint-simonistycznéj.

Przeistoczenia industryalizmu saint-simonowskiego na szkołę socyalistyczną dokonali ci uczniowie Saint-Simona, którzy pozostali z nim razem aż do końca i którzy, opierając się przeważnie na jego ostatniém dziele: *Le Nouveau Christianisme*, zamierzali, na kilkanaście lat przed Comte'em, utworzyć nową religią, któraby się godziła zupełnie z wiedzą nowoczesną i któraby, podejmując najrozleglejsze ogólno-ludzkie zadania, mogła połączyć duchowo całą ludzkość. Trzeba przyznać, że saint-simoniści może najwięcéj zbliżyli się do rozwiązania tego zadania i czczą formalnością nie zagłuszyli treści saméj, jak się to stało w kościele Comtowskim. Wpływowi ich— prawdopodobnie mimowiednemu—uległ sam Comte, i w jego rozumowaniach późniejszych o religii słyszymy echo głośnych w swoim czasie rozpraw saint-simonistowskich.

Wracając z pogrzebu Saint-Simona, Olinde Rodrigues zgromadził przyjaciół zmarłego i zobowiązał ich do łączności wzajemnéj.

(1) Str. IV. Przedmowa do drugiego wydania. „Positivistes et catholiques“ par Eugène Sémérie, docteur en medecine 2-eme édition, Paris, avril 1873.

W ten sposób utworzył się zawiązek ruchu saint-simonistycznego, który rozwijając się i przeobrażając, rzucił potężną smugę światła w życiu umysłowém Francyi. Dzięki téż głównie zabiegom Rodrigues'a, saint-simoniści mieli już w październiku 1825 r. własny organ: *Producteur*. W pierwszym numerze tego pisma pojawiły się artykuły Comte'a, Olind'a Rodrigues'a, Enfantin'a, Bazard'a, Rouen'a, a także współczujących nowemu prądowi umysłowemu: Armanda Carrel'a, Adolfa Blanqui'ego, Leona Halévy'ego, Adolfa Garnier'a i innych. Pismo nowe, powitane niechęcią przez Benjamina Constant'a, Lamennais'go, Stendhala i innych, pociągnęło wkrótce ku sobie wielu młodych ludzi, którzy stali się potém najgorliwszymi saint-simonistami, mianowicie Pawła Laurent'a, znanego późniéj pod nazwą Laurent'a z Ardéche, i uczniów szkoły politechnicznéj: Michała Chevalier, Abela Franson i Caseaux. Utworzyło się przy niem coś w rodzaju rady redakcyjnéj i propagacyjnéj, do któréj należeli: Rodrigues, Enfantin, Bazard, Buchez, Rouen i Cerclet. Ten ostatni wreszcie, będący z usposobienia sceptykiem, wkrótce się usunął. W pierwszych miesiącach 1826 r. przyjęto do rady Laurent'a. James Fazy, któremu Genewa wiele zawdzięcza, zachowywał z saint-simonistami przyjazne stosunki. Bazard i Buchez, dawni spiskowcy i węglarze, ciągnęli saint-simonizm na drogę demokratyczną i republikańską. Pismo jednak, podtrzymywane przez akcyonaryuszów, wyczerpało swoje środki pieniężne i przestało wychodzić z końcem 1826 r. *Producteur* w piśmiennictwie francuskiém zaszczytną zdobył sobie kartę. Rodrigues i Enfantin poruszyli w niém wiele zagadnień ekonomicznych; Rouen pisał o klasie robotniczéj; Bazard i Laurent ze stanowiska filozoficznego traktowali kwestye polityczne i religijne; Buchez, z zawodu lekarz, oznajmiał publiczność z najważniejszemi zagadnieniami biologicznemi. Pismo, pomimo że miało na celu interesy klasy pracującéj, było stanowczo przeciwne równości powszechnéj i własności wspólnéj. Mówiąc o pomysłach Owena, wyraziło się: „pomysły te są tak sprzeczne ze skłonnościami natury ludzkiéj, że niewytłómaczony jest ten rodzaj względności, jakiego zdaje się, że obecnie używają w Anglii“ (1). Tak samo nie godziło się ono z zasadą panowania ludu, a nawet wolności sumienia (2).

Pomimo zawieszenia wydawnictwa, propaganda zasad nowych nie ustawała. Prowadzono ją listownie i ustnie. W tym to czasie, Eugeniusz Rodrigues, brat Olinde'a, ich krewni bracia Péreire'owie,

---

(1) Str. 139. Le Producteur, Journal de l'industrie, des sciences et des beaux-arts. T. I. Paris, 1825. — (2) Wstęp redakcyi do listu o pomysłach Owena. Str. 526. Producteur. T. IV, Paris, 1826.

Izaak i Emil, Barrault, Carnot, Fournel, Margerin i wielu innych zostało saint-simonistami. Zgromadzano się u Carnot'a i u Enfantin'a, którego Olinde Rodrigues, dyrektor Kasy Hipotecznéj, powołał do siebie na kasyera. Najgorliwszymi z pomiędzy nowych wyznawców byli Eugeniusz Rodrigues i Izaak Péreire, obaj pochodzący z rodziny mojżeszowego wyznania. Ognista wiara, jaką wniósł pierwszy do koła saint-simonistów—zdaniem Enfantin'a—najwięcéj przyczyniło się do tego, że dotychczasowa „wiara filozoficzna przeobraziła się w wiarę religijną“ (1). Wówczas to umotywowano opozycyą przeciwko panującemu w opinii *liberalizmowi*, który nazwano *protestantyzmem politycznym i religijnym*. W przekonaniu saint-simonistów, protestantyzm, będąc pochodzenia negatywnego, nie mógł być zjawiskiem dodatniém. Trzeba więc było ułożyć nową dodatnią naukę. Zarzucano przytém liberalizmowi, że nie był szczery w swych dążeniach. „Jeżeli krytykują liberalizm—pisał Enfantin do jenerała Saint-Cyr'a—to jedynie dla tego, że zdaniem mojém, brutalność i głupotę zastąpił on szarlatanizmem i łudzeniem, i że w wyborach daje zawsze pierwszeństwo bogactwu, a na stanowisku władzy— dziedzictwu i urodzeniu“ (2).

„Saint-Simon, przed śmiercią swoją—powiada Enfantin—rzekł do mnie: Nasze ostatnie dzieło (le nouveau Christianisme) najpóźniéj zostanie zrozumiane. Powszechném jest mniemaniem, że ludzie nie są zdolni roznamiętniać się w kierunku religijnym. Jest-to wielki błąd. System katolicki musiał upaść, ponieważ był w sprzeczności z systemem naukowym i z przemysłem nowożytnym. Upadek ten nastąpił, a to daje hasło, że nowa wiara ma swym zapałem zapełnić próżnię, którą krytyka wytworzyła w duszach“ (3). Słowa te sprawdziły się. Czytając mowy, listy, opisy z owych czasów, czujemy potężny zapał pomiędzy wyznawcami saint-simonizmu, i niezbyt dziwimy się, że najszlachetniejsza i najwykształceńsza młodzież lgnęła wówczas do niego. Szkoła politechniczna paryska najwięcéj dostarczyła mu wyznawców. Przedewszystkiém pogarnęli się do nowéj nauki wszyscy ci, którzy pozbywszy się dawnych przekonań religijnych, przeszli wszystkie stopnie ówczesnego rozwoju filozoficznego i skończyli wreszcie na materyalizmie i ateizmie, z któremi jednak godzili się niejako tylko z konieczności. Nowe słowo rozdmuchało dogorywającą w nich iskrę uczucia religijnego w płomień silny. Zabrzmiało ono potężnie i dla tych, którzy, zacząwszy od materyalizmu, puścili się byli, pod wpływem teoryi filozoficznych Cousin'a, Jouffroy i Dami-

---

(1) Str. 27. Oeuvres de Saint-Simon et d'Enfantin &. Tome II. — (2) Str. 55. T. II. — (3) Str. 115, II.

ron'a, w nową wędrówkę filozoficzną (1). Wreszcie pociągnęło i tych którzy jak Gustaw d'Eichthal nie mogli pogodzić swego gorącego uczucia religijnego z dogmatyką kościelną, i judaizm porzucali dla chrześcianizmu, a chrześcianizm dla saint-simonizmu. Była to najświetniejsza epoka saint-simonizmu. Wówczas to (1828—1830 r.) Bazard, w szeregu świetnych wykładów, nadał całokształt nowéj doktrynie i najwięcéj przyczynił się do jéj spopularyzowania.

Saint-Amand Bazard (1791—1832 r.) tak opowiada o sobie. „Miałem zaledwie 16 lat, kiedy pozostawiony sam sobie, zostałem rzucony w świat, bez środków i bez pomocy, z troską o przebicie się i wystarczanie sobie... Daremniebyście usiłowali zrozumiéć tę zmienność losu i te cierpienia, które, musiałem znosić, skutkiem niedoświadczenia mego, żądz gorących i skrytego poczucia wyższości; to ostatnie było powodem, że z odrazą przyjmowałem przewodnictwo tych, którym jednak powinienem był ulegać. Przez całe życie marzyłem o posłannictwie w świecie; marzenie to było mniéj więcéj niejasne, przyjmowało formy mniéj więcéj dziwne albo fantastyczne, często niedorzeczne, lecz nigdy mię nie opuszczało" (2). Bardzo wcześnie rzuciwszy się w wir konspiracyi niebezpiecznych, Bazard spotkał się z działalnością Buonarotti'ego i z propagandą jego komunistyczną. Prawdopodobnie, nie pozostało to bez wpływu na niego, chociaż strona polityczna przeważała jeszcze w jego umyśle. Proces Saint-Simona zwrócił uwagę Bazard'a na tego myśliciela. Dostrzegłszy „w pomysłach śmiałego nowatora zarodek nowego świata," postanowił, nie zważając na żadne trudności, poświęcić całe swe życie, „by zapłodnić ten zarodek i dopomódz mu do wyklucia się" (3). Istotnie, skutkiem to głównie pracy Bazard'a, industryalizm saint-simonowski wszedł na drogę socyalistyczną.

Wykłady Bazard'a, ogłaszane w piśmie *Organisateur*, zostały następnie zebrane, uzupełnione przez Enfantin'a i ogłoszone drukiem p. t. *Doctrine Saint-Simonienne*. Jest-to najważniejsze dzieło wśród publikacyi saint-simonistycznych, i dla tego zatrzymamy się nad niém dłużéj.

Ludzkość jest istotą zbiorową, która, tak samo jak pojedyńcza osoba, rozwija się i dojrzewa. W postępowym tym rozwoju przechodzi rozmaite formy, które zwolna urabiają się i rozpadają, aby dać miejsce innym, doskonalszym. W dziejach więc rozróżniamy epoki organiczne, w których nowy porządek społeczny przybiera

---

(1) Patrz list kapitana Lefranc'a do redaktora *Globe*. Str. 68. Oeuvres de S. Simon &. V Volume. — (2) Str, 52. VII Vol. Oeuvres de S. Simon &. — (3) Str. 54, VII Vol.

pewną ustaloną formę, i epoki krytyczne, w których istniejący porządek ulega krytyce, napaści, burzeniu. Z pomiędzy zagadnień jakie przedstawiały się i przedstawiają ludzkości, najważniejsze są dwa: jakiém jest przeznaczenie człowieka względem swego bliźniego, i jakiém jest jego przeznaczenie względem całego świata? W epokach „organicznych" problemat ten uważano za rozwiązany. Wzmagająca się jednak wiedza wykazywała niedostateczność tego rozwiązania, i rozpoczynały się powątpiewanie, krytyka, protestacya. W epokach krytycznych problematy społeczne pozostają nierozwiązane. I tak, jeżeli weźmiemy dzieje dwudziestu trzech ostatnich stuleci, to wyróżnimy w nich dwa okresy krytyczne i dwa organiczne. Okresy krytyczne są następujące: 1) rozpadanie się politeizmu, które trwa od pojawienia się pierwszych filozofów greckich aż do nauczania Ewangelii, i 2) upadek katolicyzmu, rozpoczynający się od Lutra i idący aż po nasze czasy. Okresami organicznemi były: 1) rozkwit politeizmu greckiego i rzymskiego aż do czasów Periklesa i Augusta, i 2) czasy największéj potęgi katolicyzmu i feudalizmu, które pod względem religijnym sięgają do Leona X a pod względem politycznym do Ludwika XIV.

Nasza epoka jest epoką krytyczną, która dobiegła już do swego końca i przechodzi w epokę organiczną. Saint-simoniści właśnie mniemali, że odegrywają w niéj tę rolę, jaką odegrali chrześcianie w czasie upadku politeizmu.

W epokach krytycznych przeważa indywidualizm, anarchia, niema powszechności myśli, niema powszechnego ideału, panują egoizm i niewiara. Są to epoki bez religii. Łącznik społeczny dawny rozprzągł się, a nowego jeszcze nie znaleziono. Tylko „ludzie, którzy umieją znaleść *związek* pomiędzy przeszłością i przyszłością rodzaju ludzkiego; sprządz jego *wspomnienia* z *nadziejami*, innémi słowy, powiązać *tradycyą* z *przewidywaniem*; oraz zadowolnić zarówno *żale* jak *pragnienia* wszystkich" (1); tacy tylko ludzie zdolni są odbudować na nowo społeczeństwo.

Dzieje ludzkości mają przeto wielkie znaczenie: dopomagają nam one wyszukać nowy łącznik, któryby mógł zjednoczyć i zespolić ludzkość całą w jedną powszechość, w nowy kościół katolicki tj. powszechny, bez błędów atoli i niedostatków ostatniego.

„Jeżeli z wyższego stanowiska myślą obejmiemy naraz przeszłość i przyszłość ludzkości, to spostrzeżemy w całym ciągu rozwoju społecznego dwa różne stany ogólne: jeden czasowy, należący do przeszłości; drugi ostateczny, przeznaczony dla przyszłości: stan *an-*

(1) Str. 5. Doctrine Saint-Simonienne. Paris, 1854.

tagonizmu i stan *asocyacyi*" (1). Antagonizm, w miarę rozwoju i dojrzewania ludzkości, zmniejsza się; stowarzyszenie zaś staje się coraz powszechniejszém. Na początku *wojna* była podstawą i zadaniem społeczeństw. Organizowano się, by prowadzić wojnę, by podbijać, panować nad ludźmi. W miarę jednak rozszerzania się łączności towarzyskiéj, dziedzina wojny się zmniejsza i ustępuje miejsca pracy pokojowéj. Wojna, panująca początkowo pomiędzy ludźmi, czyni ich wrogami między sobą, łupem i zdobyczą wzajemną. Skutkiem wojny, powstało *niewolnictwo*, źródło wyzyskiwania człowieka przez człowieka. W miarę jednak rozszerzania się pracy pokojowéj, wyzyskiwanie człowieka przez człowieka przyjmuje formy łagodniejsze i zamienia się na wyzyskiwanie globu ziemskiego przez ludzkość. Dzieje więc uczą nas, że w przyszłości antagonizm, wojna, wyzyskiwanie człowieka przez człowieka ustąpić muszą ostatecznie stowarzyszeniu powszechnemu, industryi, czyli pracy pokojowéj i harmonijnéj eksploatacyi kuli ziemskiéj przez całą ludzkość. Takie jest przeznaczenie ludzkości, i taki powinien być cel wszystkich ludzi. Należy przeto zorganizować przyszłe społeczeństwo tak, ażeby odpowiadało zupełnie postępowi. A więc precz z wyzyskiwaniem, pod jakąkolwiekbądź formą; precz z wojną, na jakiemkolwiekbądź polu! Ostatecznym celem ludzkości jest „Stowarzyszenie wszystkich ludzi na powierzchni kuli ziemskiéj, w którém każdy otrzyma miejsce stosownie do zdolności swojéj, nadanéj mu przez Boga, a wynagradzany będzie odpowiednio do pracy swojéj" (2). „W przyszłości wszyscy ludzie będą stowarzyszeni, i jedynym łącznikiem stowarzyszenia będzie miłość" (3).

Stosunek dzisiejszy najemnika do pryncypała (patrona), to ostatnia forma niewolnictwa starożytnego. Robotnik jest wyzyskiwany materyalnie, umysłowo i moralnie. Praca zaledwie daje mu możność wyżywienia się, i nie od niego samego zależy mieć pracę. Przygnieciony nędzą, nie ma czasu do rozwijania swych zdolności umysłowych i moralnych. „Nędza fizyczna prowadzi do zbydlęcenia a zbydlęcenie do zepsucia, źródła nowéj nędzy: fatalne koło, którego każdy punkt wzbudza wstręt i zgrozę, kiedyby powinno było wzbudzać litość tylko" (4). Forma ta niewolnictwa podtrzymuje się ostatnim przywilejem, przywiązanym do urodzenia, spadkobierstwem familijném. Czy przekazywanie majątku, na podstawie łączności krwi tylko, nie jest przywilejem niemoralnym, który pozwala żyć w społeczeństwie nie pracując, albo otrzymywać nagrodę wyższą nad zasługi? Skutkiem spadkobierstwa takiego, korzyści i niekorzyści społecz-

(1) Str. 99. — (2) Str. 441. — (3) Str. 431. — (4) Str. 125.

ne przechodzą także w spadku. Stwierdzili to ekonomiści: wykazali oni „*dziedziczność nędzy*, uznając w społeczeństwie istnienie klasy proletaryuszów" (1).

Każde prawdziwe społeczeństwo jest hierarchią: równymi być wszyscy nie mogą. Hierarchia jednak społeczna nie powinna być przypadkowa, jeno świadoma i dobrowolna. W społeczeństwie, opartém na industryi, muszą być przełożeni, którzy będą kierować przedsiębiorstwem i pracą, i muszą być robotnicy, którzy powinni ich słuchać i im ulegać. Nie będzie to jednak stosunek prywatny, przypadkowy. Każde stanowisko, każde wynagrodzenie stosować się będzie do zdolności i zasług i będzie miało charakter społeczny, publiczny, istotnie sprawiedliwy.

Jak wszystko w dziejach ulega ewolucyi, przeobrażaniu się, tak i własność przeobrażała się, zgodnie z postępem społecznym. „Dzisiaj, wskutek całego poprzedniego postępu, ma się odbyć nowy postęp, a ten polega na tém, ażeby prawo spadkobierstwa odebrać od rodziny, a przenieść je na państwo" (2). „Ludzkość proklamowała przez Chrystusa: *Precz z niewolnictwem!* Obecnie woła głosem Saint-Simona: *Każdemu podług jego zdolności, a każdéj zdolności—podług jéj zasług!* precz z dziedzictwem!" (3). Praca powinna być nadal jedynym tytułem do własności. W nowym odpowiednim ustroju, państwo posiadać będzie wszystkie narzędzia pracy, stanowiące dzisiaj grunt własności osobistéj; a rozdawnictwem tych narzędzi pracy, co spełniają dzisiaj na ślepo i z wielkim kosztem *właściciele i kapitaliści*, zajmować się będą ci, którzy zostaną, wskutek swych zasług, powołani na stanowisko dyrektorów stowarzyszenia industryalnego. „Wtenczas tylko ustaną katastrofy przemysłowe, częściowe, lub ogólne, które w ostatnich czasach, mnożyły się w zastraszający sposób; wówczas tylko ustanie skandal konkurencyi nieograniczonéj, téj wielkiéj negacyi w porządku przemysłowym, i która, jeżeli będziemy się zapatrywać na najbardziéj rażącą jéj stronę, nie jest czém inném, jeno zawziętą i morderczą wojną, jaka pod nową formą ciągnie się daléj pomiędzy jednostkami i narodami" (4).

Ażeby praca przemysłowa mogła się rozwijać swobodnie i mogła dojść do największych rezultatów, trzeba spełnić trzy niezbędne warunki: 1) podzielić narzędzia pracy odpowiednio do potrzeb każdéj miejscowości i każdéj gałęzi przemysłu; 2) podzielić je odpowiednio do zdolności osobistych każdego z pracujących; 3) wreszcie zorganizować tak produkcyą, ażeby w żadnéj gałęzi nie było ani braku, ani nadmiaru. Zadość temu uczyni dobra organizacya ban-

(1) Str. 124. — (2) Str. 338. — (3) Str. 21. — (4) Str. 339.

ków. Jeden bank centralny będzie reprezentować *rząd* w sferze *materyalnéj.* „W banku tym byłyby złożone wszystkie bogactwa, podstawa całéj wytwórczości, wszystkie narzędzia pracy, słowem wszystko, co stanowi dzisiaj ogół własności osobistéj“ (1). Od tego banku zależeć będą banki miejscowe i specyalne, opiekujące się oddzielnemi gałęziami przemysłu.

Często daje się słyszeć zarzut, że oddanie rozdawnictwa narzędzi pracy państwu powiększyłoby ogromnie jego atrybucye i wytworzyło okropny despotyzm. Zarzut ten jednak, o ile dotyczy saint-simonistów, niekoniecznie jest si szny, najprzód dlatego, że odgraniczenie zupełne czynności materyalnéj od czynności duchowéj (oświata, religia, sądy i t. d.) było jednym z najgłówniejszych ich postulatów, a powtóre dlatego, że teorya ich historyczna uważała, że państwo w dzisiejszéj swéj formie jest instytucyą, która należy do przeszłości nie zaś do przyszłości.

Podług ich teoryi, wojna, podbój, dały początek państwu starożytnemu. W miarę jednak tworzenia się szerszych organizacyi pomiędzy ludźmi, wyłaniał się przemysł pokojowy. Chrześcianizm, oddzielając kościół od państwa, oddzielił właściwie społeczeństwo pokojowe od społeczeństwa wojennego. Katolicyzm dał przewagę pierwszemu nad drugiém, a jako przejaw społeczeństwa pokojowego, wyświadczył wielką usługę ludzkości: „on to potargał kajdany niewolnika (2); on to wyprowadził kobietę ze stanu poniżenia, na jakie skazywało ją wyłączne panowanie siły; on to odkrył *duchową* stronę naszéj przyrody i nauczył nas ulegać powadze prawa czysto moralnego; on to wzniósł nasze uczucia z koła ciasnego, ze sfery niższéj, jaką przedstawiają rodzina i ojczyzna, do wyżyn braterstwa powszechnego (3). Zadaniem saint-simonizmu jest prowadzić ewolucyą daléj. „Zbliżamy się do epoki, w któréj jedność i harmonia powiążą wszystkie dążenia człowieka, i w któréj, skutkiem tego, będzie tylko jedno społeczeństwo i jedna władza; posługując się chwilowo językiem chrześciańskim, powiedzielibyśmy, że prawo cesarza doszło do swego kresu, że ma zniknąć i ustąpić miejsca prawu Boga, którego *królestwo* ma wreszcie przyjść na ziemię“ (4).

W pojmowaniu saint-simonistów, społeczeństwo przyszłe przedstawia się nie w postaci państwa, lecz raczéj w postaci kościoła, który panuje nie siłą, lecz przekonaniem, który utrzymuje ludzi w porządku nie strachem, lecz miłością. W państwie saint-simoni-

---

(1) Str. 149. — (2) W inném miejscu Bazard przypomina, że Grzegorz Wielki w szóstém stuleciu oswobodził niewolników w swoich posiadłościach. — (3) Str. 396. — (4) Str. 354.

stowskiém (jeżeli już mamy zachować wyraz: państwo) rządzi ksiądz (*le prêtre gouverne*), przedstawiający się jako *artysta* w stroju nowoczesnym. Artysta uosabia uczucie, a „uczucie to stwarza i podtrzymuje społeczeństwo, do niego przeto powinno należeć kierownictwo“ (1).

Tak jak w człowieku, oprócz uczucia, objawia się jeszcze rozum i czynność materyalna, tak w społeczeństwie przyszłém, oprócz klasy kapłańskiéj, będą jeszcze istnieć dwie inne klasy: uczeni i przemysłowcy. Te dwie klasy są zupełnie sobie równe. Organizacya ich, oraz wzajemny stosunek powinny mieć zawsze na oku: jak najracyonalniejszy rozwój nauki, jak najkorzystniejszą produkcyą i jak największe szczęście ludzkości. Klasa uczonych odpowiada *rozumowi*, klasa industryalna — *sile*: obie powinny kierować się wskazówkami *miłości*, której odpowiada klasa kapłańska.

Na początku wieków średnich, do dziesiątego stulecia, panowała anarchia wojskowa. Feudalizm usunął ją i wytworzył nowy porządek społeczny. „Za naszych czasów także zasada wolności, współzawodnictwa, walki, istnieje pomiędzy kupcami i fabrykantami jednego kraju, pomiędzy prowincyą i prowincyą, miastem i miastem, fabryką i fabryką, powiedzmy więcéj, pomiędzy sklepikiem i sklepikiem“ (2). Nowy feudalizm ekonomiczny powinien usunąć tę anarchią i zaprowadzić nowy stały porządek materyalny.

„Doktryna Saint-Simona, powtarzamy, nie chce dokonywać przewrotu, rewolucyi; przepowiada i spełnia ona *przeobrażenie*, *ewolucyą;* przynosi ona światu nowe *wychowanie*, ostatecznie *odrodzenie*“ (3).

Chcąc ustalić nowy porządek, koniecznėm jest wychować pokolenie w nowych przekonaniach. Wychowanie więc ma pierwszorzędne znaczenie w nauce saint-simonistów. Przedstawia się ono jako *ogólne*, *czyli moralne*, i jako *specyalne*, *czyli profesyonalne*. Wychowanie ogólne powinno mieć na celu: rozwinięcie uczucia miłości ku *wszystkim*; połączenie woli wszystkich w *jednę* wolę; skierowanie usiłowań *wszystkich* ku jednemu i *temu samemu* celowi, celowi społecznemu. Wychowanie specyalne powinno wykryć w każdym uczniu właściwe mu zdolności i następnie rozwinąć je. „Podział pracy uważa się słusznie za jednę z najpotężniejszych przyczyn postępu cywilizacyi; lecz oczywista, że ten podział wówczas tylko wyda wszystkie swe owoce, kiedy weźmiemy za podstawę dla niego różnice *zdolności* pracowników“ (4). Chcąc wykryć właściwe zdolności uczniów, powinniśmy kształcenie uczynić jak najwszechstronniejszém. Sztuki piękne, wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj, wszystkie

(1) Str. 439. — (2) Str. 141. — (3) Str. 154. — (4) Str. 209.

zawody przemysłowe powinny wejść w obręb nauczania publicznego jeszcze w szkołach początkowych. Jest-to pierwszy konieczny stopień racyonalnego kształcenia. Następnie, podług wyboru odpowiedniego wykazanym zdolnościom, ucząca się młodzież rozdziela się pomiędzy trzy wielkie szkoły: sztuk pięknych, umiejętności i przemysłu. W dalszém kształceniu odbywa się coraz większa specyalizacya.

Wychowanie ogólne czyli moralne powinno być religijném. W przekonaniu saint-simonistów charakter społeczny i religijny zlewa się w jedno. Religia, czyli spólność uczuć i przekonań jest jedyną stałą podstawą porządku społecznego. *Religare*, jak wiemy, znaczy wiązać. Przyszła religia ludzkości *„powinna być wyrazem jéj myśli zbiorowej*, *syntezą* wszystkich jéj *pomysłów*, *prawidłem* wszystkich jéj *czynów*“ (1). Saint-simonizm musi mieć także swoję naukę dogmatyczną i swoję obrzędowość. Nauka dogmatyczna saint-simonizmu nie opiera się jednak na żadném objawieniu, przekazaném przez ludzi, jeno na objawieniu, które przy badaniu przyrody uwidocznia się coraz bardziéj, a więc wraz z ogólnym postępem wiedzy nauka ta musi także rozwijać się postępowo. Z dogmatów saint-simonistycznych wymienię tylko jeden, który następnie odegrał ważne znaczenie: równorzędność ciała i ducha, *rehabilitacyą materyi*, którą chrześcianizm—zdaniem saint-simonistów—poniżył.

Wykłady Bazard'a najwyraźniéj uwydatniły dążenie socyalistyczne saint-simonizmu. Nowa nauka poruszyła silnie myślącą społeczność. *Organisateur*, który zaczął wychodzić w sierpniu 1829 r. głównie staraniem Laurent'a, upowszechniał nowe przekonania. W końcu r. 1830 *Le Globe* przyjął także charakter saint-simonistyczny. Piotr Leroux, Sainte-Beuve, L'herminier powiększyli szeregi nowéj szkoły. Leroux uroczyście ogłosił 18-go stycznia 1831 r. w *le Globe* swoje wyznanie wiary. W tymże czasie zbliżył się do nich Adolf Guéroult. Nowa nauka znajdowała także licznych wyznawców w Belgii, a między nimi spotykamy wsławione późniéj imię Quetelet'a.

W tym czasie coraz bardziéj wysuwała się na widownię saint-simonizmu głośna i nader wpływowa osobistość Enfantin'a. Barthélemy-Prosper Enfantin (1796—1864) urodził się w Paryżu. Ojciec jego był bankierem, którego niepomyślny bieg interesów doprowadził do bankructwa. W szkołach nieraz dano to uczuć dotkliwie młodemu chłopcu. To było także przyczyną, że nie przyjęto go do gwardyi, i że dwudziestoletniemu już młodzieńcowi odmówiła ręki pewna młoda panna. Z tych to powodów — jak pisał o tém prywatnie Enfantin w 1847 r.—oświadczył się on za obaleniem spadkobierstwa (2).

---

(1) Str. 316. — (2) Str. 55. Oeuvres de Saint-Simon etc. XII Vol. Paris 1867.

W r. 1813 Enfantin dostał się do szkoły politechnicznéj, a w następnym już roku, wraz ze swoimi kolegami, z bronią w ręku stawił opór najazdowi. Z powrotem Burbonów jął się handlu i jako komisant podróżował po Niemczech i Szwajcaryi. W r. 1821 wszedł do spółki z pewnym bankierem francuskim w Petersburgu. Pobyt w stolicy nadnewskiéj, gdzie zastał kikunastu uczniów ze szkoły politechnicznéj paryskiéj, miał ważne w rozwoju jego umysłowym znaczenie. „Miewamy tu — pisał w r. 1822 — filozoficzne wieczory tygodniowe i téj zimy zajmowaliśmy się Cabanis'em, Laromiguiere'm, Condorcet'em, Volney'em, fizyologią, ideologią i t. d. Każdy z nas zdawał sprawę z jednego z tych dzieł, i było to prawdziwie zajmujące. Ekonomia polityczna jest także gałęzią naszych zajęć i — upewniam — nie najmniéj ciekawą..." (1). W r. 1823 Enfantin wrócił do Francyi i zainteresował się poglądami Saint-Simona, a poznajomiwszy się w r. 1825 z Olinde'm Rodrigues, został przez niego przedstawiony znakomitemu myślicielowi na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Odtąd stał się jednym z gorliwszych wyznawców i propagatorów saint-simonizmu. W pierwszym tomie *Producteur'a* umieścił 4 artykuły, w drugim—9; kiedy *Producteur* zamienił się z tygodniowego na miesięczne pismo, w pierwszym tomie pojawiło się aż 15 artykułów Enfantin'a, w następnym tyleż. Propaganda jego ustna była jeszcze większa i wywierała ogromny wpływ, który powoli dorównał wpływowi Bazard'a, tak, że w kole saint-simonistyczném zapanował duumwirat: *Bazard-Enfantin*.

W końcu r. 1831 Enfantin rozpoczął *nauczania* (*enseignements*), które wzbudzały entuzyazm między słuchaczami, ale z drugiéj strony spowodowały oddzielenie się Bazard'a, Piotra Leroux, a następnie Olinde'a Rodrigues. Najwięcéj niezgody i oburzenia wywołały jego poglądy na stosunki płciowe. Rozwijając dogmat rehabilitacyi ciała i wychodząc z założenia, że wymagania cielesne mają takież uprawnienie jak i wymagania duchowe, że każdy powinien być wynagradzany odpowiednio do swéj miłości, że temperamenty jednych wymagają częstéj zmiany, drugich zaś stosunku trwałego, był tego zdania, że życie płciowe nie może ulegać jednemu prawidłu, które nakreśla małżeństwo chrześciańskie. Zdaniem jego koniecznėm jest w tych stosunkach pośrednictwo urzędu kapłańskiego, sprawowanego razem przez mężczyznę i kobietę. Będąc powiernikiem i spowiednikiem wszystkich, byłby on najwyższym regulatorem życia płciowego pomiędzy ludźmi. Tylko w tych warunkach dałyby się usunąć gwałt i obłuda ze stosunków pomiędzy mężczyzną i kobietą;

(1) Str. 140. Oeuvres etc. Tome I. 2-me Édition. Paris 1865.

tylko na téj drodze dałyby się wytępić dwie straszne rany: cudzołóstwo i prostytucya. Wychodząc z tego stanowiska, Enfantin oświadczył się nawet za rozwiązaniem rodziny; Bazard — jak powiada Enfantin — miał być tego samego zdania (1), ale Rodrigues sprzeciwiał się temu stanowczo i zasada rodziny przeważyła w dogmacie saint-simonizmu. Poglądy Enfantin'a, które spowodowały rozdwojenie między saint-simonistami, ściągnęły następnie na niego proces i więzienie, oburzyły opinią publiczną i zniechęciły wielu współczujących nowéj nauce, przypisywano niesłusznie całemu saint-simonizmowi jako uznany przezeń dogmat. Sam Enfantin broniąc swego poglądu w dziele ogłoszoném r. 1858 p. t. *Science de l'homme. Physiologie religieuse*, po kilkakroć oświadcza, że jest to jego indywidualne zapatrywanie się i mogłoby stać się dogmatem tylko wówczas, kiedyby kobiety, jako najbardziéj zainteresowane w téj sprawie, uznały słuszność tego poglądu i otwarcie swoje zdanie wypowiedziały.

W tym to czasie także wyznawcy saint-simonizmu, tworząc jednę rodzinę, zaczęli organizować wzorem pierwszych wyznawców chrześcianizmu, kościół saint-simonistyczny. Wkrótce powstały kościoły w Metzu, Milhuzie, Lugdunie, Bordeaux, Tuluzie, Montpellier i t. d. Jednym z najgorliwszych propagatorów na południu Francyi był Karol Lemonnier. Saint-simonizm zjednywał sobie wielu uczniów w Algieryi i Belgii, przeniknął do Sabaudyi i Niemiec. Jeszcze dawniéj (1829 r.) Clapeyron i Lamé ponieśli do Petersburga nową naukę, Duveyrier i Gustaw d'Eichthal wyjechali do Anglii, a w liście do Enfantin'a z Londynu 26 stycznia 1832 r. zawiadamiając o doznanéj życzliwości, wróżyli sobie wielkie powodzenie. „Oweniści, benthamiści, unitaryusze i założyciele unii politycznéj — czytamy w tym liście—przygotowali grunt do tego. Niema już w Anglii ani antypatyi narodowych, ani religijnych. Wczoraj słyszeliśmy, jak w związku politycznym prawdziwy papież irlandzki, O'Connel, z zadziwiającą wymową, wśród tupania nogami i okrzyków zadowolenia zgromadzonych, mówił o ścisłym związku Irlandyi, w osobie jéj deputowanych, z Anglią w celu wywalczenia bilu reformy, a za pomocą tego bilu powszechnego odrodzenia. I synowie twoi, wychodząc z tego pamiętnego zgromadzenia, zawołali, że ponieważ protestanci angielscy doszli do tego, że z zapałem idą pod chorągwią katolika irlandzkiego, to bliska już ta chwila, kiedy Anglia połączy się z Francyą pod sztandarem pokojowym Saint-Simona“ (2).

Zapał religijny stawał się fanatyzmem nawet w kościele saint-simonistycznym. Wpływ Enfantin'a, uznanego za ojca rodziny, był

(1) Str. 191. Oeuvres etc. XIV Vol. Paris 1868. — (2) Str. 215, V Vol.

nieograniczony. Uczniowie wysuwali go na pierwsze miejsce, uważając samego Saint-Simona tylko jako tego, co mu torował drogi. Gustaw d'Eichthal w zaślepieniu entuzyastycznėm podsuwał mu nawet myśl ogłoszenia się Bogiem. Nic więc dziwnego, że Enfantin'owi zawróciło się w głowie i zaszedł dalėj, aniżeliby tego można było się spodziewać po jego niepospolicie głębokim i bystrym umyśle. Sam Enfantin otrzeźwiwszy się z szału i złudzeń młodego wieku, nazywał ówczesne postępowanie szaleństwem.

Z przewagą Enfantin'a, w kościele saint-simonistycznym, sprawa kobieca zajęła w nim pierwsze miejsce. Formułując nowe dogmaty religijne, uznano, że pojęcie dawnego Boga, z naturą i charakterem wyłącznie męskim, powinno ustąpić pojęciu Boga, w którym obie natury i oba charaktery mają być uznane i czczone. Idąc dalėj, powiedziano, że kościół saint-simonistyczny stanie wówczas na mocnėj podstawie, kiedy w rodzinie obok „Ojca“ zasiądzie także „Matka.“ Odwołano się więc do kobiet, wzywając, ażeby ta, która poczuwa w sobie siłę i godność piastowania tego najwyższego urzędu kapłańskiego, stawiła się przed rodziną i zajęła należne jėj miejsce. Dopóki nie pojawi się „matka“—mówiono—dopóty sprawa wyzwolenia ludzkości powoli tylko posuwać się będzie. Szukanie i wołanie „Matki“ uznano za najważniejszą sprawę. *Globe* dodał do tytułu swego: *Wezwanie do kobiet* i *Pokojowa organizacya robotników.*

Wezwany przez Enfantin'a na redaktora *Globe*'u, M. Chevalier nie wahał się poświęcić widoków świetnėj karyery apostolstwu, nad którėm gromadziły się już chmury gniewu rządowego. Chevalier zajął w rodzinie saint-simonistycznėj wydatne stanowisko i stał się niejako prawą ręką Enfantin'a. W redagowaniu pisma pomagali mu: Duveyrier, Barrault, d'Eichthal, Guéroult, bracia Péreire'owie, Flachat, Lambert, Cazavan, Jonciéres Lagermitte i t. d. Olinde Rodrigues, który nie zerwał jeszcze zupełnie z kierowanym przez Enfantin'a kościołem, kreślił plany finansowe i organizował stowarzyszenie, mające przyciągnąć kredyt potrzebny, dla rozpoczęcia pracy praktycznėj zgodnie z zasadami nowėj nauki.

Pierwsze numery *Globe*'u redagowane pod naczelnym wpływem Enfantin'a, podrażniły i zaniepokoiły opinią publiczną. Zwłaszcza artykuły Duveyrier'a w sprawie kobiecėj gorszyły wszystkich. Zdaniem Jerzego Sanda, które wypowiada w swych pamiętnikach, wybryki saint-simonistów szkodziły nawet tėj sprawie. Rodrigues wystosował manifest przeciwko Enfantin'owi, chociaż nazywał go wówczas i późniėj *najmoralniejszym człowiekiem swego stulecia.* Bazard w liście do *Globe*'u (N. 20) odmówił nawet redakcyi i Enfantin'owi prawa nazywać się saint-simonistami. Armand Marrast w dzienniku

La Tribune rozpoczął poważną krytykę nowéj doktryny, wykazując jéj strony ujemne i szkodliwe dla rozwoju sprawy wolności.

Prawdopodobnie w samym kościele saint-simonistycznym wrzenie, rozpoczynające się już coraz silniéj objawiać, doprowadziłoby do licznych odstępstw od kierunku Enfantin'a, gdyby rząd nie przyszedł mu z pomocą, rozpoczynając prześladowania. Rodrigues'a, Enfantin'a, Chevalier'a, Duveyrier'a i Barrault oskarżono o oszustwo, zgorszenie publiczne i zgromadzanie się nieprawne. Wiadomość tę przyjęto z wielkiém oburzeniem. Armand Carrel w dzienniku *National* oświadczył, że zarzut oszustwa zasługuje na pogardę. „Marzyciele czy nie, pp. Enfantin i Olinde Rodrigues są przedewszystkiém uczciwymi ludźmi.“ *La Tribune* wstrzymała druk artykułów przeciwko saint-simonizmowi i ogłosiła list Karola Gerbe'a, w którym ten cofał swój zamiar wydania broszury przeciwko doktrynom saint-simonistów. *Figaro* nawet, który nieustannie ośmieszał i wyszydzał saint-simonistów, zapowiedział, że pisać przeciwko nim nie będzie, a cały swój sarkazm zwróci przeciwko władzy, która ma energią tylko wówczas, kiedy napada na obywateli i ich swobody. Owenista Rey nadesłał list do *Globe*'u pełen życzliwości i współczucia. Z pamiętników zaś Jerzego Sanda i z Historyi Ludwika Blanc'a wiemy, że proces wytoczony saint-simonistom zajmował bardzo uwagę wykształconéj publiczności i przyczynił się do spopularyzowania ważniejszych ich zasad. W dziennikach zagranicznych, jak np. w *Morning-Chronicle* pojawiły się artykuły przychylne saint-simonizmowi. *Gazeta Augsburska* (w korespondencyi prawdopodobnie pióra Henryka Heinego) pisała: „jeżeli saint-simonizm jest złudzeniem, to z pewnością złudzeniem najszczytniejszém, najgłębszém i najpotężniejszém, jakie kiedykolwiek istniało na świecie.“—W samém kole saint-simonistów prześladowanie rządowe wstrzymało dalsze odstępstwa, wzmocniło spójnię między uczniami Enfantin'a, podnieciło zapał do wysokiéj potęgi i pociągnęło nowych prozelitów. Widzimy to w ożywionéj korespondencyi pomiędzy kościołami, w obfitości nowych pomysłów pojawiających się w *Globe*'ie, wreszcie w ślepém poddaniu się kierownictwu Enfantin'a.

Zarzut oszustwa zwycięsko odparto. Izaak Péreire w znakomitym artykule, ogłoszonym w *Globe* p. t. „Les crédits imaginaires“, dowiódł, że wszelki kredyt jest kredytem tylko urojonym. Na uwagę sędziego śledczego, że emisye saint-simonistów zdają się mieć charakter występny oszustwa, Rodrigues odrzekł, że nie zna żadnéj operacyi finansowéj, przez jakikolwiekbądź rząd wykonywanéj, któraby nie przedstawiała w jeszcze wyższym stopniu tego samego charakteru, jeżeli ten charakter ma być niemoralny. Zarzut więc oszustwa

pominięto w procesie, który miał się odbyć przed sądem przysięgłych (1).

Rodzina saint-simonistyczna w podniecanym zapale postanowiła od czynności teoretycznéj przejść do działania praktycznego. Propaganda teoretyczna odbywała się już w wielu dziennikach. *National*, *Temps*, w którym pracował Guéroult, *Commerce* — zdaniem Michała Chevalier—były nawskróś przeniknięte saint-simonizmem (2). *Revue encyclopédique*, pismo dawniéj przyjazne zasadom Owena, teraz życzliwie wspierało saint-simonistów. Jeden z synów duchowych Enfantin'a, Joncières, był współpracownikiem *Débats*; drugi—Cazavan, kierownikiem dziennika prowincyonalnego: *Gazette constitutionelle*. Dzienniki, wychodzące w Rouen, Dieppe, Lyonie, Bordeaux, Calvados i innych miejscach, często mimowolnie, popularyzowały zasady nowéj nauki. L'herminier, Edgar Quinet, Sainte-Beuve, Reynaud wysoko trzymali w literaturze chorągiew saint-simonizmu. Cała literatura francuska—rzec można—nabrała odblasku saint-simonistycznego, chociaż często urągała saint-simonistom. „Zauważyłam w ostatnich czasach—pisała pani d'Augoult w r. 1847 do Enfantin'a — do jakiego stopnia pisarze spółcześni okazali się niewdzięcznymi względem nauki Saint-Simona. Zrabowali ją bezczelnie i następnie zaparli się jéj, jak złodzieje na wielkiéj drodze, którzy zatykają usta swéj ofierze, ażeby krzykiem ich nie zdradziła" (3).

Nie mogąc podołać kosztom wydawnictwa, *Globe* w kwietniu 1832 r. zapowiedział, że przestaje wychodzić. Wpływ tego pisma na umysłowość francuską był ogromny. „Pismo saint-simonistów—powiada Blanqui w swojéj Historyi ekonomii politycznéj — rozdawane darmo w kilku tysiącach egzemplarzy — zajmowało się z niezaprzeczoną zdolnością kwestyami finansów, robót publicznych, banków, stowarzyszeń, pauperyzmu, i trzeba przyznać, że nigdy żadne towarzystwo uczone nie puściło w obieg takiéj masy pomysłów."

Dla przygotowania się do czynności praktycznéj, czterdziestu najbliższych uczniów Enfantin'a, zmartwionego ciężko śmiercią swéj matki, zamknęło się 23 kwietnia w jego posiadłości, Menilmontant, pod Paryżem. Rodzina uważała to za swój klasztor. Miała ona pędzić żywot w celibacie, czekając na pojawienie się „Matki"; sama pełnić wszelkie posługi domowe i sama pracować w ogrodzie, ażeby tém świadczyć o zniesieniu służebnictwa domowego i uświęceniu pracy ręcznéj. Rodzina nosiła osobny ubiór z wypisanem nazwiskiem

---

(1) Dług rodziny saint-simonistów, który był dość znaczny, spłacono ostatecznie w r. 1845 wniesieniem ostatniéj raty: 60000 fr.— (2) W liście do Brisbane'a w Ameryce. Str. 33. Oeuvres etc. VII Vol. — (3) Str. 62. Oeuvres etc. XII Vol. Paris 1867.

na piersiach; „ojciec“ Enfantin i apostołowie wyróżniali się strojem od reszty członków. M. Chevalier prowadził administracyą i reprezentował rodzinę na zewnątrz. Kobiety saint-simonistki, jak Aglae Saint-Hilaire, Cecylia Fournel, Marya Talon, Petit i inne, pozostały oddzielone murami klasztornemi od swoich mężów, synów, przyjaciół.

Na drugi dzień po rozruchach czerwcowych w Paryżu, w których saint-simoniści nawoływali do pokoju i zgody, rodzina otworzyła bramy swego klasztoru, a 1-go lipca przystąpiła, przy pomocy zgromadzonego ludu, do budowania swojéj świątyni. Zbiegło się ludu dużo, a uroczystość otwarcia robót istotnie była wspaniała. Rozpoczęciu robót towarzyszyły śpiewy, ułożone na muzykę przez David'a, w których wysławiano pracę i pracowników. Propaganda ta saint-simonistyczna, w nowéj formie niepodobała się policyi. Kazała ona zamknąć bramy Menilmontant'u i wytoczyła nowy proces Enfantin'owi i M. Chevalier.

W lipcu rodzina straciła jednego z najgorliwszych wyznawców, Talabot'a. Śmierć jego była prawdziwie piękna. David w sąsiednim pokoju grał arye ulubione przez konającego, rodzina cała z miłością otoczyła wezgłowie żegnającego ją brata, a ten spokojny, pełen zachwytu, z słowami wiary w przyszłość na ustach, zamknął powieki na zawsze. Pochowano go na Père Lachaise o kilka kroków od mogił Saint-Simona i Eugeniusza Rodrigues'a. Rodzina w uroczystym ubiorze odprowadzała go do grobu: było to jéj pierwsze wyjście publiczne. Drugi raz wyszła na pogrzeb Bazard'a, ale na żądanie żony zmarłego, Klary, „pierwszéj z pierwszych“ — podług wyrażenia Enfantin'a—wróciła, będąc już niedaleko od cmentarza, na którym chowano dawnego naczelnika saint-simonizmu. Chcąc uczcić ważnym czynem przemysłowym pamięć Talabot'a, zwolennicy saint-simonizmu ułożyli projekt kolei żelaznéj z Paryża do Saint-Germain i przedstawili go rządowi. Dopiero w r. 1835 po przezwyciężeniu rozmaitych przeszkód, Emil Péreire otrzymał żądaną koncesyą.

Pierwszy proces saint-simonistów odbył się 27 i 28 sierpnia przed sądem przysięgłych. Rodzina w swoich strojach, ustawiona hierarchicznie dokoła Enfantin'a przyszła pieszo z Menilmontant do Paryża i następnie z powagą wśród zapełniających ulice tłumów szła do trybunału. Enfantin, mając z jednéj strony Aglaję Saint-Hilaire, a z drugiéj Cecylią Fournel, stanął przed sądem i na zapytanie, kogo wybiera na swych doradców, wskazał na towarzyszące mu kobiety, powiadając, że drażliwa kwestya moralności, lub niemoralności życia płciowego, bez wysłuchania najwięcéj w tém interesowanéj strony, jaką jest kobieta, nie może być należycie wyjaśniona. Prezydent w sposób gburowaty odrzucił to bezprzykładne w rocznikach sądo-

wnictwa żądanie dopuszczenia kobiet do roli doradców. Cały proces doprowadzał prokuratora i sędziów do najwyższego rozdrażnienia. Stawali przed nimi ludzie, którzy uznawali jednę tylko władzę swego „Ojca“, a ten „ojciec“ występował sam raczéj w roli sędziego, aniżeli podsądnego. Czuli przytém sędziowie, że nie imponując moralną powagą, ustępują także oskarżonym w oczach publiczności pod względem umysłowym. Zwłaszcza śmiała i świetna mowa Duveyrier'a, piętnująca obłudną moralność społeczeństwa, zamykała oskarżycielowi usta szydercze i drwiące. W dwadzieścia lat późniéj przyznał się on, że mowa Duveyrier'a zrobiła na nim ogromne wrażenie i zachwiała jego pewność urzędniczą. Przysięgli jednak uznali winę oskarżonych, i sąd skazał Enfantin'a, Duveyrier'a i Chevalier'a na rok więzienia, a oprócz tego nałożył na nich, na Rodrigues'a i na Barrault'a pomniejsze kary pieniężne. Drugi proces o oszustwo odbył się 19 października w policyi poprawczéj i skończył się uniewinnieniem oskarżonych. Wreszcie 8 kwietnia 1833 r. odbył się trzeci proces i sędziowie przysięgli, jakkolwiek sprawa była tego samego rodzaju co w pierwszym procesie, wydali wyrok uniewinniający. W ten sposób — rzec można — sąd drugi skasował wyrok sądu pierwszego.

Enfantin, stając przed trzecim sądem, odsiadywał już więzienie *Ste-Pélagie*, w którém pozostawał od 15 grudnia 1832 r. do dnia ułaskawienia, 1 sierpnia 1833 r. Przed sądem wypowiedział mowę napisaną w sposób rytmiczny, jakby wierszami. Mowa ta, wydrukowana w dziełach Enfantin'a, zawiera ustęp, którego jednak na sądzie nie wypowiedział, a w którym zrzekał się władzy nad ludźmi aż do przyjścia „Matki“ (1). W saméj rzeczy w zachowaniu się jego z uczniami zaszła wielka zmiana: zalecał samodzielność w postępowaniu i z niecierpliwością nawet przyjmował oznaki uległości moralnéj.

Szukanie „Matki“ stało się najważniejszą dla saint-simonistów sprawą, zwłaszcza Barrault z ogromnym zapałem rzucił się do tego. Na czele dwunastu saint-simonistów, wyruszył on w tym celu na wschód i stanął w Konstantynopolu. Tam saint-simoniści zaczęli głosić równość mężczyzny i kobiety, a spotykając kobietę na ulicy, oddawali jéj pokłon głęboki. Zachowanie się takie dziwiło i niepokoiło Turków. Policya więc niedługo myśląc, pochwytała nieproszonych propagatorów i, przerzucając ich z jednego miejsca do drugiego, po kilkunastu dniach wyrzuciła głodnych i zmęczonych w Smirnie. Stamtąd udali się oni do Egiptu. Barrault wrócił jednak po pewnym czasie do Konstantynopola i zgorszony porządkami tureckiemi, za-

(1) Str. 387. Oeuvres etc. VIII Vol. Paris 1866.

płonął miłością ku Rosyi, uważając ją za pożądaną spadkobierczynię Turcyi. Postanowił nawet szukać „Matki“ w Rosyi i w kwietniu 1833 r. udał się do Odessy, ale tam go zatrzymano i na wyraźny rozkaz, nadesłany z Petersburga, kazano mu państwo opuścić. To jednak nie ochłodziło zapału Barrault'a dla mocarstwa północnego, jak to widzimy z jego dzieła: *Occident et Orient*, ogłoszonego w r. 1835.

Z wyjazdem Enfantin'a w końcu września 1833 r. do Egiptu, działalność saint-simonistów przeniosła się głównie do tego kraju. Sam Enfantin z niezmordowaną wytrwałością propagował i przygotowywał dzieło wykopania kanału Sueskiego. Wszedłszy w przyjazne stosunki z Ferdynandem Lessepsem, który był wicekonsulem francuskim w Aleksandryi, i Solimanem baszą, znalazł w nich ważną pomoc w swych usiłowaniach. Saint-simoniści badali miejscowość, kreślili plany, obliczali koszta. Następnie, kiedy Enfantin wrócił do Europy, zjednał on dla sprawy kanału kapitalistów i pomoc dyplomatyczną i przyłożył się do zawiązania stowarzyszenia w interesie kanału. Kiedy wreszcie w r. 1855 sprawa ta dojrzała, Lesseps niewdzięcznie odsunął Enfantin'a i jego przyjaciół, Arlès'a i Talabot'a, od rady stowarzyszenia, które miało się zająć zrealizowaniem kanału Sueskiego. Enfantin przyjął to z rezygnacyą filozoficzną. „Niechaj—powiadał do swoich przyjaciół—spełnia się to dzieło, na które zwróciłem uwagę, do badania którego skłoniłem jako do dzieła wielce pożytecznego dla interesów materyalnych i moralnych ludzkości, a pierwszy będę błogosławił tego, który je wykonał Bez wątpienia dobrą i sprawiedliwą jest rzeczą, ażeby wiedziano w przyszłości, że inicyatywę tego wielkiego czynu powzięli ci właśnie, których świat stary uważał z początku tylko za utopistów, marzycieli, *szaleńców*, ale zostawcie to historyi. Tymczasem, jeżeli międzymorze będzie przekopane, chociaż bez nas, to właśnie my przedewszystkiém powinniśmy wykrzyknąć: Allah-Kerim!“ (1). Należy przytém zauważyć, że Enfantin, kreśląc plany wielkich prac, jakie przemysł europejski powinien spełnić, wyznaczał po kanale Sueskim przekopanie kanału Panamskiego. Lesseps—jak wiemy—spełnia także dzisiaj tę zapowiedź.

Czynność Enfantin'a i innych saint-simonistów w Egipcie była bardzo pożyteczna. Z pięćdziesięciu pięciu spółpracowników Enfantin'a niektórzy zajęli tam wysokie stanowiska: jeden z najdroższych jego uczniów, Lambert, został dyrektorem szkoły politechnicznéj; drugi uczeń, Bruneau—dyrektorem szkoły artyleryi; Linaut—naczelnikiem korpusu inżynierów; Perron— dyrektorem szkoły medycznéj.

(1) Str. 248. Oeuvres etc. Douzième Volume. Paris 1867.

Na polu przemysłu we Francyi saint-simoniści rozwinęli także ogromną czynność i pozajmowali wydatne stanowiska. Kiedy w roku 1849 Lamartine w pisemku popularném, potępiającém socyalizm, wyraził się o socyalistach, że chcieliby żyć cudzym kosztem, sami nie pracując, Enfantin wystosował do niego świetny list, w którym wymieniając już wówczas głośne nazwiska saint-simonistów na wszystkich polach życia społecznego we Francyi, zapytywał, czy oskarżenie jego ma się stosować także i do tych socyalistów? Oto ustęp dotyczący industryi: „Czy to może stosuje się do Péreirów i Flachatów, którzy pierwsi uposażyli Francyą w koleje żelazne, przy współdziałaniu naszych przyjaciół, Clapeyron'a inżyniera i Lamé'go akademika? A może to są ci wszyscy pierwszorzędni inżynierowie: Didion, Borrel, Bazaine, Chaperon, Parandier, Boucaumont, Boulanger, Job, Capella i tylu innych, którzy wyszli także z naszego koła i którzy przyłożyli rękę do wszystkich prac, we Francyi od dwudziestu lat wykonywanych, łącząc z niemi swoje nazwiska“ (1). Enfantin daléj wymienia w tym liście: Cazeaux, naczelnika korpusu inżynierów hydrografów i Fournel'a, inżyniera zasłużonego w Algeryi, który zbadał tameczne bogactwa metalurgiczne. Wielu z saint-simonistów dorobiło się olbrzymich fortun. Niektórzy z nich wprawdzie zapomnieli o szlachetnych swych porywach wieku młodego; lecz w większości pozostało pewne poczucie obowiązku dla masy pracującéj, a niektórzy z nich, jak np. wierny Enfantin'owi aż do śmierci i po śmierci jego Arlès-Dufour, byli zawsze gotowi hojną ręką wspierać wszystko, co miało na celu podniesienie dobrobytu i oświaty najliczniejszéj klasy. Ludzkość Arlès'a zjednała mu silnie robotników. Kiedy w Lyonie pożar groził mu ruiną finansową, wstrzymywał on robotników, rzucających się w ogień, by ocalić jego mienie, mówiąc, że życie ludzkie droższém jest od bogactwa. Należał on do najgorliwszych propagatorów saint-simonizmu. W r. 1840 zachęcał on księcia Orleańskiego do inicyatywy w sprawie zorganizowania industryi, wskazując, że to może przedstawiać się równie chlubnie i pięknie jak wojna (2).

Kiedy Eufantin, Arlès-Dufour i inni saint-simoniści podejmowali podług własnego wyrażenia się—*apostolstwo królewskie*, tj. apostolstwo

(1) Str. 140. Oeuvres etc. XII Vol.

(2) Oto jeden ustęp z jego listu: „Książe! Piękną jest wojna wraz z jéj niebezpieczeństwami! Pięknym i szlachetnym jest żołnierz na wojnie! Lecz piękną będzie także praca, kiedy będzie tak samo zorganizowana i wysławiana jak wojna. Pięknym, wielkim i szlachetnym będzie robotnik, kiedy organizacya, tak wzorowa jak w wojsku, zastąpi jego *łachmany* fizyczne, umysłowe i moralne świetnemi mundurami!“ (Str. 55. Oeuvres etc. Onzième Volume. Paris 1866).

skierowane ku pozyskaniu możnych tego świata, Vingard szerzył zasady saint-simonizmu w klasie robotniczéj. Od 1839 r. zaczęło wychodzić pisemko: *Ruche Populaire*, w którém brali udział: Savinien Lapointe, Lachombaudie, Raymond Bonheur (ojciec późniejszéj słynnéj artystki), Desplanches, Gallé, Biard i inni, po większéj części robotnicy. W cztery lata późniéj, po upadku *Ruche Populaire*, zaczęli oni wydawać *Union*, bulletin des ouvriers, otwierając łamy dla wszystkich robotników, z jednym warunkiem, że proponowane przez nich środki będą miały charakter pokojowy.

W rzeczypospolitéj, proklamowanéj w lutym 1848 r., saint-simoniści, chociaż w reprezentacyi narodowéj i w dziennikarstwie mieli swoich przedstawicieli, nie uwydatnili swojéj roli. Dawniejsi saint-simoniści, jak Buchez i Leroux, którzy poszli swoją samodzielną drogą, rozeszli się we wręcz przeciwne strony: pierwszy, zostawszy prezydentem zgromadzenia narodowego, zawrócił na prawo i połączył się z burżuazyą w jéj walce antisocyalystycznéj; drugi zasiadł na lewicy w szeregach demokracyi socyalnéj. Oprócz nich, weszli do zgromadzeń prawodawczych: Carnot, Reynaud, Charton, Renouvier, Laurent, Barrault, Bac, Allègre i jeszcze kilku innych. Carnot został ministrem oświaty i, przy pomocy Jana Reynaud i Edwarda Chartona, wypracował plan powszechnego i bezpłatnego nauczania. Laurent, bardzo sympatyczna osobistość, w zgromadzeniu narodowém nawoływał większość roznamiętnioną do umiarkowania, do sprawiedliwości. W prasie saint-simoniści byli także poważnym czynnikiem. Michał Chevalier, Ksawery Raymond i Broet pracowali w *Debatach*; Jourdan z Bernard'em redagowali *Siècle*; Guèroult był naczelnym redaktorem *République*. Enfantin, Duveyrier i L'habitant wydawali codzienne pismo *Crédit*. Pomimo jednak że było tanie, nie przetrwało ono dwóch lat nawet, gdyż jak dla Francuzów, za mało zajmowało się sprawami politycznemi. W *Crédit* odznaczały się szczególnie artykuły L'habitant'a, który—zdaniem Enfantin'a—odrazu zajął o wiele wydatniejsze stanowisko, aniżeli Michał Chevalier w najlepszych swoich czasach (1). L'habitant wydawał jeszcze czas niejaki: *La Politique Nouvelle*.

Przyjście Ludwika Bonapartego do władzy, ani też późniejsze jego przeobrażenie się w cesarza Napoleona III, wcale nie zasmuciło saint-simonistów; przeciwnie, zdawało się im, że znajdą w nim powolnego wykonawcę swych planów, tembardziéj że jeszcze za króla Ludwika Filipa wieszczyli o potrzebie Napoleona Pokojowego (Napoléon Pacifique), któryby podbił Europę nie siłą fizyczną, nie woj-

---

(1) Str. 171 XII Vol.

skiem, lecz myślą i pracą (1), chcąc temi słowy skłonić króla do téj zaszczytnéj roli. Pragnienia swoje co do przyszłéj roli Napoleona, wypowiedział Enfantin w liście swoim z dnia 29 stycznia 1853 r. „Rozbroić się dla staréj wojny, a uzbroić się do nowéj—pisał on—oto rola Napoleonów dzisiejszych, rola, w któréj mogą zdobyć sławę i zasłużyć na wdzięczność kraju, Europy, świata całego. Uzbroić się dla nowéj wojny, znaczy oświadczyć, że Francya, że rząd francuski, że cesarz są czynnikami opatrznościowemi tego nieustannego podnoszenia się klas niższych, plebejuszów ku patrycyatowi, tego postępowego uszlachetniania się rasy ludzkiéj, ciągłego wzrastania jéj moralności, oświaty i dobrobytu. Uzbroić się dla nowéj wojny, jest-to protestować słowem i czynem przeciwko wszelkim usiłowaniom, dążącym do utrzymania ras, kast i rodzin w potrójnéj niewoli: niemoralności, ciemnoty i nędzy; jest-to popierać wszelkie środki, mające na celu zniweczenie odziedziczania tego potrójnego trądu, od którego ludzkość chce i powinna być uleczona. Uzbroić się dla nowéj wojny, jest-to wykonywać *dobry socyalizm*“ (2).

I trzeba przyznać, że Napoleon III więcéj był powolny dla saint-simonistów, aniżeli Ludwik Filip, aniżeli nawet republikanie 1849 r. Za jego to panowania, Péreirow'ie zorganizowali kredyt ziemski i kredyt ruchomy; Michał Chevalier z Arlès'em przeprowadzili układ z Ryszardem Cobden'em, zapewniający swobodę handlu pomiędzy Francyą i Anglią; Adolf Guéroult i Karol Duveyrier torowali nieraz drogę polityce napoleońskiéj. „Bank francuski z filiami, kantor dyskontowy i zależne od niego zakłady, kredyt ziemski z zależnemi od niego instytucyami (przedsiębierstwa gminne, rolnicze, drenaż), kredyt przemysłowy i nowe jego dziecko (dawny podkantor dla metali), są to narzędzia odnowione, lub nowe, które podstawiono na miejscu dawnych czynników, lub sprężyn, i które—pisze Enfantin w końcu 1860 r.—gotowe są rozpocząć czynność swoję na nowéj drodze, skoro cesarz ją otworzy“ (3).

Saint-simoniści wyjednali nawet w 1860 r., nie bez silnego jednak oporu, upoważnienie do zawiązania stowarzyszenia wzajemnéj pomocy pod nazwą *Rodzina* (la Famille). Założycielami tego stowarzyszenia byli: Emil i Izak Péreire'owie, Michał i August Chevalier'owie, Fournel, Guéroult, L'habitant, Duveyrier, Laurent i Enfantin. Pozwolono im złożyć swoje archiwum w bibliotece arsenału, gdzie

---

(1) Henryk Fournel w *Globe* (kwiecień, 1832 r.). — (2) Str. 204 i 205. XII Vol. Enfantin ma tu na myśli rozróżnienie dobrego i złego socyalizmu, które był zrobił w 1851 r. arcybiskup paryski, Sibour, w swoim liście pasterskim. — (3) Str. 91. Oeuvres. & Treizième Volume. Paris, 1867.

Laurent był konserwatorem. W tymże czasie krzątali się oni bardzo czynnie nad wydaniem Nowéj Encyklopedyi, która miala być ułożona w ich duchu, a przynajmniéj pod ich wpływem.

Wkrótce jednak nastąpił nowy rozdział pomiędzy wyznawcami saint-simonizmu. Powodem do tego był ogłoszony przez Enfantin'a w 1863 r. projekt zorganizowania *kredytu umysłowego* (Crédit intellectuel), który miał uniezależnić pracowników umysłowych od przewagi kapitalistów przemysłowych. Projekt ten, znakomity w swéj osnowie, znalazł gorących zwolenników, w téj liczbie Emila Girardin'a, Champfleury (1), Perdonnet'a, pozyskał wzmiankę życzliwą w *Monitorze*, ale został przez powagi ekonomiczne uznany za niemożliwy do urzeczywistnienia i stał się przyczyną publicznego zerwania Péreire'ów, Michała Chevalier i Duveyrier'a z Enfantin'em i jego przyjaciółmi.

Ostatniém dziełem zbiorowém saint-simonistów, którzy pozostali wiernymi Enfantin'owi, było olbrzymie wydanie dzieł Saint-Simona i Enfantin'a, które wychodziło od 1865 do 1873 r. i doszło do liczby 28 tomów. Wydawcy na każdym kroku objawiają swą wiarę w to, że dzieła te dla przyszłości staną się tém, czém się stały Ewangelia i Listy Apostolskie dla wyznawców chrześcianizmu. Śmierć Laurent'a spowodowała przerwę wydawnictwa.

Proces różniczkowania z biegiem czasu wnosił wielkie różnice w poglądy dawnych wyznawców Enfantin'a. Najwięcéj zbliżony do niego podczas pobytu w Menilmontant, Michał Chevalier, pod koniec oddalił się może najwięcéj. Industryalizm wziął w nim przewagę nad socyalizmem (2). Kiedy w 1841 r. rozpoczął on w Collège de France wykłady ekonomii politycznéj, Enfantin w liście do Arlès'a (16 grudnia) bardzo gruntownie i logicznie ocenił jego wstępną lekcyą. Zwłaszcza świetną jest w tym rozbiorze wszechstronna ocena zdania rzuconego przez prelegenta, że jeśliby 8 miljardów dochodu francuskiego podzielono porówno pomiędzy ludność francuską, to na każdego przypadłoby po 63 centimów na dzień. Enfantin nazwał zdanie to wielce burżuazyjném. Zwrócił on, uwagę, że komuniści nie chcą dzielić się dochodami, ale zamierzają zabrać kapitały; że usunąwszy wydatki na wojsko i inne nieprodukcyjne rzeczy, dochody, któremi

---

(1) Champfleury pisał 27 lutego 1863 r. do Enfantin'a, że właśnie „dążność i rezultaty czysto industryalne zobojętniły młode pokolenie dla szkoły saint-simonistycznéj." Str. 210, XIII Vol. — (2) Ze wszystkich saint simonistów, prawie samego tylko Chevalier'a tłómaczono na język polski. Garbiński (1854 r.) tłómaczył ustęp z „Letres sur l'organisation du travail" (1848); Czarnowski (1868 r.)—„Wpływ swobód ekonomicznych na postęp społeczeństwa"; *Ekonomista* warszawski ogłosił parę tłumaczonych artykułów.

by wypadło się dzielić, byłyby znacznie większe: wreszcie gdyby z podziału miało przypadać na każdego istotnie tylko 63 centimów, to ileż dzisiaj wypada na udział człowieka ubogiego? „Prawdziwie podziwiam—dodaje—pewność tych zaślepionych burżuazów. Śmią utrzymywać, że przeciętny udział każdego wynosi w dzisiejszém społeczeństwie 63 cent., kiedy wszyscy wiedzą, ile oni dzisiaj mają! Ależ 63 cent., to właśnie tyle tylko, by nie umrzéć z głodu; a więc wszystko, co się wydaje nadto, zabiera się oczywiście z tego, co ubogiemu jest *niezbędne*“ (1). Różnica pomiędzy poglądami Enfantin'a i wielu dawnych jego uczniów stała się tak wielka, że w ostatnich czasach widzimy ze zdziwieniem, że pomysłowi jego kredytu umysłowego przyklaskiwali nie saint-simoniści, lecz furyerzyści.

Jak pod względem ekonomicznym, niektórzy saint-simoniści cofnęli się do czystego industryalizmu, tak samo pod względem religijnym pewna ich część powróciła do katolicyzmu. Już w r. 1843, Ludwik Blanc zaznaczył, że Transon i Dugied wrócili z wielkim rozgłosem na łono kościoła katolickiego, że Klara Bazard to samo zrobiła, że Margerin został profesorem w jednym z uniwersytetów katolickich w Belgii (2). Enfantin najmniéj się zmienił. W ostatnim dziele, wydaném p. t. *La Vie éternelle,—passée—présente, future*, (1861) streścił on swoje poglądy religijne.

W jakim stosunku byli saint-simoniści do innych doktryn socyalistycznych?

Jak już widzieliśmy, niektórzy z nich przeszli zupełnie na stanowisko industryalne; o tych więc mówić nie będę. Przedstawię tylko zapatrywania, jakie wypowiadali w chwili największego rozkwitu swéj doktryny, oraz poglądy samego Enfantin'a.

Gustaw d'Eichthal w lutym 1832 r. zdawał sprawę ze swojéj podróży do Anglii i przytém oceniał czynność Owena. Podług niego, Owen zrobił to dla Anglii, co Fourier dla Francyi, lecz w sposób praktyczniejszy (3). Ruch owenistowski—jego zdaniem—był przeważnie krytyczny, skierowany przeciwko *konkurencyi* i *próżniactwu*; organiczny zaś tylko w tém znaczeniu, że *pokojowy*.

Większą uwagę zwrócono na Fourier'a. W styczniu 1832 r. Transon, mówiąc o wyzwoleniu kobiet, odczytywał ustępy z Fourier'a, które—zdaniem jego—odznaczały się bardzo postępowym poglądem na tę kwestyą. Wogóle, chwalono zapatrywanie się Fourier'a na sprawę kobiecą. Naukę falansterską rozważono dosyć pilnie: Feliks Tourneux, przełożony kościoła w Metz, wykazywał jéj ujemne

---

(1) Str. 167, XI, Vol. — (2) Str. 139. Histoire de dix ans. Tome troisième. Paris, 1843. — (3) Str. 86. Oeuvres &. Dix-septième Volume. Paris, 1868.

i dodatnie strony (1), Adolf Guéroult pisał o niéj w *Globe*, przyczém zwracał uwagę na pojawiające się liczne dzieła, które świadczą o tém, że ludzkość szuka nowéj drogi, nowéj wiary (2). Enfantin korespondował z Considérant'em. Zdania jego były życzliwe dla furyeryzmu. W liście, pisanym z Algieru w lipcu 1841 r. do Arlèsa, mniemał, iż byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, gdyby furyerzyści założyli falanster. Zwracając uwagę, że w falansterze niema właściwie własności osobistéj i bezpośredniéj gruntu i mieszkania, że kapitaliści w nim są akcyonaryuszami tylko, dodawał: „Z tego ostatniego punktu widzenia, rozwiązanie Fourier'a jest bardzo dowcipnym wybiegiem, albo nawet zręczném wejściem na drogę postępową, do czego z pewnością nie przyłożę ręki, ale co chętnie widziałbym propagowane i realizowane. Ponieważ ta forma jest o wiele wyższą od dzisiejszéj własności *ziemskiéj*, osobistéj i bezpośredniéj; odpowiada ona nawet bardzo dobrze temu celowi, który wytknęliśmy byli w *Producteur* i *Globe*, kiedyśmy mówili o *uruchomieniu* własności i postępowém obniżaniu *procentu od kapitału*“ (3). „*La Démocratie pacifique* (organ wyznawców furyeryzmu)—pisze on w 1847 r. do Arlèsa—ma słuszność, nazywając dzisiejsze czasy feudalizmem industryalnym, ale zapomina, że od feudalizmu *wojskowego* średnich wieków przeszliśmy do organizacyi *armii*, gdzie *majątek* i *urodzenie* nie dają już stopnia; to samo będzie z industryą, z tą korzystną różnicą, że ta organizować się będzie siłą wytwarzania (à force de produire), kiedy tymczasem armie organizowały się siłą niszczenia i dla niszczenia (à force de destruction et pour détruire)“ (4).

Enfantin dopiéro w r. 1848 nowéj społecznéj nauce dał nazwę socyalizmu. „*Socyalizm*, ponieważ trzeba go nazwać własną nazwą, pisze w liście 3-go listopada—istotnie znaczy coś; jest on takim wielkim chłopcem, jakim był liberalizm Lainé'go i Royer-Collard'a za cesarstwa“ (5). W r. 1850 znowu pisze: „Od 1830 r. nasz biedny mały socyalizm stał się silnym wielkim socyalizmem, nie bardzo pięknym, lecz dosyć złym chłopcem, który nie zna się na żartach, jak my, i mniéj jest usposobiony od nas do kułaków i szukania banku ludowego w Kalifornii, nie tak jak ja pierwszy, który szukałem wyzwo-

---

(1) Str. 95 i 96, V Vol. — (2) Guéroult wymienia następujące dzieła: Azaïs'a—L'explication universelle; Wrońskiego—Philosophie mathématique, Sphinx, Messianisme; Au car'a—l'Association intellectuelle; Coissin'a—les Neuf livres; Senancour'a—l'Amour.— (3) Str. 142 i 143. Oeuvres & XI Vol. Paris, 1866. —(4) Str. 37, XII Vol. — (5) Str. 105, XII Vol. Kto pierwszy użył wyrazu *socyalizm*, nie wiem; ale napotkałem po pierwszy raz ten wyraz w rozprawach naszych emigracyjnych w 1836 r. z powodu drugiego projektu do manifestu Towarzystwa Demokratycznego P.

lenia kobiety i robotnika w Egipcie i Algieryi" (1). Efnantin—jak widzimy—nie zasklepiał się w jednostronném uznawaniu własnéj tylko doktryny i widział dobrze, jak socyalizm rośnie obok liberalizmu i coraz bardziéj wyzwala się z formułek pojedyńczych szkół i doktryn. „Kwestye społeczne—pisze z Lyonu w 1853 r.—nie są już, jak w 1830 r., własnością młodych politechników, albo też jak w 1848 r., młodych adwokatów bez spraw i lekarzy bez chorych, ale przeniknęły jeszcze niżéj, krążą pomiędzy ludem w stanie atomów homeopatycznych, i dostały się jeszcze wyżéj, do burżuazyi, aromatem swym nieuchwytnym" (2).

Saint-simonistom czyniono zarzut, że z obojętnością traktowali sprawy narodowe. Amancyusz Żarczyński (Wizerunki obłudnych nauk w upominku dalekim braciom. Paryż 1850), opierając się na ustępach z dzieła Barrault'a: *Occident et Orient*, stanowczo to twierdzi. Jest w tém część prawdy, ale tylko część. Nikt z saint-simonistów nie był zwolennikiem takiego porządku, który bagnetami utrzymywać należy. Podług ich przekonania, zupełnie słusznego—dodajmy,—warunki polityczne wróciłyby do stanu normalnego, skoroby tylko militaryzm i odrębna klasa polityczna, któréj najgłówniejszą i najsilniejszą częścią jest biurokracya, przestały istniéć. A właśnie był to punkt wyjścia punkt zasadniczy ich nauki. Przytém, jeżeli Barrault nie miał tego współczucia, jakiegoby pragnąć można było, a nawet należało, to przecież byli inni, którzy wypowiadali to współczucie bardzo gorąco i silnie. Dość wymienić Transon'a, Laurent'a, Adolfa Guéroult. Sam Barrault w 1832 r. potępiał system nieinterwencyi. Wzniosły swój pogląd na przyszłe stowarzyszenie się ludów europejskich, wypowiedział Enfantin w liście z dnia 30 pazdz. 1848 r. do Dufour'a w Lipsku (3).

Saint-simoniści doprowadzili industryalizm do socyalizmu. Nie stawiali oni—jak dawniejsi komuniści—oderwanych teoryi, lecz starali się wyrozumiéć z rozwoju dziejowego, dokąd prowadzi industryalizm i dokąd zaprowadzić może. Ażeby jednak industryalizm prędzéj i korzystniéj dla ogółu doprowadził do porządku pożądanego, nie można—zdaniem ich—pozostawić go samemu sobie, lecz trzeba umysły i uczucia ludzkie połączyć jednym węzłem moralnym, który powinien być szlachetniejszy i wyższy od wszystkich poprzednich. Sam industryalizm, bez religii altruistycznéj, musi prowadzić do wyzyskiwania (4).

---

(1) Str. 164, XII Vol. — (2) Str. XIV, Avant Propos, Oeuvres &. XIV Vol. Paris, 1868. — (3) Str. 100, XII Vol. — (4) Enfantin pisze 11 czerwca 1863 r. do Arlèsa: „Co do waszych bourgeois, to jeszcze raz służą oni za dowód tego, że tam, gdzie panuje industryalizm egoistyczny, doprowadza on do zupełnego zbydlęcenia." Str. 219, XIII Vol.

Czy jednak główna zasada téj religii altruistycznéj: „Każdemu stosownie do jego uzdatnienia, każdemu uzdatnieniu odpowiednio do jego zasługi,“ przedstawia najwyższą i najszlachetniejszą zasadę? Ludwik Blanc nazywa ją pozornie tylko słuszną i mądrą; w rzeczywistości jednak—zdaniem jego—jest ona przewrotną i niesprawiedliwą. Niezawodnie, jest w tém przesada. Z zasady powyższéj nie daje się wcale wyciągnąć ten wniosek, jakoby idyoci, chorzy, starzy byli skazani na śmierć głodową. Zasada ta jednak nie jest zupełna. Piotr Leroux już starał się uzupełnić ją, dodając: „każdemu stosownie do jego potrzeb.“

V.

Buchez. Zwrot jego do katolicyzmu. Nowy Katolicyzm. Stowarzyszenia spółdzielcze Corbon. Perdiguier. Wpływ dziennika l'Européen na część emigracyi naszéj. Ludwik de Toureil i fuzyonizm.—Leroux i Reynard. Teorya Leroux i jéj streszczenie przez Rettela. Próba zorganizowania gminy rolniczéj.—Ligi pokojowe. Karol Lemonnier. Kwestya własności. Liga genewska i paryska. Cztery francuskie stowarzyszenia pokojowe.—Wpływ saint-simonizmu na umysłowość francuską, włoską i niemiecką. Dzieło Artura Booth'a Wpływ saint-simonizmu na umysłowość polską. Henryk Kamieński. Królikowski. Myśl saint-simonistyczna na północy.

Jeden z redaktorów *Productuer'a*, Filip Józef Beniamin Buchez (1796—1865), wcześnie oddzielił się od koła saint-simonistowskiego i zaczął torować sobie własną drogę. Człowiek wysoce religijny, uczciwy, ubogi aż do śmierci, pomimo wysokiéj godności, jaką piastował w 1848 r.; w młodości gorący konspirator, którego dwa tylko głosy uratowały od kary śmierci,—po pewném wahaniu się przez czas jakiś wrócił do katolicyzmu i starał się pogodzić ideę katolicką z ideą rewolucyjną, co prowadziło go często do dziwnych tłómaczeń i skoków logicznych, które napotykamy w *Histoire parlementaire de la révolution française ou Journal des Assembleés nationales depuis 1789 jusqu'en 1815.* (Paryż, 1833—1838, 40 tomów), a którą wydawał wespół z Roux Lavergne. *Nowo-katolicką* teoryą swoję rozwijał on w dzienniku *l'Européen*, który wydawał z przerwami od 1831 do 1838 roku. Społeczność—jego zdaniem—zdąża do oparcia ustroju ekonomicznego na zasadach wspólności. Przeobrażenie się społeczeństw w tym kierunku jest konieczne, ale powinno odbyć się bez użycia gwałtu, bez zdzierstwa, lecz w drodze oszczędzania się i łączenia spółdzielczego robotników. Będąc w ciągłych stosunkach z robotnikami paryskimi, Buchez miał wielki wpływ na nich. Z jego to namowy, złotnicy paryscy utworzyli w r. 1834 pierwsze we Francyi stowarzyszenie wytwórcze, oparte na zasadzie wspólności i rozwijające

się świetnie jeszcze w r. 1865 (1). Uczeń Buchez'a, robotnik, Klaudyusz Antemiusz Corbon (2), wybrany w r. 1848 na drugiego wiceprezesa konstytuanty, był naczelnym redaktorem pisma robotniczego *Atelier*, które zaczęło wychodzić w r. 1840, miało licznych spółpracowników, robotników, i wywierało wielki wpływ na klasę robotniczą. Dążeniem tego pisma było — jak samo ono głosiło — „skłaniać nieustannie robotników do ciągłego zdobywania narzędzi pracy przez swobodne i dobrowolne stowarzyszanie się, przez zespalanie swych usiłowań, jak się to już dzieje od czasów rewolucyi, i do dawania wszędzie przewagi interesom moralnym nad materyalnemi.“ Spółpracownikiem tego pisma pomiędzy wielu innymi był stolarz, Agrykola Perdiguier, nazywany „Awinionczykiem-Cnotą“, bohater jednéj z piękniejszych powieści Jerzego Sanda: „Le compagnon d'un tour de France“, sam autor poszukiwanéj w swoim czasie książki: „Le livre du compagnonage.“ W r. 1848 wszedł on do Zgromadzenia Narodowego jako poseł z Paryża i znany jest z tego, że ogłaszając starannie zebraną statystykę zarobków robotniczych we Francyi, zadał kłam mowie parlamentarnéj Thiersa, w któréj ten twierdził, że zarobki robotnicze ciągle się podnoszą.

Artykuły *l'Européen* trafiły do przekonania pewnéj części emigracyi naszéj, która zorganizowała się w Anglii w Portsmouth p. n. „Lud Polski“ i utworzyla gromadę: Grudziąż i Humań. W liście z 25 kwietnia r. 1836 zaądresowanym do obywateli Buchez i Roux, podpisani sami powiadają, że „w górnéj *Europejczyka* syntezie, w szczegółowéj analizie zawartéj w wypadkach, w *Historyi parlamentarnéj* opisanych, odkrywamy formułę ogólną i praktyczne zastosowanie téj mglistéj myśli, która przedtém paliła nam serca, a dziś je oświeca i grzeje“ (3). Podpisali: Ambroziewicz, Baczyński, Buchowski, Czajkowski, Dziewicki, Łełejewski, Piętkowski, Racionas, Rupniewski, Swidziński, Wątróbka, Wolski, Worcell i sekretarz A. Gronkowski. Redakcya *Europejczyka* ogłosiła ten list wraz z artykułem bardzo życzliwym dla sprawy podpisanych. Skutkiem tego, organizacya portsmouthska wysłała 22 listopada nowy list do *Europejczyka*, podpisany przez Tadeusza Krępowieckiego i Stanisława Worcella. Socyalizm— zdaniem członków gromady — urodził się na łonie filozofii katolickiéj (4).

---

(1) Str. 5. L'Association. Bulletin internacional des sociétés coopératives. Supplément au journal *L'Association* N. 10, asût 1865. — (2) Jest on autorem dziełka: *Enseignement professionnel*, które miało kilka wydań w *Bibliothèque utile*. — (3) Str. 53. Lud Polski w emigracyi. Jersey MDCCCLIV. — (4) „W przeszłym projekcie do Manifestu stworzyliście *równość między społecznościami*; w uwagach nad drugim, z Azyi wyprowadzacie socyalizm. Kiedyż to w Azyi ewangieliczny socyalizm panował?.. Nie mieszajcież

Jeżeli Buchez starał się pogodzić katolicyzm z rewolucyą, to Ludwik de Toureil z saint-simonizmu, chrześcianizmu i filozofii przyrodniczéj wytworzył nową religią społeczną: *fuzyonizm* (*fusionisme*), która znalazła pomiędzy robotnikami gorliwych propagatorów. Pomiędzy niemi odznaczał się zwłaszcza ojciec Gardèche, który wymową, a jeszcze więcéj bezgraniczną dobrocią zjednywał licznych czcicieli swego wyznania. Na pogrzebie Enfantin'a przemawiał także robotnik fuzyonista. Poglądy społeczne fuzyonizmu są zresztą bardzo mgliste.

Filozoficzną zasadę saint-simonizmu starali się zgłębić i rozwinąć Piotr Leroux i Jan Reynaud, którzy w roku 1835 zaczęli nawet wspólnie wydawać *Encyclopédie nouvelle*, któréj jednak nie ukończyli.

Piotra Leroux (1798 — 1871) można nazwać filozofem miłości i równości. Najważniejsze jego dzieła są: 1) *Essai sur l'Egalité* (1838) i 2) *De l'Humanité, de son principe et de son avenir*" etc. (Paryż 1840). Zasady jego bardzo dobrze streścił Leonard Rettel w *Piśmie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego*. (Część druga. Poitiers, 1840).

Natura ludzka pod względem psychologicznym — podług Leroux — przejawia się w czuciu (*sensation*), uczuciu (*sentiment*) i wiedzy (*connaissance*). Odpowiadają one trzem potrzebom i trzem sposobom objawiania się na zewnątrz: czucie — wolności i własności, uczucie—braterstwu i rodzinie, wiedza—równości i ojczyźnie. Wolność odpowiadała dzieciństwu społeczeństw europejskich, braterstwo--ich młodości, równość — wiekowi dojrzałemu. Równość dla Leroux jest najwyższym filozoficznym szczeblem w rozwoju społecznym. Jak widzimy, odstąpił on zupełnie od prawowiernego saint-simonizmu, który nie uznawał równości.

Człowiek może wchodzić w komunią—jak się wyraża Leroux—z bliźniemi swojemi i z przyrodą jedynie przez ojczyznę, rodzinę i własność. „Nie chcecie ojczyzny — powiada — jesteście więc sami wśród miliardu ludzi, którzy zaludniają dzisiaj ziemię. Jakże chcecie, ażebym was wyróżniał w przestrzeni pomiędzy tą całą ciżbą? Skoro nie mam dla was nazwy w tym miliardzie ludzi, przestajecie istnieć w moich oczach" (1). Rettel jeszcze dobitniéj to streszcza. „Znosząc narodowość — powiada — człowiek gubi się w ludzkości, traci jeden ze swych przyrodzonych charakterów, jeden z wielkich wpływów, z wielkich węzłów w społeczeństwie, nacechowanych językiem, na-

spirytualizmu, który wyszedł ze wschodu, z socyalizmem, który się urodził na łonie katolickiéj filozofii." (Str. 97. Lud Pol. — Gromada Grudziąż i Humań o drugim projekcie do Manifestu T. D. P.).

(1) Str. 137. T. I De l'Humanité. Deuxième édition. Paris, MDCCCXLV.

zwiskiem i obyczajami“ (str. 331). „Tracąc familią—streszcza daléj—utraca również wielką część życia bliskiego i serdecznego, ziębi w sobie nieskończoną masę uczuć i pojęć i tonie bez familii w ojczyźnie, jak bez ojczyzny w ludzkości.“

Ojczyzna, rodzina i własność mogą być szczęściem albo nieszczęściem człowieka, stosownie do tego, czy dobrze, czy źle są urządzone. Staną się szczęściem wówczas, jeżeli się oprą na miłości bliźniego czyli solidarności rodu ludzkiego, która wcale nie wyklucza miłości samego siebie.

Leroux w 1845 r. wraz z 52 zwolennikami swoimi próbował zorganizować gminę rolniczą w Boussac (Creuse), podług nowych zasad solidarności ludzkiéj. Jerzy Sand, osobista przyjaciółka i zwolenniczka filozofii społecznéj Leroux, znaczną sumę pieniężną przeznaczyła na tę próbę. Przedsięwzięcie to jednak nie miało powodzenia.

Przeciwko wojnie saint-simoniści głosili pokój. Kiedy więc na początku 1867 roku sprawa Luksemburska groziła wojną pomiędzy Francyą i Niemcami, pomiędzy dawnymi saint-simonistami powstała myśl utworzenia ligi pokoju. Odrazu jednak objawiły się dwa prądy. Jedni chcieli zorganizować ligę pokoju na wzór angielskiego Stowarzyszenia pokoju, które istniało od r. 1815 i zwołało już było pięć kongresów w Londynie, Brukselli, Paryżu, Frankfurcie i Edynburgu, z wyłączeniem wszelkiego charakteru politycznego. Drudzy sprawę pokoju łączyli ze sprawą wolności. W liczbie pierwszych widzimy Arlès'a-Dufour'a i Michała Chevalier; w liczbie drugich Karola Lemonnier. Arlès-Dufour, Chevalier, wespół z Fryderykiem Passy, księdzem Gratry, ks. Hyacyntem, wielkim rabinem Izidorem, pastorem protestanckim Marcinem Paschaud i innymi utworzyli międzynarodową i stałą ligę pokoju. Lemonnier zaś wraz z innymi współpracownikami jednego z najbardziéj postępowych demokratycznych dzienników francuskich, *Phare de la Loire*, spowodował zwołanie kongresu pokoju i wolności do Genewy. Na kongresie tym zaznaczył on wyraźnie odmienny jego charakter od innych kongresów pokoju. Tenże sam Lemonnier na drugim kongresie téj ligi, który odbył się w Lozannie w końcu r. 1869, rozerwał ostatecznie tę spójnię, aczkolwiek wątłą, jaka istniała podczas pierwszego kongresu pomiędzy „Ligą“ i „Stowarzyszeniem międzynarodowém.“ Kwestya formy własności stała się jabłkiem niezgody między nimi. Przeciw rezolucyi kongresu „Stowarzyszenia międzynarodowego“ w Bazylei, Lemonnier przeprowadził na kongresie lozańskim uchwałę, że „prawo własności osobistéj jest bezpośrednim wynikiem, warunkiem i rękoj-

mią samorządu; że własność osobista i możność kapitalizowania są prawem ludzkiém; że od téj chwili najważniejszym przedmiotem rewolucyi społecznéj powinno być rozszerzenie prawa własności i obdarowanie niém wszystkich; że najlepszym środkiem do przeprowadzenia reformy społecznéj jest ustanowienie pełnego systemu wychowania i nauczania świeckiego, przy pomocy podatku dochodowego."

Liga pokoju i wolności, która zapowiadała z początku wielką potęgę w życiu europejskiém, zerwawszy z robotnikami, a następnie i z najbardziéj postępowemi żywiołami, zeszła na podrzędne stanowisko. Odbywała ona jeszcze kongresy w Bazylei (1870 r.), w Lozannie (1871), w Lugano (1872) i w Genewie (1873). Następnie odbywały się już tylko konferencye. Liga wydaje w Genewie małe tygodniowe pisemko p. t. *États unis de l'Europe.* Pisemko to i Ligę podtrzymuje głównie Lemonnier, który jest jéj prezydentem. W Lidze téj brali gorliwy udział Józef Hauke i Zygmunt Miłkowski; ten ostatni jest dotąd jednym z czynniejszych jéj członków. Jeszcze mniejsze od téj znaczenie miała i ma druga liga, do któréj należeli Arlès-Dufour i M. Chevalier. Kiedy nastąpiła straszna dla Francyi wojna w r. 1870, obaj oni z wielką gorliwością starali się przekonać Gladstone'a o konieczności dania pomocy Francyi; nie osiągnęli jednak swego rezultatu. Po r. 1872 liga paryska dla odróżnienia się zupełnego od ligii genewskiéj zmieniła nawet dawną nazwę na nową: *Stowarzyszenia przyjaciół pokoju.*

W późniejszych latach utworzyły się jeszcze dwa stowarzyszenia pokojowe: *Féderation de la paix et de l'arbitrage* i *La Ligue des travailleurs français, pour la pais internationale.*

Wpływ saint-simonizmu na umysłowość francuską był potężny. Przyczynił się on wiele do téj świetności literatury francuskiéj, jaką ona jaśniała przed r. 1848. Da się on wykazać we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Uległa mu także część duchowieństwa katolickiego i protestanckiego, a ksiądz Deplanches ogłosił się nawet otwartym zwolennikiem saint-simonizmu, oświadczając w liście do biskupa Dupanloup w 1860 r., że chęć ocalenia kościoła uczyniła go saint-simonistą.

O ile się zdaje, po Francyi Włochy najwięcéj uległy wpływowi saint-simonizmu. Jeden z bohaterów włoskich, J. Garibaldi, opowiada w *Pamiętnikach* o olbrzymiém wrażeniu, jakiego doznał spotkawszy się na statku „Clorinde“ z saint-simonistami, kiedy ci pod przewództwem Emila Barrault zdążali do Konstantynopola. Z zasadami nowéj nauki poznajomił Włochów dokładnie Parma w dziele: *Del*

Sansimonismo (Milano, 1835), lecz prawdziwym jéj apostołem był Montanelli, w r. 1848 gubernator republikański w Livorno.

Niemcy także wchłonęły sporą dozę saint-simonizmu. W Lipsku mieszkał saint-simonista Dufour, który budował kolej żelazną z Moskwy do Petersburga, a z którym Enfantin prowadził listowną korespondencyą. Henryk Heine w listach swoich do *Allgemeine Zeitung* z wielką sympatyą zwracał uwagę na nowy ruch religijno-społeczny. Szczególnie stronę religijną badano uważnie. Carové (Der Saint-Simonismus und die neuere französische Philosophie, 1831) i dwaj znani teologowie niemieccy, Karol Bretschneider (Der Simonismus und das Christenthum) i prof. Wendt gruntownie zastanawiali się nad nową nauką. Stronę społeczną saint-simonizmu uwydatnił Warnkönig w swoim artykule: „Die Rechtsphilosophie in Frankreich" (w Mittermaier'a: *Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft*). Wreszcie Moritza Veit'a dzieło: *Saint-Simon und der Saint-Simonismus* (Leipzig, 1834) i dobrze napisana broszurka: *Was ist der Saint-simonismus?*—upowszechniły wiadomość o nowych zasadach. Rzeczą jest niezawodną, że młodsza generacya filozofów niemieckich do metafizyki heglowskiéj domieszała sporą dozę saint-simonizmu. Na późniejszy rozwój myśli socyalistycznéj w Niemczech saint-simonizm nie mógł nie wywrzéć także wpływu, i rzeczywiście z biografii Wilhelma Liebknechta wiemy, że właśnie nauka saint-simonistyczna pociągnęła go ku nowym socyalistycznym poglądom.

W Anglii oceniono saint-simonizm życzliwie, lubo pomiędzy szukającymi nowéj drogi racyonalizm owenowski znacznie osłabiał jego wpływ; dopiéro obszerne dzieło Artura Booth'a (1), które wyszło w Londynie w 1871 r. i które—zdaniem saint-simonistów—odznacza się „dokładnością i bezstronnością" (2), zwróciło na nowo wielką uwagę na doktrynę saint-simonizmu i bardzo życzliwie zostało przyjęte przez prasę brytańską.

W rozwoju umysłowym narodu polskiego saint-simonizm pozostawił także swój ślad, mniéj jednak bezpośrednio, aniżeli pośrednio. Widzieliśmy, że głównie herezye saint-simonistyczne—że się tak wyrażę—zwróciły bezpośrednią uwagę Worcella i Rettela. Wrzenie jednak, wzbudzone przez saint-simonizm, prawdopodobnie utorowało w znacznéj części drogę towianizmowi, którego powodzenie nie tyle może religijnéj jego teoryi, ile charakterowi jego społecznemu przypisać należy. To jedynie może nam wytłómaczyć, dla czego ta-

---

(1) Saint-Simon and Saint-Simonism; A chapter in the history of socialism in France. By Arthur John Booth, M. A. — (2) Str. LIV, Préface. Oeuvres &. Vol. XXIV, Paris, 1872.

kie umysły, jak Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, Karol Baliński Leonard Rettel, Karol Różycki i inni ulegli wpływowi towianizmu. Podobnie jak w młodszéj generacyi filozofów niemieckich spostrzegamy pewien odcień saint-simonizmu, tak samo widzimy takowy w utworach Trentowskiego, Cieszkowskiego i Libelta. Ten ostatni nawet na samym początku swego dzieła: *Filozofia i Krytyka* zaznacza, iż nauka Saint-Simona pierwsza pojęła, „że charakter epoki, w któréj żyjemy, jest *krytyczny*, i że po téj epoce nastąpić musi epoka organiczna, czyli budująca“ (1).

Najwięcéj jednak zbliżył się do saint-simonizmu Henryk Kamieński, pisarz mało u nas znany, ponieważ pisywał bezimiennie, lub pod przybranymi pseudonimami. Jego *Filozofia ekonomii materyalnéj ludzkiego społeczeństwa* (Poznań, 1843), która—podług Libelta—postawiona obok Cieszkowskiego, Trentowskiego i Kremera, najwięcéj się zbliża do słowiańskiéj myśli, jest nawskroś przejęta myślą saint-simonistyczną. Jak Saint-Simon w gruncie rzeczy był industryalistą, ale ze szlachetniejszéj jego strony; tak Kamieński był szlachcicem, ale w najlepszém jego rozumieniu. Podług jego wywodu, przyczyną konieczną dziejowego powstania szlachty była konieczność obrony od germanizmu, a więc patryotyzm; dla niego także, prawdziwą szlachtą za jego czasów była jedynie ta garstka patryotów, która otrzymała od dawnéj w spadku przekazem: „krzewienie samodzielności nadającéj społeczeństwu największą możebną potęgę.“ „Krzewić samodzielność powiada daléj—to znaczy powoływać do ojczyznowéj służby, i biernych natchnąć narodowém czynném życiem; ostatecznie zaś, to znaczy polskim sprawom nadawać najrozleglejszą ludową podstawę“ (2).

Libelt Ludwika Królikowskiego czyni niejako naszym Saint-Simon'em (3). Nie ma w tym względzie słuszności. Ale że saint-simonizm, może pośrednio—wycisnął na tym spółpracowniku Cabet'a także swe piętno, tego zaprzeczać nie można.

Zasady saint-simonizmu sięgnęły nawet aż do stolicy środkowéj mocarstwa północnego i tam w kółku Stankiewicza roznieciły myśl socyalistyczną Aleksandra Hercena, jak to widać z jego pamiętników.

B. L.

---

(1) Str. 1, T. I. Poznań, 1845. — (2) Str. 71 i 72. Demokracia w Polszcze przez X. Y. Z Genewa, 1858. Dzieło nieskończone. — (3) „Królikowski to St-Simon wśród Francuzów, to Bruno Bauer wśród Niemców.“ Str. 185, T. I. W drugiém miejscu powiada, że pomiędzy Bochwicem a Królikowskim zachodzi taka różnica, jaka istnieje między Lamennais a St-Simonem. Str. 177.



DYALOG CZĘSTOCHOWSKI.

W roku 1757 bez oznaczenia miejsca druku wyszła książka p. t. „Historya o pańskim chwalebnym zmartwychwstaniu na sławnym dyalogu prout vulgo dicitur Częstochowskim uczyniona. Ab authore septies exhibita placuit semper.

Siedm kroć się tam wyprawiala,
Zawsze wszem się spodobala.“

Pierwsza zaraz stronnica tej książki nasunąć musi każdemu tę myśl, że w jej wydaniu była jakaś nieczysta sprawa. Według zwyczaju owych czasów znajdujemy tam bowiem najprzód dedykacyą, ale dedykacyą tego rodzaju, że każdy poznać musi, iż jej autor i z samego tego zwyczaju panegirycznych dedykacyi i z samego dzieła, które dedykuje w sposób ironiczny, jak najwyraźniejszy żarty sobie stroi. „Najjaśniejsi, Wielebni, Najprzewielebniejsi, Wielmożni, Jaśnie Wielmożni, Przewielebni, bogato czyli chudo urodzeni panowie i dobrodzieje całego świata“ — odzywa się wydawca Dyalogu na początku tej dedykacyi, doprowadzając do karykaturalnej przesady gorliwość owoczesnych autorów w wyszukiwaniu dla swych prac opiekunów i protektorów. Dalej zaś tak powiada: „Bolało nas to bardzo, że nas za głupich dotąd miano, więc abyśmy z tej opinii wyszli, umyśliliśmy pokazać całemu światu, że się znamy na sciencyach głębokich i ordynaryjnych, i protektorami być możemy zastarzalych sentymentów. Dlatego kiedy dotąd Dyalog o Zmartwychwstaniu Pańskim pod tytulem Częstochowski walał się często po śmieciach, umyśliliśmy dla lepszej o nas opinii *luci publicae* to *opus* wydać. Nie mogliśmy się długo na schadzce naszej zgodzić komu by tę pracę tak *wspaniałą nie mniej i pobożnie rozweselającą* dedykować i baliśmy się, przypisując jednemu, aby zazdrość górująca w narodzie ludzkim nie ściągnęła na nas od drugich nienawiści. A zatem

unanimi voce conclusum, abyśmy dedykowali ten sławny Dyalog całemu światu“.....

Opuszczamy kilka jeszcze końcowych wierszy dedykacyi, nie możemy jednak jako charakterystycznéj cechy pominąć tego, że podpisują się pod nią jéj zmyśleni wydawcy, jako „najniżsi podnożkowie *et scabella pedum vulgo* lizistopkowie“ wszystkich tych najjaśniejszych, wielebnych i wielmożnych, do których się z przemową na początku zwracali.

Dyalog, nazywany powszechnie Częstochowskim, grywany w klasztorze Częstochowskich Paulinów, albo i gdzieindziéj pod ich dyrekcyą, kiedyś bezwątpienia przez jednego z nich lub kilku na współkę napisany, jakby z natury rzeczy wypadało, przez nich tylko mógł być wydany i w ich téż jakoby imieniu cała powyższa dedykacya się odzywa. Jéj ton jednakże równie jak treść zaprzeczają temu, i pokazują owszem, że to ktoś inny pod ich imię się podszył, i nie w innym tylko w tym celu, aby zarówno ich dyalog, ich ciemnotę, jak i nazbyt uniżony sposób zachowywania się wobec wszelakich łaskodawców i dobrodziejów na pośmiech światu podać.

Nie wiedzielibyśmy może, kto sobie tak z biednych Paulinów zażartować pozwolił, gdyby nie to, że na jednym egzemplarzu Dyalogu, który niegdyś był własnością Jana Tarnowskiego, znalazł się następujący napis: „Małachowski kanclerz rozgniewawszy się na Paulinów Częstowskich, to pismo pod ich imieniem wydrukował. Paulini je wykupywali i jest bardzo rzadkie. Czacki przyjacielowi i koledze przesyła.“

Według powyższego świadectwa, któremu nie można odmówić powagi, skoro pochodzi od tak światłego wszystkowiedza, jakim był Tadeusz Czacki, wydawcą Dyalogu, autorem owéj złośliwéj dedykacyi i sprawcą żartu był zatém (od r. 1746) kanclerz wielki koronny Jan Małachowski, „pan z wielkich i z natury i cnoty przymiotów złożony“, jak powiada o nim Niesiecki, „godny minister“, jak dodaje Krasicki w dopełnieniach do Niesieckiego.

O co się pan kanclerz na zakonników Częstochowskich pogniewał, tego nie wiemy i musimy przyznać, że jest-to rzecz wcale zadziwiająca, skąd między nimi do jakichś gniewów przyjść mogło. Że Paulini żart ten przykro uczuli i od śmieszności ratować się chcieli, tego dowodzi okoliczność, że wydanie całe wykupili i zniszczyli, tak, że ledwie kilka egzemplarzy w prywatnych rękach zostało, i dzisiaj Dyalog do wielkich rzadkości bibliograficznych należy. Wiadomo także, że do pewnego stopnia starano się autentyczności Dyalogu zaprzeczyć, utrzymując, że Małachowski wiele w nim własnych dodatków porobił, które pierwotną treść zeszpeciły

i śmieszną ją zrobiły. Wogóle rozgoryczenie z tego powodu w sferach duchowieństwa dość długo trwać musiało. Ks. Gracyan Piotrowski w wydanym przez siebie r. 1773 „Satyrze przeciwko zdaniom i zgorszeniom wieku naszego“ ujmuje się jeszcze za pokrzywdzonymi Paulinami i mocno docina sprawcy żartu. Mianowicie w satyrze XXIV: Na życie próżne przy kancelaryi i na szkaradną łacinę (jakiéj kancelarya używała), odzywa się niby do swego przyjaciela, który manifest stylem kancelaryjnym napisany mu przysłał:

Dalibóg zdało mi się, żeś w humor wesoły
Wpadłszy, chcąc me wiadome rozerwać mozoły,
Komedyą podobną jak Dyalog sławny
Częstochowski wyprawił. Wiesz dobrze: *niestrawny*
Był nam koncept, akt każdy i nabożna scena,
Kiedyśmy raz czytali te *głupstwa*, gdzie wena
Mędrka któregoś, *miejsce ohydziła sprośnie*
I ludzi w niém żyjących z umysłu zazdrośnie,
Bo pomyśleć nie można: *by ludzie z rozumem*
Tak podłych zdań, wyrazów bawili się tłumem.

Ten sam zarzut, że Dyalog został podrobiony, powtarza nadto i w odsyłaczu: „Dzieło to musi być fabrykowane od kogoś dla rozrywki i śmiechu ludzkiego, z krzywdą tamtejszemu zgromadzeniu“ (1). Juszyński, który (lubo prawdopodobnie w innéin wydaniu, jak to w uwadze na dole objaśniamy) Dyalog Częstochowski miał w rękach, nie objawia żadnego powątpiewania o jego autentyczności, za to Wójcicki (w 2 tomie „Teatru starożytnego“) tak mocno w to wierzy, że jest apokryfem przez Małachowskiego na tle jakiegoś starego Dyalogu z XVI wieku popartaczonym, i tak się czuje do niego zrażonym, „że ani wyjątków z niego dać się nie waży, ani dłużéj bawić uwagi nad tą nędzną ramotą.“

(1) W tymże samym odsyłaczu powiada Piotrowski: „Dyalog Częstochowski, książka wydana z dawnego szpargału i przedrukowana kosztem p. Mitzlera, trzeci rok temu.“ Ponieważ Satyr jego wyszedł w r. 1773, wypadałoby zatém, że oprócz wydania z r. 1757 musiałoby jeszcze być drugie z r. 1770. Ale mogła tu zajść i ta okoliczność, że Piotrowski pisał tę satyrę daleko wcześniéj niż była wydrukowaną, to więc jego powiedzenie nie koniecznie zmusza do przyjęcia za pewność, że istniało drugie wydanie Dyalogu, późniejsze od r. 1757. Są jednak inne jeszcze powody przemawiające zatém. Mianowicie te kilka wierszy, które Piotrowski „na przykład upodlonych myśli, wyrażeń i kadencyi“ następnie przytacza, różnią się w pojedyńczych słowach od odpowiedniego miejsca w wydaniu z r. 1757. Juszyński, który w 2 tomie swego Dykcyonarza poetów także o Dyalogu Częstochowskim mówi, opisuje go jako książkę wydaną bez oznaczenia, miejsca *i czasu*, co się także do wydania z r. 1757 stosować nie może, a wreszcie w zacytowanym przez niego małym urywku, innym od tego, który przytoczył Piotrowski, znajdujemy również wybitne różnice w tekscie. To wszystko wskazywałoby na to, że istniało jeszcze jakieś inne wydanie. Rzeczą będzie bibliografii kwestyą tę rozwiązać.

Wobec skreślonéj tu przez nas genezy téj książki, która przez drugą osobę w tym jedynie celu na światło dzienne wydaną została, aby sobą ośmieszyła swoich autorów i tych, którzy ją w rękopiśmie długi czas za coś dobrego uważali i innym uważać kazali; wobec zdań niezmiennie przez ciąg całego wieku o niéj wygłaszanych, że to był „niestrawny koncept“, „głupstwo“, którego ludzie z rozumem dopuścić by się nie mogli, wreszcie „nędzna ramota“, niegodna by się nad nią zastanawiać: dziwném się może wyda, że ośmielamy się tutaj o téj książce, skazanéj, jakby się zdawało, na wieczystą niepamięć, głos zabierać i rzeczą niegodną tego uwagę czytających zaprzątać.

Na to odpowiadamy najprzód stanowczém twierdzeniem, że Dyalog Częstochowski pod względem wartości estetycznéj stoi zupełnie na równi z innemi i z temi, których dawniejsi bibliografowie i historycy teatru nie wahali się opisywać i przynajmniéj w małych wyjątkach do wiadomości ogółu je podawać. To, co znamy z dawniejszych dyalogów, pokazuje, że one ani głębokiemi pomysłami, ani pięknością języka i wiersza się nie odznaczały. Pospolitość mowy i zniżenie nawet wyższych z natury swojéj sytuacyi i scen jest prawie stałém ich znamieniem. Z najsławniejszego z tych dyalogów, z tak zwanego Dyalogu Dominikańskiego, z pierwszéj połowy XVI wieku Juszyński przytacza krótki ustęp, który może służyć jednak za próbkę, jaką była całość.

Jezus mówi do śpiących uczniów:

Uczniowie moi mili jesteście,	I w małéj chwili na modlitwie trwać.
Ale czemu tak spicie bezpiecznie?	Nie wiecież, że w żądości tego utrapienia
Nie mogliście ze mną czuwać,	Dusza moja srodze we wszem utęskniła.

Tu mu się pokazuje Anioł z krzyżem i kielichem mówiąc:

Pozdrowion bądź, Jezusie, Ojciec twój w niebiesiech
Przyjmuje ten pot krwawy, zwiastuje pociechę.

Jezus mówi do Anioła:

O drogi mój Aniele! przyniosłeś zmiłowanie,
Bo duszne męki przyszły wielkie na mnie.

W innym znowu, późniejszym od Dominikańskiego Dyalogu scena w Ogrójcu odbywająca się przy akompaniamencie muzyki rozpoczyna się następującemi przez aktorów śpiewanemi słowami:

Judasz (*do Chrystusa*). Ave rabbi! ja i drabi
Witam ciebie o tej dobie.

Jezus. O mój Juda! na coś luda
Tego przywiodł, na coś zawiodł.

Pomijając inne przykłady tego rodzaju, nie możemy jednak nie przypomnieć Dyalogu Reja: „Żywot Józefa“ (z r. 1545). Rej nie ce-

lował wprawdzie nigdy delikatnym smakiem estetycznym, rubaszność i trywialność wyrażenia były mu niejako wrodzone, choć trzeba przyznać że pod jego piórem nabierały nieraz niespodziewanego wdzięku i powabu, ale mimo to był to umysł wyższy i pisarz z wielkim talentem. A przecież język jakim się osoby jego dyalogu odzywają, równie jest szorstki, i pospolitością drażniący nasze uszy jak w płodach tych skromnych autorów dyalogów, których nawet nazwiska może nigdy przez nikogo nie były znane. W scenach najpatetyczniejszych, w których z natury rzeczy delikatność i szlachetność słowa zdawałyby się nieodzownemi, w chwili, kiedy np. namiętna żona Putyfara odsłania swoje serce i wyjawia uczucia przed skromnym, niewinnym i czującym całe niebezpieczeństwo swego położenia Józefem, w chwili, w któréj niepamiętna na nic miłość a z drugiéj strony niezwykła szlachetność do ciężkiéj z sobą stają walki, w jakiż sposób przemawiają aktorowie do siebie? Czy z tragiczną powagą i godnością, czy językiem zdolnym nas wstrząsnąć do głębi lub rozczulić? Wielkiéj sztuki dokazałby, ktoby zdołał w sobie wzbudzić podobne uczucia, słuchając np. następującego dyalogu:

PUTYFAROWA.

A obacz się djablo samo,
Co ciebie spotyka darmo:
By cię ta rzecz nie ruszyła,
Bych też z zwierzęciem mówiła.

Józef jéj na to odpowiada: Nie szczekaj!

Nie zawsze jest wprawdzie takim grubianinem, ale i to, co gdzieindziéj mówi, nie grzeszy wielką grzecznością:

A nie macież, gospodze,
co innego mówić!
I mniemasz by to dudka
za wiechą ułowić.

Na co mu znów Ufira wcale trywialnie odpowiada:

Miły Józef, oto nie pleć,
Gdy od szczęścia co możesz mleć.

Argument zaiste dobry, a przedewszystkiém praktyczny, ale że płaski, temu nikt nie zaprzeczy.

Na porównaniu zatém z takiemi i tym podobnemi dyalogami Częstochowski nic nie straci i na równi z niemi się utrzyma. Dlaczego zaś panu kanclerzowi Małachowskiemu wydawał się tak śmiesznym, że chciał zrobić z niego rodzaj satyry na swych przeciwników, to także bardzo dobrze pojmujemy. Małachowski patrzał na ten Dyalog z innego zupełnie stanowiska niż my dzisiaj. Dla niego nie był on zabytkiem dawnéj literatury i sztuki dramatycznéj, ale sztuką teatralną, którą podówczas jeszcze grywano, która, że się tak wyrażę, była na ówczesnym repertuarze teatralnym. Mimowoli więc musiało się w jego umyśle rodzić porównanie tego Dyalogu z utworami dramatycznemi, których wprawdzie pan kanclerz w ojczystéj

literaturze nie znajdował, ale które mógł znać w obcych językach. Przypomnijmy sobie, że to był już czas, w którym z dawnéj ciemnoty otrząsnąć się wszelkiemi sposobami poczynano, że Konarski i inni otwierali już wtedy oczy na wszystkie wady i śmieszności ciążące blisko od wieku na piśmiennictwie narodowém, a zarazem i na wzory dobrego smaku w języku i wyobrażeniach. Jeżeli ogół temi nowemi pojęciami jeszcze się nie przejął, to klasy najoświeceńsze, do których wówczas najwyższe warstwy należały, szły już za temi postępowemi ideami, i dawny obskurantyzm ze wszystkiemi jego satelitami, zarówno z przesądem jak i nieokrzesaném prostactem, w obrzydzeniu miały. Taki wysoki dygnitarz, a przytém człowiek tak rozumny i wykształcony jak pan kanclerz, znał bezwątpienia choć po wierzchu literaturę francuską, która w owe czasy słusznie za szkołę dobrego gustu uchodziła, i miał pewnie nieraz w rękach Corneille'a i Racina, których wtedy cała Europa znała i uwielbiała. Jeżeli więc z takim Polyeuktem, z taką Atalią, które na scenach francuskich grywano, porównał Dyalog Częstochowski, a w nim i wszystkie dawniejsze i nowsze dyalogi, które repertoar widowisk publicznych w kraju stanowiły, cóż dziwnego, że te płody dramaturgii narodowéj wydały mu się tak nędznemi i nieudolnemi, że tych, co je za sztuki teatralne przedstawiali i podawali, warto było tylko wyśmiać i wyszydzić. Pan kanclerz Małachowski jednem słowem nie patrzał na to oczyma historyka literatury, szukającego w utworach podobnych do Dyalogu Częstochowskiego początków sztuki w jéj niemowlęctwie lub świadectw dziejowych do pochwycenia pewnych rysów spółczesnych w minionéj epoce, lecz oczyma światowego znawcy, który odtrącał z pogardą miernotę, gdy miał przed sobą gdzieindziéj doskonałość, i który dobrze czuł, że za jego czasów teatr innym być powinien niż był przed laty trzystu. Z tego punktu wychodząc, nie tylko Dyalog Częstochowski, ale wszystkie z dawniejszéj literatury, które znamy dotąd lub kiedykolwiek poznamy, powinienby równém prawem był potępić, i nie ma wątpliwości, że byłby potępił.

Nie rozumieli tego ci wszyscy, co jak ks. Piotrowski w swych Satyrach gniewali się na kanclerza a Paulinów chcieli usprawiedliwić i rehabilitować w opinii. Nie mogąc tego inaczéj zrobić, wobec niezbitego faktu, jakim było istnienie Dyalogu Częstochowskiego, próbowali zarzuty swoje z jednéj a oczyszczenie z win z drugiéj strony oprzéć na téj podstawie, że Dyalog został przez kanclerza *ad hoc* przez rozmaite wkładki i dodatki sfabrykowany. Nam się to jednakże nie zdaje prawdą. Małachowski nie potrzebował bynajmniéj ruszać własnym „konceptem", nic do dyalogu dodawać, aby według kryteryum ludzi z podobnego punktu patrzących jak on, Dyalog wy-

dawał się śmieszną i nędzną ramotą. Powyżéj staraliśmy się na kilku przykładach przypomnieć, jaki styl i duch panował w tych dyalogach. Z natury swojéj musiały one być trywialnemi, jeśli nie dla tych, co na nie patrzyli, to dla nas dzisiaj, a pochodziło to zarówno z przyczyny tych, co je pisali, jak i tych, co byli ich widzami i słuchaczami. Pomyślmy sobie tylko, jak wielkiéj potrzeba było siły poetycznéj, jak wysokiego natchnienia, aby z przedmiotów téj wagi i znaczenia co te, które autorowie dyalogów obrabiali, utworzyć prawdziwe dzieło sztuki. Gdzieindziéj zaledwie taki Lopes de Vega lub Calderon podobnym zadaniom podołali—a my niestety! nie mieliśmy w całéj téj dobie sztuki dramatycznéj nie tylko takich geniuszów, ale nawet ludzi z tym talentem, żeby im choć do kolan dorośli. Z drugiéj znowu strony, tak wtenczas jak i dzisiaj, autor sztuki teatralnéj musiał się rachować z publicznością, publiczność zaś tak przed wiekami jak i teraz chce się na widowisku przedewszystkiém bawić. Nie jesteś zdolny wstrząsnąć do gruntu jéj nerwami, zawładnąć jéj wyobraźnią potężnemi obrazami namiętności i uczuć, musisz ją zająć odwzorowaniem przed jéj oczami tego, co ona codziennie widzi dokoła siebie, o co się w powszedniém życiu ociera, a przedewszystkiém musisz odpędzić od niéj nudę, pobudzając do śmiechu. Naiwnemi słowy, ale mniéj więcéj toż samo powiedział to już Juszyński, tłómacząc ów komizm, który jakby się zdawało ni stąd ni zowąd przyplątał się do poważnéj i uroczystéj treści dyalogów pobożnych. „Nakoniec gdy po klasztorach grywane dyalogi (acz zawsze i tych święte wybierano materye) bywały zupełnie komicznemi, *a lud te uwielbiał, na których się śmiał i niby pobożnie bawił.*" Stąd to poszły i w naszéj jak i w zagranicznéj literaturze te anachronizmy, rażące dzisiaj tak niemiłosiernie umysły do nich nieprzygotowane, to obniżenie tonu aż do poziomu prostaczych upodobań widzów i codziennéj prozy, i wreszcie to popisywanie się z zabawnemi konceptami tam nawet, gdziebyśmy się ich najmniéj spodziewali. Sztuka dramatyczna w swojém dzieciństwie musiała jednak przejść przez podobną fazę i właśnie przez swoje wady czepiała się tém silniéj téj rzeczywistości, któréj zwierciadłem na deskach teatralnych stać się miała. Ostatnie ślady tego duchowego procesu, kiedy już nowożytny dramat krystalizował się w formy niezgasłéj doskonałości, widać jeszcze na Szekspirze. Można powiedzieć, że on w wielkim stylu robił toż samo, co wszyscy ci maluczcy autorowie misteryów i dyalogów średniowiecznych, gdy najbliższą siebie i współczesną sobie rzeczywistość przenosił na obrazy dawno minionych czasów, kiedy sarkastyczny komizm swoich błaznów mieszał zuchwale z najwyższą tragiczną grozą. Ale pod ręką mistrza z tych anachronizmów i z te-

go amalgamatu przeciwieństw wyrastała tylko tém większa prawda życia i podobieństwo do natury.

Również nie można także zapominać i o tém, że anachronistyczne obrazy czy to zwyczajów czy pojęć, nie mniéj jak i pospolitością tchnące rysy z otaczającego prozaicznego życia, dla nas dzisiaj większą bezwątpienia mają wartość niż jakiś szablonowo-konwenansowy styl, choćby nawet wcale przyzwoity, jak to się zdarzało np. w pseudoklasycznych czasach, któryby to wszystko pokrył był bezbarwną a kosmopolityczną monotonnością. Tak pobożne jak i świeckie dyalogi, w téj formie właśnie jaką mają, są dla nas wcale obfitem źródłem wiadomości o tych klasach i stanach dawnego społeczeństwa, które w innych działach literatury albo bardzo rzadko, albo wcale nie znajdowały dla siebie wyrazu. Jakim był szlachcic polski, na wszelakich stopniach hierarchicznego porządku, począwszy od poważnego senatora i burzliwego oligarchy aż do skromnego ziemianina na kilku łanach i zaściankowego rębajły, o tém nam dostatecznie powiedzieli Rej, Kochanowski, Pasek, Wacław Potocki i wielu innych jeszcze z braci szlachty władającéj piórem w licznych swoich utworach, które są chlubą i ozdobą piśmiennictwa. Ale jak wyglądało „pospólstwo“, te tłumy narodu, które przeszły nie zostawiwszy w historyi widocznych śladów po sobie, a obejmowały zarówno mieszczan jak i lud wiejski, o tem-byśmy prawie nic nie wiedzieli, gdyby właśnie te dyalogi nie były nam skreśliły przynajmniéj lekkich sylwetek typowych. Chłop, student, klecha, żołnierz, oto są obok figur świętych z biblii, najzwyczajniejsze postacie występujące na dawnym teatrze, i dające nam chociaż przybliżone wyobrażenie o tém, jakie były pojęcia i zwyczaje, jaki stan wykształcenia i język ludzi do niższych stanów w Rzeczypospolitéj należących.

Ale wracając do naszego głównego założenia, oprócz moralnego przekonania i analogicznego dowodu o autentyczności Częstochowskiego Dyalogu, możemy poprzéć to twierdzenie jeszcze pewnemi materyalnemi argumentami. I tak najprzód, jeżeli przypuścimy istnienie drugiego wydania, które Piotrowski Mitzlerowi przypisuje, a Juszyński wydaniem bez oznaczenia czasu nazywa, to niektóre ustępy z tego drugiego wydania przytoczone przez Juszyńskiego (Dykc. poetów. T. II, str. 408 i 409), z wyjątkiem niewielkich różnic zgadzają się z tekstem przez Malachowskiego wydanym. Silniejszym dowodem jeszcze jest podobnaż zgoda między wydaniem Malachowskiego a wyjątkami cytowanemi przez Wójcickiego (Teatr starożytny. T. I, str. 71 i 72), podług rękopismu z wieku XVI po ś. p. Tańskim. Wydanie drukowane po r. 1757 mogłoby jeszcze być powtórzeniem pierwszego, opierać się na nim, to lub owo z niego prze-

jąć, ale rękopism współczesny powstaniu Dyalogu, nie mógł przecież mieć tych samych złośliwych intencyi, co Małachowski, i za najwiarogodniejsze świadectwo autentyczności służyć może.

Z tych wszystkich powodów przypuszczamy, że co najwięcéj wydanie Małachowskiego z r. 1757 mogło być zepsute i zeszpecone przez mimowolne omyłki druku i złe odczytanie rękopismu. W istocie pełno jest w niém rażących błędów, tak że trudno nieraz domacać się nawet sensu.

Usunąwszy zatém na bok tę niebacznie lub z interesu podniesioną niegdyś kwestyą, że Dyalog Częstochowski musiał być „przez kogoś sfabrykowany dla rozrywki i śmiechu ludzkiego,“ musimy w nim uznać jeden z bardzo ważnych zabytków naszéj dawnéj dramatycznéj literatury, a mianowicie z najmniéj znanego jéj działu dyalogów pobożnych. Z piszących o literaturze najwięcéj tych dyalogów znał podobno i miał w rękach Juszyński, z późniejszych Wójcicki przepisał poprostu to co Juszyński powiedział, a Wiszniewski (w VII tomie literatury) więcéj już własnemi słowami powtórzył. Już jednak i Juszyński znał ich najwięcéj w rękopismach (jak się wyraża: „w rękopismach jest ich dosyć“), w druku zaś „nie wiele“, bo że znów jego własne wyrazy przytoczymy, „dwa tylko i to nie całe widziałem.“ Jednym z tych drukowanych jest niewątpliwie Dyalog Częstochowski, który byłby drugim? tego z Juszyńskiego widzieć nie można. Ponieważ zaś Dyalog Częstochowski jest pod względem bibliograficznym wcale dokładnie przez Juszyńskiego opisany i wyjątki z niego porobione, nie wahamy się twierdzić, że on to właśnie był tym „całym“ drukowanym dyalogiem, który Juszyński miał w ręku. Być może, iż kiedyś wiadomości nasze w téj mierze się rozszerzą, że poznamy więcéj jeszcze dyalogów pobożnych jeśli nie drukowanych, bo o tém wątpić już można, to przechowanych na piśmie (1). Możliwe jednakowoż jest i to, że do dziś dnia nawet z liczby tych rękopisów, które jeszcze miał przed sobą Juszyński lub inni, niejeden niepowrotnie zaginął. Bądź co bądź, tak jak rzeczy dzisiaj stoją, Dyalog Częstochowski jest jednym z niewielu znanych kiedykolwiek czy to w druku czy w rękopiśmie najdawniejszych dyalogów pobożnych, a jedynym całkowitym, jaki w druku do nas doszedł.

---

(1) Przypominam tu także dyalogi znalezione przez ks. A. Załęskiego w Pułtusku r. 1827 i przez niego w Bibl. star. pisarzy pol. Wójcickiego w tomie VI, opisane. Należały one bezwątpienia do teatralnéj biblioteki przebywających tam niegdyś Jezuitów. Na 37 dyalogów 15 jest polskich, najdawniejszy o Najśw. Sakramencie z r. 152[illegible] inne z czasów późniejszych 1578—1623, najwięcéj na Boże Ciało. Przytoczone przez ks. Załęskiego wyjątki bardzo korzystne dają o niektórych tych dyalogach wyobrażenie.

Z tego także powodu, jest to obecnie może jedyne już źródło, z którego możemy zaczerpnąć wiadomości i utworzyć sobie wyobrażenie, jak to wyglądał w całości taki dyalog pobożny z XVI wieku pod względem treści, przeprowadzenia rzeczy czyli architektoniki, a nawet pod względem wystawy scenicznéj, bo i w téj mierze bardzo liczne w informacyach dla aktorów i reżyseryi znajdujemy tam wskazówki.

I tak umieszczony przed Dyalogiem rodzaj instrukcyi, „przemowa do tego co będzie historyą tę wyprawiał“, powiada, że Dyalog, jak to z treści jego wynika, może być przedstawiony „inter Festa Paschalia et Ascensionis Domini.“ Przedstawienie odbywało się tak w miastach jak i po wsiach, dokąd aktorowie czasem ze swojém widowiskiem zjeżdżali, w kościele albo téż na cmentarzu. O miejsce stosowne, o budynek teatralny niejako, nie bardzo się troszczono. Jeżeli przedstawienie odbywało się na cmentarzu, wystarczało nakryć miejsce „choćby majem“ tj. świeżemi gałęziami i to „dla deszczu“ jedynie. Ponieważ do Dyalogu należało około 40 „person,“ przemowa podaje także rady, jak niektórzy aktorowie po dwie role braćby na siebie mogli. „Dla prędszego odprawienia téj historyi“ można także nie czytać ewangielii przed każdą częścią czyli aktem zwykle odczytywanych i opuścić śpiewanie, lubo to ostatnie dobre jest „dla ludzi śpiących, żeby się przebudzili.“ Garderoba teatralna i rekwizyta, dosyć liczne w Dyalogu, mogły tu i owdzie a zwłaszcza na wsi nie małą stanowić trudność. Przemowa zaradza i temu powiadając, że można „do niemieckiego stroju zużyć na pludry inde rękawów (czyli jak poprawniéj jest w Juszyńskim: inderaków tj. spódnic), niewieścich, obwinąwszy i podszywszy dobrze, będzie to czyście wygodnie jak przymuskał. Peruki mogą być z konopi albo ze lnu, tylko przy ogniu z niemi ostrożnie (dodaje praktyczny reżyszer) dla turbacyi i śmiechu ludzkiego, którzy nie wstrzymawszy się od wielkiego śmiechu popsowaliby materyą téj poważnéj historyi.“

Więcéj jeszcze podobnych informacyi o dekoracyach, kostiumach a także o grze aktorów, o gestach i intonacyi głosu, jakie przybierać mają, znajdujemy w stosownych miejscach w samym już tekście Dyalogu.

Zanim przedstawienie się rozpocznie, „najpierwéj dla uspokojenia ludzi,“ dla lepszego skupienia uwagi słuchaczy, odśpiewywano zwykle pieśń: „Przez Twoje Chryste Zmartwychwstanie“, poczém dopiéro występował przed publiczność „Prolog“, w osobie młodzieńca trzymającego w lewéj ręce palmę i z wieńcem na głowie. Prologu zadaniem było zawsze powitać słuchaczy, zachęcić ich do uwagi, prosić o pobłażliwość, a wreszcie zapoznać z treścią ogólną widowi-

ska. Więc też i tutaj ma się „młodzieniec prosto przed się ukłonić“ dla powitania całego zgromadzenia, a potém wygłosić, jak „Wciornastkie (wszystkie) rzeczy stworzone“... weseliły się niegdyś:

Czasu onego świętego
Zmartwychwstania Chrystusowego.
Naprzód z nieba aniołowie,
Uczciwi bardzo ludziowie,

kiedy przy grobie Chrystusa pierwszą wiadomość o tém podali świętym niewiastom, a potém ludzie wszyscy i wszędzie pod ziemią (w otchłani), w ziemi (w grobach) i na ziemi (tj. żywi), a zwłaszcza apostołowie i uczniowie Chrystusa.

Stworzenia zaś nierozumne,
Wciornastkie rzeczy choć dawne (?)
Toż po sobie pokazują
Iż się stąd bardzo radują,
Drzewa swojemi pączkami
Listkami i też owocami
Które wypuszczają z siebie
Na każdy rok o téj dobie.
Znać to wszędzie i na lesiech
I na górach i na polech;
Wszystek się świat zazielenial,
Jakby też więc przemówić chciał;
I słońce oraz inaksze,
Wyższe, cieplejsze i jaśniejsze.

Po tym niepozbawionym poetycznego wdzięku zwrocie do natury, powiada Prolog dalej, że dlatego właśnie powodu, dla wznowienia téj wiedzy ze zmartwychwstania Pańskiego „tośmy sobie umyślili,“ iżby „wierszami pokazać tę historyą z pisma świętego zebraną.“ Po chwilowym więc przestanku, jak informacya poucza, ogłasza:

Komedya już tu będzie
Po Częstochowie i wszędzie.

Jeśliby się zaś komu zdawało, że tu co nad tekst Ewangelii będzie przyczynione, to Prolog odwołuje się w tém na zwyczaj, powszechny i latami ustalony, bo w tém „starszych patronów mamy.“ Obracając się następnie na wszystkie strony i kłaniając „uczciwie z poszanowaniem audytora“, uprasza o spokój i uwagę:

Waszmość się już uspokójcie,
A rzeczy pilnie słuchajcie,
A chcąc waszmoście mieć czujniejsze,
I słuchanie nie ospalsze
Dla poobiedniego spania,
Będziem dobywać śpiewania.

Oprócz „komedyi“ tj. właściwego przedstawienia zmartwychwstania, zapowiada także i „facecyą“ w ciągu widowiska, przez co rozumieć zapewne należy zarówno drugi dyalog komiczny na końcu odgrywany, jako też i te zabawne ustępy, które tu i owdzie, w poważnéj historyi słuchaczów do śmiechu pobudzić mogły. Wyraziwszy wreszcie zwyczajne życzenie:

My się weselmy Chrześcijany,
Tylko nie bądź żaden pijany (!)
Tu, jedno miejcie solamen, (pociechę)
Drugie w niebie wszyscy. Amen—

znowu „młodzieniec ukłoni (się) na wszystkie strony i pójdzie z powagą.“

„Część pierwsza,“ tak jak i każda następna, rozpoczyna się odczytaniem tego ustępu z ewangelii, na którym została osnuta. Jest

to zatém rodzaj drugiego przed każdym aktem prologu obznajmiającego widzów z treścią przedstawianéj akcyi. To odczytywanie ewangelii przypomina nam także blizki związek, zachodzący między sztuką dramatyczną a uroczystościami religijnemi, które jéj dały początek. Dyalog pobożny jest zupełnie tym samym stopniem rozwoju poezyi dramatycznéj jak owe starogreckie misterya, na których hymny bachiczne odśpiewywano i opowiadano cudowne przygody Dyonizosa. Osoba odczytująca ewangelią ma téż na sobie strój nawpół duchowny i księży a nawpół teatralny; ubrana jest w albę, na krzyż stułą przepasana, w kapie białéj albo czerwonéj, z wieńcem na głowie i palmą w ręku.

Scena téj pierwszéj części przedstawia po jednej stronie pokój Piłata „z namiotu lub i z płótna zgotowany,“ po drugiéj zaś grób, w którego wnętrzu leży Chrystus. Piłat siedzi u siebie „tylko w sukience spodniéj, jako do spania gotując się.“ W tém wchodzą do niego Annasz, Kaifasz i Faryzeusz i ukłoniwszy się, proszą go, by kazał strzedz grobu Chrystusa, ponieważ sobie przypomnieli:

Iż więc ów zwodziciel mówił,
Gdy się między ludźmi bawił,
Po trzech dniach z grobu powstanę,
I zasię królować będę.

Piłat „rozszerzywszy ręce“, odpowiada im:

Mili panowie Żydowie,
Tego miasta Biskupowie
Wszystko u mnie otrzymacie,
I więcéj o co prosicie.
Oto macie me żołnierze,
(Ukaże tu na żołnierze przed sobą stojące)
A mają wielkie kołnierze (!)
Pilaxa z tym Teoronem
I Proklusa z Pilemonem.
Już tam kiedy chcecie idźcie,
Jak najlepiéj wiecie, strzeżcie.

Przypomina im jednakże Piłat, dla lepszéj zachęty żołnierzy:

Jedno nie chciejcie być skąpi,
Nie jak żydzi.

Na co Annasz „włożywszy ręce w kieszenie, brząknie pieniędzmi“ i powie:

Oto się wy nie starajcie,
Ani się nas wystrzegajcie,
Nasza rzecz jest pieniądze dać,
A wasza grobu pilnować.

Poczém odchodzą od Piłata. Po drodze Kaifasz upomina żołnierzy aby się dobrze uzbroili. Naiwny autor kładzie mu przytém w usta takie anachronizmy:

.... Wszyscy
Samopały nabijajcie,
Rohatyny nagotujcie.

Pieczętują potém woskiem grób, a żołnierze upewniają ich o swéj czujności i pilności, w junacki sposób się odgrażając i wstrząsając bronią:

Niechaj przyjdą zwolennicy, (Chrystusa)
Ale wara, zginą wszyscy!

Po odejściu Arcykapłanów, żołnierze dla zabicia czasu częstują się „tabaką“ (tytoniem) zapalają fajkę i „kurzą jeden drugiemu podając“ i zachwalając ją sobie:

Pilax. Héj, prawdziwie bardzo dobra!
Teoron. Nie wszędzie ją taką kurzą!

Potém rozstawiwszy się na czterech rogach grobu, śpiewają pieśń strażacką:

Czuwaj, czuwaj a nie leży,
Ale grobu pilnie strzeży,
Chceszli byś nie był na wieży.

Odgrażają się jeszcze jakiś czas wszystkim, którzyby mogli mieć ochotę tajemnego uniesienia Chrystusa z grobu, mianowicie św. Piotrowi i „białogłowom,“ aż wreszcie znużeni siadają i położywszy głowę jeden na drugim zasypiają. Na scenie zjawia się rodzaj chóru, „młodzieńcy w białych koszulach z palmami w ręku i z wieńcami na głowie“ i stosownie do sytuacyi odśpiewują pieśń: Sepulto Domino.

Miejscem działania „części wtoréj,“ choć to nie jest wyraźnie w Dyalogu oznaczone, musi być plac publiczny, ulica, gdzieś zaś, w głębi widać sklep aptekarski. Po odczytaniu w ten sam sposób jak w pierwszym akcie ewangelii, zjawiają się na scenie Marya Magdalena, Marya Jacobi, Marya Salome i Marya Joanna. Pobożne niewiasty zajęte są myślą, aby „dla mistrza swego miłego“ w grobie coś uczynić. Magdalena dla okazania gotowości wstrząsa „wackiem i podnosi do góry,“ poczém postanowiszy kupić „ziół woniejących, wódek, olejków pachnących,“ i ciało mistrza niemi natrzéć, zbierają międzу sobą na ten cel pieniądze. Marya Jacobi daje „sto dukatów,“ Magdalena pięćdziesiąt starych talarów, i tak każda wysypuje z woreczka co może. Zamiast pieniędzy mają być „liczmany. A jeśliby tych jako *in rure* nie było (dodaje przezorny na wszystko informator), tedy może marchwie (zamiast dukatów a rzepy zamiast talarów) okrągło nakrążać, tylko jéj nie wysypować ale powoli z wacka wybierać żeby niepoznano, że marchew (lub rzepa), boby się tak śmiechu narobiło, gdzie go nie potrzeba.“ Magdalena zbiera te wszystkie do wacka i „pobrawszy z sobą koszyki“ idą śpiewając: Rozmyślajmy dziś itd. na zakupno towarów do aptekarza.

„I otworzy się apteka, w któréj aptekarz będzie *species* w moździerzu tłukł.“

Marya Jacobi wita go:

Pomóż Bóg panie Rubenie,
Cnotliwy *Chrześcianinie*—

na co Ruben odpowiada: Witajcież mi miłe panie—a położywszy ręce tj. zaprzestając roboty, uśmiecha się, spogląda po wszystkich i mó-

wi do siebie: „Jaki ci troff (traf), wszystkoć Marye"—tak go ta okoliczność bawi.

Niewiasty powiadają, czego chcą. Magdalena „tego i owego powąchawszy", wybiera towary. Ruben nakłada w słoiki balsam, mirrę i olejki, zawiązuje je i na dowód, że swych klientek nie oszukuje, chce im to wszystko odważyć, ale Marya Joanna powiada, że tego niepotrzeba, bo on jest zamożny i przytém „znajomy mieszczanin," więc mu ufają. Ruben zapewnia je znowu ze swojéj strony, że im tanio sprzedaje, „prawie jak sam od kupca mam," tylko za „spikanard" drożéj zapłacą, bo to rzadki towar. Na co Magdalena mu odpowiada, że mu wierzą, bo on „nie jest żydowin, ale wierny chrześcijanin," one zaś także mu krzywdy nie uczynią i gotówką za wszytko zapłacą. Po tych wzajemnych grzecznościach i ustępstwach, Magdalena wysypuje pieniądze i kobiety zabrawszy słoiki i bańki odchodzą.

Pozostaje sam Ruben, w którym pomimo okazanéj niedawno gotowości do wszelakich ustępstw, a nawet może pomimo dość znacznego zysku, jaki otrzymał, odzywa się żyłka kupiecka, że mógł może więcéj zarobić, gdyby się był lepiéj targował, więc skubie się w głowę, pokazuje na migi, że mało dały, „naostatek kiwnąwszy głową i ręką", rzecze:

Już z panem Jezusem idźcie,
U mnie drugi raz nie kupcie.

W ogóle cała ta scena w aptece wiele ma w sobie rysów z rzeczywistości.

Część wtóra, podobnie jak pierwsza, kończy się chórem młodzieńców śpiewających: *Cum transiret Sabathum.*

W części trzeciéj, poprzedzonéj odczytaniem stosownego ustępu z ewangelii, przenosimy się znowu przed grób Chrystusa. Są tam przy nim, jak ich w części pierwszéj zostawiliśmy, czteréj żołnierze na straży. Ale grób już jest odkryty i po obu jego rogach siedzą „modeste" dwaj aniołowie. Spostrzega to jeden z żołnierzy, a tymczasem za kulisami, udając trzęsienie ziemi „młodzcy na to naprawią w kącie gdzie wystrzelić ostrożnie i grzmot jaki uczynić mogą." Żołnierze przerażeni krzyczą „głosem wielkim" i wywracają się „nogami do góry," padają na ziemię, „a za *arma* każdy jak módz będzie się chwytać." Poznają, że się coś stało, co będzie dla nich wstydem:

Sromotać to nasza będzie, (powiada Pilax) Czemuż go tak wolacie?
Jedno się dowiedzą ludzie. Wczas ci bracie po harapie,
Was is das? Proklusie bracie, A Chrystus już nie w grobie.

Jakoż zajrzawszy do grobu, przekonywują się, że Chrystusa w nim niema, odchodzą przeto, by opowiedzieć, co się stało. Tu scena przenosi się niby do miasta, do domu Annasza i Kaifasza. Sta-

ją przed nimi żołnierze i powiadają, że Chrystus zmartwychwstał, czego dowodem „biali aniołowie,“ których w grobie widzieli, kapłani nie chcą wierzyć téj niepomyślnéj nowinie:

A wej mir! (woła Kaifasz) Chrystus zmartwychwstał!..
Dopiero by swój błąd rozsiał.
Co inszego powiadajcie,
A tym żartom pokój dajcie.

Odpowiada Theoron:

Djabla to żart, mości Xięża,
Nieinaczéj, tak się rzecz ma.

Kapłani każą na chwilę żołnierzom „na dwór“ ustąpić i naradziwszy się między sobą, wołają ich z powrotem i namawiają, ażeby ludziom powiadali, że kiedy oni usnęli, zwolennicy Chrystusa wykradli go z grobu. Annasz obiecuje im za to nagrodę, i dla większéj pokusy „zabrząknie pieniędzmi i położy je na stole z workiem.“ Żołnierze po niejakiém wahaniu się, kiedy Kaifasz od tego grzechu ich uwalnia, „przeżegnawszy ich dwoma palcami“, a Annasz załatwienie téj sprawy ze starostą na siebie bierze, przystają na to i zabierają pieniądze. Dla okazania im większéj przyjaźni Annasz zaprasza ich do siebie na święta:

Na święty Wojciech za tydzień
Przyjdziecie do nas na szczodry dzień—

ale skądby mógł był znać świętego Wojciecha, który w tysiąc lat później dopiero się urodził, tego sam autor nie umiałby nam pewnie wytłómaczyć. Śpiew młodzieńców kończy znowu tę część.

Część czwarta stanowi niejako jądro całego Dyalogu; co do treści jest najważniejsza, bo przedstawia Zstąpienie Chrystusa do piekieł i wybawienie przez niego cierpiących tam Patryarchów, jest także najobszerniejsza a co do scenicznéj wystawy najtrudniejsza, bo ówczesny kunszt dekoratorski i reżyserya miały bezwątpienia nie mało trudności do zwalczenia, by przedstawić widzom przedsionek i wnętrze piekła, tudzież ukostiumować i wyuczyć ról tak znaczną liczbę osób, jaka w tym akcie na scenie pokazać się miała. Zamiast ewangelii na początku téj części ma się czytać *Credo* a potém psalm 23; „a kiedy przyjdzie (czytający) tam do tego wiersza: Podnieście książęta bramy wasze—Jezus się pokazuje ubrany w albę i w kapę z chorągwią w ręku a tłukąc do piekła rzecze:

Ehej, piekielne książęta,
Otwórzcie się (?) wasze wrota,
Otwórzcie się ziemia (?) bramy,
Wnijdzie tam król wiecznéj chwały.

Lucyper za wrotami piekielnemi zapytuje się co to za jeden? i wysyła Cerbera, aby zobaczył. Na jak wielki efekt liczył autor przy tém pokazaniu się Cerbera, widzimy z bardzo szczegółowéj informacyi, jaką na tém miejscu podaje: „Tu Cerberus uchyliwszy ostrożnie

drzwi wyda naprzód piekielny smród z płomieniem, i ukazawszy się trochę we drzwiach znowu zamknie za sobą prędko, a może dla rozerwania (i) uciechy audytora ogon sobie drzwiami przyskrzynąć. i zaskowyczawszy jakoby z boleści, znowu odchylić drzwi i wyjąć go.“ To, co zobaczył, przestraszyło bardzo Cerbera, przerażony więc powiada swemu panu: „Nie hihi to Lucyperze!“ Lucyper zniecierpliwiony „uderzywszy rękę w rękę“, pyta o dokładniejszą relacyą. Cerber powiada mu przeto, że to nikt inny tylko Jezus Nazareński

Z chorągwią jakąś czerwoną
Krzyżem napieczętowaną.

Więc i Lucypera strach ogarnia. a zwłaszcza boi się o to, że mu Chrystus „one dziady“ tj. Patryarchów zabierze, i żałośliwym głosem użala się nad tą swoją stratą. Jakoż i Patryarchowie w otchłani, mianowicie Adam i Ozeasz, poczuli już przyjście Chrystusa, i zaczyna się między nimi a ich dotychczasowymi ciemiężcami wzajemne odgrażanie się i kłótnia. Jezus tymczasem znowu „tłucze nogą i chorągwią“ w bramę piekielną, ponawiając swe wezwanie, a co słysząc Lucyper, woła na djabłów w piekle, by się mieli do obrony:

Bracia djabli do ożogów,
Strzeżcie pilno waszych progów.

Na ten rozkaz „Djabli rozmaitemi głosami zawołają w piekle: Hola, hola, sta! hola hatrafara, Chryste wara!“

Więc i Chrystus tém ostrzéj się do nich brać musi:

A wieleć to, Lucyperze,
Tak markotać, piekielny psie,
Na Pana Boga mocnego,
Na wsze walki potężnego.

DJABLI. Fru, bru, hara! Chryste wara!

JEZUS. Jak ci hara ta poczwara,
Jaki fru bru w tym tu kublu!
Wnet was wszystkich zaraz skrócę,
I tą chorągwią zmłócę.

Abraham i Adam odzywają się znowu, wzywając Chrystusa, by przyśpieszył ich uwolnienie, co tém bardziéj o złość przyprawia Lucypera. Nie chcąc puścić swych ofiar, woła na Djabłów:

Ad idem, bracia, ad idem!
Do browaru z tym to żydem,
Co sam sobie przekwintuje,
Iż u drzwi Jezusa czuje.
Zbadło mu się święconego,
Radby do raju wiecznego,
Już nie dba a smołę naszę
Woli w raju z mlekiem kaszę;
Bracia djabli zamykajcie,
Łańcuchami zakładajcie!

Ale Chrystus po trzeci raz „gniewając się“ w bramy uderzy. „I otworzy się piekło, co obaczywszy Lucyper będzie uciekał chyłkiem z łańcuchem na szyi, a Pan Jezus będzie go po piekle gonił, to tam to sam, i pojmawszy go rzecze:

A ty to tak djable gdaczesz?
Koło drzwi z łańcuchem skaczesz,
Tudzież sobie przekwintując,
Ze mną jak z równym żartując.
Nie z Jewką to będzie w raju,
Przyplacisz tego łabaju!

Wej, a widzisz tę chorągiew
Czerwoną jako moja krew?
Wara, wara, zły duchu.
Utkwieć tę chorągiew w brzuchu!

Zwyciężony, pojmany, widzi Lucyper, że nie poradzi, że piekło musi postradać:

Biada, biada, biada, gorze!
Pójdźmy bracia gdzie za morze!

Pociesza go jednakże Cerber, że stratę tę gdzieindziéj można powetować. i niedługo znowu wiele innych dusz dostać pod swoję władzę. Lucyper widzi trafność tego spostrzeżenia, a ta uciecha djabłów, jaką czują na myśl, że ludzkie grzechy, błędy i wady znowu im napędzą nowych mieszkańców do piekła, jest wcale nie złą i w takiéj sytuacyi dowcipnie pomyślaną satyrą na owoczesne zwyczaje a zwłaszcza na zbytki i nałóg klęcia przez wszystkich djabłów przy każdéj sposobności.

Pomściemy się tego w klasztorach,
W karczmach, szpitalach i dworach,
Będziem wadzić mnichy, chłopy,
Księżą, niewiasty i popy,
Znowu się nam te podwoje
Napełnią i tyle troje.

Lucyper (któremu autor każe tutaj wołać „głosem wielkim a niewdzięcznym,“ jakby chciał powiedziéć swojemu audytoryum, że to do niego właśnie pije):

Z szynkarek niesprawiedliwych,
I panienek nieprawdziwych,
Krótkich mi się chce lektyhów,
Małych kwaterek i téż funtów.

CERBERUS. Powiezl :my panny na takach,
W terpeiach, szerokich tkankach;
Hojdysz. hojdysz! buczno będzie
U nas tu po piekle wszędzie?

Tu djabli zawołają: Hojdysz! hojdysz! buczno będzie!—a Cerberus:

Powagi téż zażyjemy,
W sukniach się nosić będziemy
U pań na długich ogonach,
A panów wielkich kołnierzach;
Dostanie się i w pióreczku
Za czapką na pacholeczku;
Nie trzeba się nam kłopotać,
Nie będziemy nędzy klepać,
Będziemy w wielkiéj powadze,
Będą nas wspominać wszędzie,
Nie poczną ludzie bez nas nic,
Wszędzie panu djablu być,
Z nami wygnać bydło w pole,
Z nami i młócić w stodole,
Na djable do młyna zawieść,
Na djable drwa z lasa przywieść.

Lucyper pragnie się wyrwać z rąk Chrystusa, ale nadaremnie. Dostaje tylko od niego nowe uderzenie „pięścią w szyję,“ poczém Jezus „nogą i chorągwią“ spycha go do piekła, gdzie przykuty na łańcuchu ma zostawać. „Tu może Lucyper (dodaje informacya) smród jaki wypuścić, a djabli zawołają rozmaitym głosem:

Gwałtu! nasz najmilszy tata,
Zginął Lucyper do kata!“

Cerber, który w tym piekielnym świecie odgrywa niby rolę komicznego sługusa, widząc co się dzieje, chowa się w kąt w nadziei, że gdzie wielkich biją, tam na małych nie zwraca się uwagi. Ale Je-

zus nie zapomina i o nim, wyciąga go za łańcuch z kąta i przykuwa do drzwi piekła. Jeszcze i wtedy udaną pokorą próbuje Cerber nadaremnie przebłagać surowego zwycięźcę, więc łasi się „głową do ziemi a ogon pod się ułoży.“

Patryarchowie na widok Chrystusa zbliżającego się do nich, wyciągają ręce do góry i witają śpiewaniem swojego zbawcę. Chrystus wyprowadza ich z piekła. Przy drzwiach mijając Cerbera, Patryarchowie wyrządzają mu „psikusy i natrząsają się z niego, aby się tym sposobem pomścić niejako za prześladowania, których od niego doznawali. Wyprowadziwszy ich Chrystus, po raz drugi obraca się do piekła, i stanąwszy przy drzwiach, wysadza z czeluści piekielnych za ręce inne jeszcze dusze, „które będą reprezentować małe dziatki w koszulach tylko, dobrzeby żeby nie w prostych ale jedwabiem szytych dla ozdoby“—w czasie czego Chrystus mówi:

Ujmijcie się miłe dziatki
Téj to mojéj mocnéj ręki,
I także krzyża świętego
Na chorągwi znaczonego—

a gdy przestanie, temiż samemi prawie słowy odzywa się chór śpiewaków, co bezwątpienia dla podniesienia efektu téj czułéj sceny służyć miało. W téj chwili zjawia się „nieznacznie“ Archanioł Michał, „którego jeśliby po anielsku i zbrojno było ubrać trudno, ma być w komży a w prawéj ręce miecz albo szefelinę jaką trzymać; jeśli może być i szyszak; dobrze.“ Chrystus rozkazuje mu odprowadzić wybawione dusze do raju, bo sam musi iść „matuchnę swoję nawiedzić.“ Różni z Patryarchów jak Ozeasz, Adam, Abel, Noe, Jan Baptista „w baranią skórę ubrany, wełną na wierzch z prawego ramienia,“ wreszcie i ów dobry Łotr, co razem z Chrystusem był krzyżowany, oświadczają się z gotowością iść naprzód i matkę Jezusa o jego przybyciu uwiadomić. Ale Jezus każdemu z nich po kolei odmawia tego zaszczytu, zbywając ich jowialnemi racyami, poczęści uzasadnionemi w ich dawnych błędach (np. że Adam przyzwyczaił się, długo zabawiać „z Jewką po gaju“, więc i teraz by się spóźnił, albo że Noe „usnąłby podpiwszy sobie“), po części zaś niczém nieusprawiedliwionemi więc jeszcze naiwniejszemi, jak że Matka zlękła by się św. Jana „w téj baraniéj siermiędze,“ a Łotr nie wydążyłby na czas bo mu „połamano nogi.“ Ta odpowiedź poczciwego Łotra tym bardziéj musiała zaboleć, że on dopiero co przedtém, aby dać dowód swéj zręczności, podskoczył „obróciwszy się na kulach chyżo.“ Koniec końców w poselstwie do N. Panny zostaje wyprawiony Anioł, który w téj chwili ukazał się „z boku.“ Do niego mówi Chrystus:

Idź ty co prędzéj Aniele,
A zaśpiewaj Matce śmiele:
Regina coeli laetare, Alleluja!

Po trzykroć śpiewając Alleluja! odchodzi Anioł, a za nim Chrystus z Patryarchami. Zostaje jeszcze chwilę Archanioł Michał „z dziatkami,“ którym obiecuje, że do Raju ich zaprowadzi, i tam

Nakarmię was z mlekiem kaszy
I miód dam pić z złotéj czasy.

Poczém zaintonowawszy im pieśń: Wesoły nam dzień itd. wychodzi na czele tego zastępu niewiniątek.

Tu musimy sobie wyobrazić, że dekoracya się zmienia na mieszkanie N. Panny. Na scenie bowiem pokazuje się Matka Jezusowa. Staje przed nią Anioł wysłany przez Jezusa i śpiewa: Regina coeli itd. Chór śpiewaków odpowiadając mu, odzywa się: Alleluja !A gdy Anioł przyjdzie do wiersza: Ora pro nobis. chór odpowiada mu znowu: Ut digni efficiamur. „Potém Anioł będzie miał oracyą i zwyczajnym tonem śpiewał: Deus qui per ressurrectionem. Którą gdy skończy pokaże się przed Matką Jezus.“

Cała zatém ta scena, z wyjątkiem śpiewów, jest niema; N. Panna nic się w czasie niéj nie odzywa, a nawet i „oracya“ Anioła odbywa się na migi.

Powitanie Chrystusa z Matką jest bardzo krótkie; Jezus chciał ją niby tylko przekonać o swojém Zmartwychwstaniu, „miłosne rozmawianie“ zaś „zachowuje na potém,“ bo teraz musi gdzieindziéj odejść. Chór Młodzieńców zamyka tę część, śpiewając jakąś starą nabożną pieśń z treści swéj zupełnie podobną do przedstawionéj dopiero ostatniéj sceny:

Ukazał się dając znać jéj
Nie zapomniawszy matuchny miléj.
Tak ją pozdrowił:
Zdrowaś bądź Panno, z ciebiem się narodził,
Zawszem ja z tobą,
Po dwanaście lat wezmę cię za sobą

W części piątéj spotykamy się znów z temi pobożnemi niewiastami, które w akcie drugim nakupiły u aptekarza Rubena olejków i wonności do nabalsamowania ciała Chrystusowego. Stając już blisko grobu, kłopocą się, kto im odwali wielki kamień przykrywający go, aliści spostrzegają, że kamień już odwalony a w grobie widzą: „coś nadobnego—w szacie lśniącéj stojącego.“ Jestto anioł, który też powiada im, że Chrystus, jak to przepowiadał po kilkakroć za życia, zmartwychpowstał. Kiedy niewiasty oddalają się, by uczniom Chrystusa tę wieść opowiedzieć, przed Magdaleną, która nieco przystanęła, zjawia się Jezus „w odzieniu ogrodniczym, w kapeluszu ile być może prostym, rydel lub gracę w ręku mając.“ Magdalena „z podziwieniem i bojaźnią“ pyta go, czyli nie wie gdzie jest jéj Pan, czyli on go nie wziął i gdzie nie ukrył. Nie odpowiedziawszy jéj nic, Chrystus znika i po chwili, gdy Magdalena chodzi szukając koło grobu, staje znów przed nią ubrany „w kapę“ i mówi: „O ha! Marya, owóż

też i ja.“ Magdalena pada mu do nóg, ale Chrystus nie pozwala jéj się dotknąć swego ciała, rozkazuje iść co prędzéj „do braci“ i powiedziéć, co się stało. Poczém znów znika. Pobożne niewiasty w wielkiém są pomieszaniu, „jednym się razem bojemy—a drugim się weselemy,“ Magdalena płacze tylko nic nie mówiąc, i gdy w takim stanie „niby kłuskiem ale przecie wolnym“ odchodzą od grobu, po raz trzeci zjawia się Chrystus, i kiedy mu one do nóg upadły, powtarza swój rozkaz, aby powiedziały braci, by szli do Galilei. Niewiasty odchodzą płacząc, a tymczasem (prawdziwa to dla widza niespodzianka!) „Piotr w kąciku jakim na to przyprawnym głowę tylko ukazawszy“ modli się do Chrystusa, aby mu odpuścił grzechy i pocieszył go, bo inaczéj powiada:

Nie pójdę nigdy z téj skały,
By mi tu mieszkać rok cały,

Ani *święconego skuszę*,
By mi téż wypuścić duszę.

Na to Chrystus, którego, jak trzeba przypuścić, Piotr w czasie swéj modlitwy nie widział, zbliża się do niego, „pogłaszcze go po głowie“ i daje mu rozgrzeszenie:

Wynidź że, już otrzéj oczy,
A nie upadaj więcéj.

„Śpiewanie (na końcu téj części, jak powiada informacya) może być jakie zechce ten, co sprawować będzie, byle było *ad rem* tego pięknego aktu i wesoło jako sama materya i rzecz wyciąga.“

W części szóstéj i ostatniéj pobożne niewiasty przychodzą do uczniów Chrystusa, „którzy będą siedzieli na miejscach porządnie“ i oznajmiają im, co Pan rozkazał, by szli do Galilei i tam go czekali. Apostołowie nie wierzą temu, nazywają to „facecyą, niepewną historyą i plotkami“ i odprawiają dość szorstko niewiasty:

Idźcie z temi fabułami,
Miejcie sobie pokój z nami.

Niewiasty „kiwnąwszy głowami i rękami“, odchodzą i „mają śpiewanie jakie do rzeczy swéj i niewierności tych uczniów sposobne.“ Zarazem scena się także odmienia. „Uczniów tych Pańskich *zakryć* potrzeba, aż pomiędzy nich Łukasz i Kleofas wynijdą na oczy“. Z treści następującéj sceny wynika, że dekoracya powinnaby w tém miejscu przedstawiać wiejską okolicę i drogę do Emaus. Łukasz i Kleofas rozmawiają po drodze o najświeższéj nowinie, że ludzie powiadają, jakoby Chrystus zmartwychwstał. „Mogło to być, mogło nie być“—co o tém sądzić, sami nie wiedzą. „I będą sobie iść“ daléj, w tém Jezus przyłącza się do nich, „ale po pielgrzymsku“ ubrany, i zaczyna się między nimi rozmowa jak zwykle między podróżnymi, o tém co nowego słychać. „Bonakta, bona hosta“ (odzywa się Jezus, jakby jaki pielgrzym 16 wieku wracający z Rzymu)

Oto ja też do towarzystwa;
Co to za rozmowy macie,
Które sobie rozgwarzacie.
KLEOFAS. Bon Fratello, sam przodkujesz
Z Jeruzalem, a nie czujesz,
Co się tam teraz przydało,
We dni wielkanocne stało.
JEZUS. Co takiego? radbym słyszał,
Powiedźcie mi będę wiedział.

Uczniowie opowiadają mu, że Jezus Nazareński został ukrzyżowany przez Żydów, przez co oni zostali zawiedzeni w swych nadziejach, bo mniemali

że Królestwo
Miał pozyskać przez swe męstwo,
A ono się nie spełniło,
Ani o tém słychać było;
Niewiasty coś nabaśniły
Powiadając, iż jest żywy.

Jezus karci ich niedowiarstwo powołując się na pismo święte, które na wielu miejscach powiada, iż potrzeba było by Chrystus cierpiał; poczém chce ich pożegnać i iść daléj. Uczniowie namawiają go, by z nimi razem przenocował, bo już jest wieczór, więc i tak u celu swéj pielgrzymki nie stanie.

O miły panie pielgrzymie,
Wzdyć dziś nie będziecie w Rzymie—

odzywa się przez usta Łukasza autor, nie bardzo widać dokładne mający pojęcie z geografii, jak daleko mogłoby być z Emaus do Rzymu. Chrystus w końcu daje im się namówić.

„Tu wnijdą na jakie miejsce, gdzie ma być stolik pokryty obrusem białym“—czyli że scena znów się zmienia i wyobrażać musi izbę w gospodzie, w któréj nasi podróżni na noc stanęli. Na zapytanie Jezusa, czy nie mają z sobą co jeść, Kleofas „wyjmie chleb z koszałki i położy na stoliku.“ Jezus „przeżegnawszy dwoma palcami, złamie“ chleb i mówi:

Otom już złamał, bierzcie
I też w imię Boże jedźcie.

„To uczyniwszy nieznacznie z oczu ich zniknie.“ Uczniowie po tym znaku poznają Pana, a nie widząc go przy sobie, „patrzą oba to tam to sam.“ Przychodzą wreszcie do przekonania, że go nie ma i postanawiają wrócić do Jeruzalem i powiedziéć zwolennikom o tém, co im się przydarzyło.

„I odejdą zostawiwszy kawałek chleba na potém, a tymczasem pokaże się miejsce chędogie (nowa zmiana sceny), gdzie będą zwolennicy siedzieli, do których cicho przyjdzie Pan Jezus i rzecze:

Pax vobis uczniowie moi,
Wiecież, kto przed wami stoi?
Nie bójcie się, Chrystus prawdziwy
Zmar' wychwstał i też żywy.

Filip „rozłożywszy ręce“, dziwi się, co to za zjawisko; Andrzej się odzywa:

Cóż jest prze Bóg? duch czy mara?
Dziwnać to jakaś poczwara!

By ich przekonać że żyje, Jezus „pokaże się po części nagi, honeste jednak przepasany i pokryty czerwonem z wierzchu“, a potém spożywa chleb albo plaster miodu, który Filip położy na stole. Wtedy uczniowie przypadają mu do nóg, a on „chuchnie każdemu nad głową“, udzielając im Ducha świętego i udziela im władzy rozgrzeszania i odpuszczania grzechów, poczém znika. Nadchodzi Tomasz „wetknąwszy się między nich nieznacznie, bo go tam nie było“ — „*Bona sera* braciszkowie“, odzywa się nie wiedzieć dlaczego włoskiém pozdrowieniem, a gdy mu Piotr wielką nowinę powiada, nie chce jéj wierzyć. Zgorszony tém niedowiarstwem Piotr „załamuje ręce“, a wtém Chrystus znów staje przed uczniami „jakoby clausis januis wszedł“, a zapytawszy ich, czy są wszyscy, „będzie ich niby palcem liczyć, co uczyniwszy rzecze do Tomasza:

Pojdź sam, ty Toma zuchwalcze,
Doma nie częsty bywalcze!
Wałęsać się z niewiastami
Wolisz niż z mymi ucznlami“—

i po téj surowéj reprymendzie każe mu palec włożyć w swe rany. „Tomasz ręce założywszy, z bojaźnią będzie na kolanach postępował, a tymczasem Pan Jezus będzie śpiewać:

Mniemasz Toma, bym nie był syn Boży,
Wierz, a w bok mój ręce włoży;
Toć prawię nlekłam,
Nie wierzyszli, doświadcz sam.“

Zawstydzony Tomasz uznaje swoję winę, Jezus „grozi mu palcem“ i karci go za to, lecz Piotr wstawia się za Tomaszem i prosi dla niego o przebaczenie. Aby zaś tym prędzéj zmazał swą winę, każe mu zacząć śpiewanie na cześć zmartwychwstania Pańskiego. Ale Jezus przerywa mu, że on to sam uczyni:

Zacznę ja wam niewysoko,
Spiewajcle wesoło wszystko,
Mlejcle to moje *solamen*
A ja cześć i chwałę. Amen.

„I będą śpiewać: Surrexit Dominus. Valete etc. A Jezus zaś zniknie, to jest odejdzie nieznacznie, oni téż skończywszy śpiewanie, rozejdą się każdy w swą.“

Na tém kończy się Dyalog o Pańskiém Zmartwychwstaniu. Nim jednakowoż widzowie się rozejdą, pożegnać ich musi nieodzowny „Epilogus.“ Wychodzi więc na scenę owa figura będąca łącznikiem między publicznością a aktorami „z ubiorem i ukłonem takim jako Prologus naprzodku opisany na swem miejscu“ i poleca odegraną sztukę ich względom:

Niech ta pobożna robotka,
I weseluchna ta cnotka,
Przyjęta łaskawie będzie
W lecie, zlmie i wszędzie (?)
Od was mili dobrodzieje,
A potem niech się co chce dzieje (!)

W końcu wyraża jeszcze życzenie dla publiczności płci obojéj:

Amen, amen, niech slę stanie
Dobrze panom i wam panie.

Po tym pobożnym dyalogu następuje jeszcze w wydaniu Małachowskiego znacznie krótszy, bo tylko dwie karty obejmujący „Dyalog na kwietnią niedzielę“ treści świeckiéj. Bezwątpienia bywał on grywany po skończeniu dyalogu pobożnego dla rozerwania słuchaczów przez dłuższy czas poważną rzeczą zajętych, lubo, jak widzieliśmy i w samym pobożnym dyalogu, np. w owéj scenie w piekle, były miejsca obliczone na to, aby śmiech wzbudzić i audytoryum rozweselić. Takie dodawanie na końcu komicznego widowiska było zresztą w powszechnym wówczas zwyczaju, podobnie jak w starożytnym greckim teatrze po odegraniu tragicznéj trylogii tak zwany satyryczny dramat zwykle następował.

W naszym komicznym dyalogu występuje na scenę najprzód „Panna“, na sentymentalno-romansowy ton nastrojona:

Ach! smutne me godziny i ciężkie więzienia,
Żyję prawie na świecie, nie znając kochania,—

a kiedy ani „przy dworach“, ani „w samym małżeństwie“ nie ma nadziei znaleść tego, czego tak gorąco pragnie, t. j. prawdziwéj i szczeréj miłości, rezygnuje się uciec od świata ze zbolałém sercem:

Mnie już przyjdzie cnej damie w gęste odejść lasy,
Gdyż kochania nieuznam w teraźniejsze czasy.

Niespodziewanie nadarza jéj się konkurent, o jakim pewnie w swych rozbujałych marzeniach nie pomyślała, bo oto nadchodzi „Chłop“, i nie robiąc długich korowodów, obcesowo się jéj oświadcza w swoim chłopskim języku:

Colem ja mościa damo! a cós lamentujes,
I dokąd tak smutna *jako zwierz* węndrujes?
A ja tez zaś węndruję w Brandeburską stronę,
Póć ze mną, mościa damo, wezmę cie za zonę.

Obrażona „Panna“ odpala go bez ogródek:

Lepsić by mi się trafili będący przy dworze,
A od ciebie grondala mam być w dyshonorze.

Chłop utrzymuje, że chłopi nie gorsi od dworaków, a choć sentymentalna dama upewnia, że z nim „nie miałabym w życiu swym na sercu ochłody“ — coraz natarczywiéj jéj się narzuca. Na szczęście zjawia się „Szlachcic“; panna skarży się przed nim na natręta, a on bierze ją w obronę. Chłop nie chce tak łatwo ustąpić, i proponuje szlachcicowi zdać na los, do którego z nich panna ma należéć, i chce z nim grać o nią w karty. Rozgniewany szlachcic uderza chłopa szablą, kaleczy go i obiecuje mu jeszcze kije. To odbiera chłopu wszelką ochotę do żeniaczki:

Weś do djabła z nadzieniem, nie chcę mieć i zony,
Mam li być o tę pluchę kijmi naliczony.

Odchodzi, a oswobodzona od napastnika dama wśród najczulszych dzięków ofiaruje swemu rycerzowi wspaniałomyślnie swoje serce:

A żeś mnie mój najmilszy w ciężkim dostał boju, (!)
Proszę cię moje serce z sobą do pokoju.

To co jeszcze następuje, nie ma żadnego związku, z odegraném dopiero co komiczném intermezzo. Występuje bowiem na scenę kilku studentów, którym autor komiczne nadał imiona (Jan Cifura, Maciek Figmąka, Filip Baciała, Jakób Magawka, Bartek Kapiczak, Jędrzej Nadmiwąż). Cieszą się oni, że Wielkanoc już nadchodzi nie z jakichś wyższych lub religijnych pobudek, ale po prostu dlatego, że nie będą już pościć i suszyć, nie będą jeść grzanek i żuru, tylko szynki i kiełbasy:

Widzisz panie (Jezu) mnie pacholę,
Który zawsze siedzę w szkole
I tablicę dźwigać muszę,
A suszyć się nie chce z dusze.

Teraz dają obarzanki
I suszone przytem grzanki;
Lepsza szynka i kołacze,
Na to serce moje skacze.

Z kilku zwrotek na ten sam temat, które zapewne były przez aktorów śpiewane, najlepszą jest satyryczna przemowa Jakóba Magawki. Biorąc asumpt ze słów psalmisty: wynijdź córko Syońska, autor ostro przymawia płci pięknéj, wyszydzając jéj zbyteczną pochopność do romansów i zabaw z mężczyznami:

Wynidź, córko Syońska, z pokoju swojego,
Jeżeli chcesz przywitać gościa tak wielkiego;
Wynidź i nie omieszkuj, czego się obawiasz,
Czyli swoję imprezę przed oczyma stawiasz?
O gdyby naszym pannom w mieście tak rzeczono,
Porzuciłyby z rąk swoich dorazu wrzeciono.
Taki ich mól najwięcej i suszy i niszczy,
Kiedy duszyczka rada za chłopami piszczy.
Nigdzie panny nie szukaj; w karczmie z parobkami
Znajdziesz ich o północy między kieliszkami,
A gdy dudy nastroją, zwłaszcza szalonego,
Będzie razem szalała choć do dnia białego.
Insze zaś, które szczęścia mieć nie mogą tego,
Dziesięć się ubiegają do chłopa jednego;
A kiedy jedna drugą w czemkolwiek celuje,
To wróżka takiej męża wkrótce obiecuje.
Pewnie córka Syońska nie tak położona....

W końcu przepraszają studenci, będący zwykle głównymi aktorami podobnych widowisk, jeżeli w czém pobłądzili i niezadowolnili publiczności:

Poprawimy po świętach, jak nas tylko stanie,
Kiedy sobie podjemy szynek na śniadanie.

To jest ostatnie słowo owego widowiska o Zmartwychwstaniu Pańskiem—proste i naiwne jak cały zresztą dyalog.

Niewątpliwie dyalog ten powstał w wieku XVI, nie bez tego że tu i owdzie mogły się domieszać późniejsze dodatki. Pokazuje to zarówno forma jego i charakter, zupełnie podobne do innych choć ułamkowo znanych dyalogów z tego czasu, jak szczególnie język, w którym nie zważając nawet na pewne archaistyczne wyrażenia, każdy z ludzi fachowych dźwięk i brzmienie właściwe wiekowi XVI odczuje. Jakiś samorodny poeta, jakiś ksiądz bez wyższego humanitarnego wykształcenia, jakiś organista lub student z żywszą wyobraźnią, zachęcony może powodzeniem, jakiego doznawał słynny Dyalog Dominikański postanowił zrobić coś podobnego i, jak się to nieraz w dziejach piśmiennictwa zdarzało, rozpoczął rzecz od punktu, na którym jego poprzednik zakończył. Co do treści bowiem Dyalog Częstochowski jest niby dalszym ciągiem Dyalogu Dominikańskiego, i ta właśnie okoliczność nasuwa myśl o pewném ich genetyczném pokrewieństwie.

Źródłem naszego dyalogu, podobnie jak wielu innych, była ewangelia. Widzieliśmy, że „Prologus“ z pewnym naciskiem zwraca na tę rzecz uwagę swoich słuchaczów, a przypomnienie to nie było bez przyczyny. Znaczyło ono, że słuchacze nie powinni zapominać o tém, jakie widowisko mają przed sobą, że „historya“, jaką aktorowie odegrają przed nimi, nie jest niczém inném, tylko żywém przedstawieniem i unaocznieniem słów ewangelii, a zatém że słuchając jéj, odbywają w duchu taki sam rodzaj nabożeństwa, jak gdyby słuchali słów pisma św. Maluje nam to charakter ściśle religijny pierwotnych dyalogów, i jak najwyraźniéj przypomina o początku nowożytnéj sztuki dramatycznéj wyszłéj z uroczystości religijnych. Dyalog taki zatém miał być tylko w akcyi przedstawioną parafrazą ewangelii. Rzecz to nie była łatwa, i wszystkim tego rodzaju parafrazistom, nie tylko w formie dramatycznéj i w wieku XVI, ale i o wiele późniéj w tych niezliczonych poematach religijnych, które do dziś dnia zalegają półki naszych bibliotek, zbywało i na potrzebnéj technice i na bardziéj jeszcze nieodzownéj podniosłości natchnienia.

Streszczając powyżéj rzecz dyalogu, staraliśmy się ją tak przedstawić, aby czytelnik o téj technice naocznie się przekonał. Widzieliśmy tam zatém, że przeprowadzenie akcyi nie posiada żadnych zalet kompozycyi. W tym porządku i w takim ciągu jak opowieść ewangeliczna, rzecz cała mniéj więcéj postępuje; naprężenia dramatycznego nie ma zupełnie; akty i sceny idą obok siebie luzem; z jednego miejsca przenosimy się na drugie po kilkunastu a nieraz po

kilku wierszach; na scenie pokazują się nagle osoby, o których przedtém nic nie słyszeliśmy, ni stąd ni zowąd, aby powiedzieć coś, o czém ani przedtém nie było mowy, ani potém już nigdy nie będzie. Brak zatém zupełny perspektywy scenicznéj; figury i rzeczy tłoczą się na siebie bez ładu i porządku; przedmioty rozmaite, nie mające z sobą związku, albo tylko jakiś bardzo daleki przez analogią, malowane są obok siebie na jednym planie. Wogóle cała ta strona techniczna przypomina bardzo żywo średniowieczne obrazy lub rzeźby, na których po jednéj stronie widać naprzykład upadek pierwszych rodziców, po drugiéj odkupienie, a w środku sąd ostateczny. Niezaprzeczenie dla abstrakcyjnéj myśli jest pewien związek między temi rzeczami, ale i to pewna, że artystycznéj jedności w tém nie ma.

Nie wypada bezwątpienia Dyalogowi Częstochowskiemu i wszystkim jego braciom po duchu czynić na seryo zarzutów z tego powodu, to téż jeżeli tutaj o wartości artystycznéj mówimy, robimy to nie w celu potępienia go, ale dla scharakteryzowania i dla oznaczenia mu pewnego stopnia w rozwoju sztuki. To wszystko, co powyżéj powiedzieliśmy, dałoby się z bardzo niewielkiemi zmianami zastosować do takich np. potężnych kreacyi jak dramaty Szekspira, a szczególnie jego tak zwane „historye“. Jak raz już napomknęliśmy, faktura i tutaj i tam jest bardzo podobna. Dramat nowożytny nie tak prędko wyszedł z tego pierwszego stadyum swego rozwoju, więc co przebaczamy Szekspirowi, tego témbardziéj nie możemy poczytywać za winę takiemu bezpretensyonalnemu Dyalogowi Częstochowskiemu, za którym i to przemawia, że powstał wtedy, kiedy jeszcze nigdzie w Europie, z wyjątkiem paru włoskich utworów dramatycznych, na wzór klasyczny napisanych, porządnego dramatu nie było.

Nie będziemy téż od niego żądać i tego, przez co skądinąd niedoskonały, Szekspir stał się wielkim. Dyalog Częstochowski nie był zdolny stworzyć nam charaktery i z dramatyczną logicznością motywować czyny. W duszę i naturę ludzką nie sięga on głęboko i ślizga się tylko po powierzchni, przedstawiając wydarzenia i usposobienia ludzi tak, jak je znalazł w swojém źródle, a nie siląc się wcale wytłómaczyć ich pobudki i zbadać do gruntu. To téż nie wychodząc po za granicę widowiska przeznaczonego szczególnie dla oczu, stara się on stronę dekoracyjną rozwinąć o ile tylko na to pozwalały niedostateczne ówczesne środki teatralne. Z tego względu przypomina także nowoczesne opery. Tu i owdzie spotykane śpiewy osób do akcyi dyalogu należących, śpiewy choralne młodzieńców po skończeniu aktu, zjawianie się aniołów, chóry dyabłów odgrażających się Chrystusowi lub opłakujących upadek Lucypera, cała scena przy końcu części czwartéj, gdzie anioł wspólnie z chórem młodzień-

ców za pomocą śpiewu i pantominy zwiastuje N. Pannie przybycie Jezusa, wszystko to są efekta obliczone przedewszystkiém na zmysły, na rozmarzenie słuchaczów muzyką, na zajęcie ich oczu malowniczym obrazem nadziemskich istot i uroczystym pochodem liczniejszego na scenie personelu. Miejsca takie musiały też najbardziéj działać na ówczesną publikę i najwięcéj ją zachwycać.

Że dawni autorowie wszelakich poematów religijnych, a zwłaszcza na piśmie świętém osnutych, obniżali o wiele ton pierwotnego źródła, tego zdaje się dzisiaj nie trzeba już powtarzać. Dyalog Częstochowski może tylko za nowy dowód téj niepoetycznéj operacyi posłużyć. Chrystus dyalogowy nie jest bezwątpienia ani ewangielicznym, ani tym Chrystusem jakiego w swoich wyobrażeniach nosimy. W scenie w piekle się odgrywającéj ten „król wiecznéj chwały“, jak się sam nazywa, nie ma ani majestatu niebieskiéj potęgi, ani godności zwycięzcy. Bije Lucypera ręką i chorągwią, uderza go w brzuch, goni po piekle, łaje grubiańskiemi przezwiskami, wogóle zachowuje się tak, jak pierwszy lepszy pachołek policyjny w małém miasteczku, chwytający za kark rzezimieszka. Jego żarty z patryarchami, gdy nie chce im pozwolić zawiadomić o swém przybyciu N. Panny, są nie tylko rubaszne, ale i złośliwe, bo przedrwiwają się np. i z kalectwa przez srogie męczarnie nabytego, jak znowu reprymenda dana niewiernemu Tomaszowi do ostatecznéj trywialności dochodzi. Lucyper i całe jego piekielne otoczenie nie mają ani krzty téj grozy, jaką w nas pierwiastek złego obudzać powinien; nie są to straszne ale tylko złośliwe istoty z lokajskiemi duszami, trochę głupie, nikczemne i śmieszne, które gdy im się noga pośliznie, łaszą się lub ucieczką chciałyby salwować swą całość. Kapłani żydowscy i Faryzeusze w podobném także przedstawieni świetle — chodziło o to najwięcéj, ażeby ich ośmieszyć przed audytoryum, to téż możemy być pewni, że kiedy Kaifasz zrozpaczony wieścią o zmartwychwstaniu Chrystusa zawołał tak znane każdemu polskiemu uchu: Aj wej mir!—cała publika musiała zawtórować mu homerycznym śmiechem.

Takiemi rysami musiał autor dyalogu charakteryzować pierwiastek ujemny, bo nie miał w sobie siły, aby go z demoniczną siłą przedstawić i potwornością złego wstręt w nas ku niemu obudzić.

Na pochwałę dyalogu to znowu powiedziéć można, że mimo wszelkich wad i niedostatków czuć w nim pulsujące życie dramatyczne. Bez psychologicznéj głębi, bez wyższego natchnienia wprawdzie, o rysach niewłaściwych i często skarykaturowanych, wprowadza on jednakże na scenę rzeczywistych ludzi i ich czyny. Pod tym téż względem stoi bezwątpienia wyżéj od późniejszych wielu dyalo-

gów i misteryów, zwłaszcza szkolnych, w których alegoryczne postaci i wodniste, a pełne niepochwytnéj abstrakcyi tyrady zupełnie pierwiastek dramatyczny zabijały. Może zanadto jasełkowate, figury dyalogu ruszają się przecież i robią coś na scenie; choćby z samych tylko a tak licznych informacyi widać, że autor myślał o tém i wiedział, że ci aktorowie nie poto stają na widowni, aby być martwą maszyną do wygłaszania jego moralnych sentencyi i lirycznych uniesień, ale że mają po niéj chodzić, zająć uwagę widzów rozmaitym tonem głosu, ruchem rąk i wyrazem twarzy, a przedewszystkiém, że muszą na téj scenie coś działać — czyli, że widowisko sceniczne ma być obrazem życia.

Dać pełny obraz takiéj rzeczywistości nie starczyło sił w autorze. Z powodu braku wyższéj inteligencyi, wiadomości historycznych i archeologicznych, wreszcie dla braku wyższego talentu poetycznego nie mógł on przedstawić ani czasów Chrystusa, ani historycznych osób występujących w dyalogu tak, aby szczególnie nam dzisiejszym ludziom sprawił owo złudzenie estetyczne, które każe wierzyć na chwilę, iż rzeczywistość mamy przed oczami. W wieku XVI i wiele jeszcze późniéj nie żądano zresztą tego zbliżenia się do prawdy historycznéj (bo absolutnéj prawdy żaden sztukmistrz podobno dać nie może) i radzono sobie w ten sposób, jak to widać na Szekspirze i na Kalderonie, równie jak i na francuskich klasycznych tragikach, że przeszłości nadawano barwę i charakter czasów obecnych. Od naszego dyalogu i wszystkich jemu podobnych mielibyśmy zatém prawo wymagać jedynie tego, czy one jako dramatyczne utwory mają w sobie pewne rysy z życia wzięte, bez względu na to, czy one pasują dobrze do epoki, w któréj się rzecz rozgrywa, czyli są choćby i grubemi anachronizmami. Na szczęście możemy powiedzićć, że takich rysów, pokazujących pewną jeszcze nieśmiałą i nie sięgającą głębiéj obserwacyą życia, jest jednakowoż dosyć, a najwięcéj w tych scenach, których treści autor nie znajdował w ewangelii, lecz z własnéj snuł wyobraźni. Do takich scen należą: rozmowa żołnierzy postawionych przy grobie Chrystusa, narada pobożnych niewiast jakby uczcić zmarłego Mistrza w grobie i zbieranie na ten cel pieniędzy między sobą; scena, w któréj te niewiasty targują i kupują maści u aptekarza Rubena; wreszcie spotkanie się Chrystusa w stroju pielgrzymim z dwoma uczniami dążącymi do Emaus, jakoteż i owa w kształcie parabazy wygłoszona do publiczności radość dyabłów, że mimo zwycięstwa Jezusa jeszcze ich panowanie na świecie się nie skończyło. Czuć tutaj wszędzie, że autor, o ile go stać na to było, spełnia obowiązek dramaturga i chociaż nieraz w karykaturalny sposób, a nieraz znów krzyczące robiąc anachronizmy,

to co widział i jak widział w życiu, przenosi na scenę i postaciom przez siebie przedstawianym chce nadać charakter prawdy i rzeczywistości.

Jakakolwiek więc jest ta nasza dyalogowa literatura, jednéj zalety odmówić jéj nie można, mianowicie, iż jest zarodkiem słabym jeszcze i niedołężnym ale rzeczywistym poezyi dramatycznéj. Od następnych czasów zależało zarodek ten wypielęgnować i wykształcić do pełni sił i możliwéj doskonałości. Że się ten naturalny rozwój przerwał, że nie przyszło u nas do utworzenia oryginalnego dramatu, to już rzecz inna i kwestya wymagająca dobrego zastanowienia się, dlaczego tak się stało, czyli z przyczyny wrodzonéj słabości i niedostatku sił żywotnych tego młodocianego organizmu, czyli téż z winy zewnętrznych okoliczności i tych, którzy go wyhodować i do dojrzałości doprowadzić nie umieli.

Adam Bełcikowski.





LARIK.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH, Z MOTYWÓW DZIEJOWYCH.

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia część obozu Galgaka. Na samym środku namiot Galgaka. Po bokach z prawej i lewej strony dwa namioty dowódców wojskowych, częścią tylko wystające na scenę. Za linią namiotów tych ciągnie się łukowato obóz: z obu stron sceny dwa szeregi wozów i złożonych w kupy przyborów wojennych, około których i na których leżą ludzie; w pośrodku zaś gromadki śpiących na ziemi żołnierzy. Kierunek obozowiska, łamiąc się, skręca na prawo.

SCENA I.

TAMAR. ŻOŁNIERZ.

(Żolnierz trzyma straż przy namiocie Galgaka, Tamar wychodzi z lewego namiotu).

Tamar. (*do Żolnierza*) Wódz śpi?

Żołnierz. Śpi jeszcze.

(*Tamar schodzi na przód sceny, żołnierz cofa się za namiot*).

Tamar. I wódz i obóz! Tylko mnie się nie kleją powieki. Tylko mnie trwożna myśl wypędza z łoża, jak gdyby na mnie upadło spojrzenie śmierci... Płakałaby mnie żona, dziatki... Ciężko w niewoli żyć, ale też nawet w niewoli ciężko umierać. Nawet w niewoli człowiek ma swe szczęście: gniazdo rodzinne, kochające serca i drogie sercu istoty. Nawet w niewoli może stracić więcej, niż samo życie. (*wychodzi z prawego namiotu Laniwal*).

SCENA II.

TAMAR. LANIWAL.

Laniwal. Dzień dobry, Tamarze.

Tamar. Bodajby dobry! Witaj, Laniwalu.

Laniwal. Wcześnieśmy wstali. Czy i tobie twardo usłano łoże?

Tamar. Łoże? Nie—prędzéj może kości moje zmiękły od świdrujących całą mą istotę obaw.

Laniwal. Prawdę mówiąc, nie wiem, co cię świdruje. Ale co do mnie, to klnę się na zdrowy żołądek, że całą noc oka nie zmrużyłem!.. Co mówisz o haniebnéj zdradzie Brania? I takich łotrów święta ziemia nosi! Ha, to okropne.

Tamar. Gdzie tajny spisek, tam musi być zdrada. Gdyby nie było Brania, byłby inny. Spiskowiec ukryty zamysł wydaje postawą i wzrokiem, który się niespokojnie przenosi z przedmiotu na przedmiot. Spisek się zdradza sam nawet bez zdrajców. Dlategom żądał, aby nasze plany nie opierały się na złudnych nadziejach pomocy z ręki spiskowców. Dlatego wróżyłem niehybną klęskę. Zarozumiały Galgakus nie chciał mnie słuchać, teraz przekonał się, że miałem racyę.

Laniwal. Fatalne położenie!

Tamar. Gorzéj, bo nie dość, że na mnie nie zważał wtedy, gdy czas było zważać, ale i teraz toż samo się powtarza. Choć niedorzeczny plan okazał swe niedołęstwo, on się i teraz przy nim upiera i nie chce się cofnąć.

Laniwal. Tak jest!

Tamar. Lecz teraz w Lariku ma zausznika, który go pcha do szalonych przedsięwzięć.

Laniwal. Uważałem to! Od czasu jak się tu Larik zjawił, nasze rady w kąt poszły. I dawniéj wódz robił, co chciał, ale przynajmniéj sam się decydował, no—i przynajmniéj wolno było gadać. A teraz tylko tu Larik i Larik! Do milion dyabłów, ja mam prawo gadać! Mamy tu prawo gadać, i żeby nas słuchano! Nie żeby tu jeden wywłoka zajmował miejsce uprawionéj rady!

Lamar. Źle się to skończy.

Laniwal. Niech on zmarnieje! Jeźli tak, to ja się zrzekam wszystkich moich zasług. Jeżeli taki gałgan ma stać w łaskach, to nie warto być uczciwym człowiekiem. Niech dyabli wezmą cnotę, kiedy lada obwieś zadziera głowę nad porządnych ludzi!

Tamar. Nie zazdroszczę mu wziętości u Galgaka, choć nie zasłużył na nią. Lecz trwoży mnie niebezpieczeństwo. Bo w istocie przyszło do tego, że przewodzą tu awanturnicy.

Laniwal. Ale tak jest!

Tamar. Awanturnicy rozbili plan kampanii. Awanturnicy teraz wpadli do obozu i podniecają żołnierzy. Na tém się skończy, że gdybyśmy się chcieli cofnąć, wojsko wypowie nam posłuszeństwo.

Laniwal. Ha, bodaj ich kurcz pokręcił! Domyślałem się, że tak będzie. Co robić? Zginiemy tu jak ostatnie szelmy. Bodaj słońca nie oglądali.....

(*wchodzi Staford i dwóch dowódców*).

SCENA III.

Tamar. Laniwal. Staford. Dwaj dowódcy.

Staford. (*wchodząc*) Dzień dobry.

Dwaj dowódcy. Dzień dobry.

Tamar. Witajcie.

Laniwal. Wczas przychodzicie. Staford, sucha wściekłość mnie ogarnia. Jeżeli co nie poradzicie, to plunę na wszystko i wrócę do domu.

Staford. O co chodzi?

Tamar. Galgakus chce tutaj przyjąć bitwę.

Laniwal. Słychane to rzeczy! Larik go namawia pokątnie, a ten go słucha. Jeżeli taki zbój jak Larik ma nad nami przewodzić, to ja rzucam wszystko, i róbcie, co chcecie!

Staford. Nie wyzywaj Larika, jego namowy nic tu nie znaczą.

Laniwal. On wszystkiemu winien!

Staford. Być może. Ale w tej chwili położenie jest takie, że czy się cofać, czy stać w miejscu, na jedno wyjdzie. Jesteśmy otoczeni. Wsunęliśmy się w sam środek kolonii wojskowych rzymskich.

Laniwal. Bagatela!

Staford. Plan Galgaka był dobry.

Laniwal. Okazuje się, skorośmy otoczeni!

Staford. To z twojej winy i z winy Tamara. Gdyby Galgakus usłuchał Larika i gdyby zaraz ruszył na Legata, już teraz bylibyśmy w mieście i mielibyśmy wyborną pozycyę. Lecz wyście podnieśli gwałt, żeby się wstrzymać. No i wstrzymaliśmy się, a tymczasem wróg nas otoczył, i w którąkolwiek stronę się ruszymy, będziemy wzięci w dwa ognie.

Laniwal. Bodajeś zmarniał!

Staford. Tak jest. Tylko męstwo może nas zbawić. Cofanie się w takich warunkach rzuciłoby trwogę na wojsko.

Tamar. Trwogę na wojsko rzucili zbiegowie, którzy przynieśli wiadomość o nieudanym wybuchu.

Staford. Wy ją rzucili!...

Laniwal. Milcz, do stu chorób!

Staford. Wy szerzycie trwogę. Czy to przystoi Brytańskim dowódcom...

Laniwal (*przeryw.*) To ty, psie, myślisz, że kiedy ja do ciebie rozsądnie przemawiam, czynię to nie przez proste poszanowanie rozsądku?

Staford. Znam wasz rozsądek. Wierny to sługa tchórzostwa i ambicyi. Kiedyśmy w drogę ruszali, Tamar jak puszczyk hukał nam na śmierć, bo mu się plan nie spodobał. Kiedy nas tutaj spotkał Larik, Tamar był niemal rad klęsce, bo się jego wróżby spełniły O wszystko mniejsza, byle się okazało, że nie Galgakus lecz Tamar miał racyę! Niech wszystko zginie, byle się Laniwal wygadał! To wasz rozsądek! Lecz jak się wywinąć z niebezpieczeństwa, jak radzić w nagłéj potrzebie, do tego wasz rozsądek nie służy. W nogi! To wasze hasło. To jest wasz rozum i rada. Galgakus dobrze czyni, że słucha Larika, bo Larik dowiódł, że mu nie chodzi o siebie, lecz o ojczyznę. A wy?!..

Laniwal. My?

Staford. Wy?

Laniwal. Czyś ty oszalał?

Staford. Nie, jestem przytomny!

Laniwal. Gubicie nas, łotry! Gubicie! Spiknęliście się na zdrowy rozsądek! Jeżeli ja chcę gadać, to chcę dlatego, że wiem, co mówię! Chcę gadać dlatego, żeby tu nie gadali ci, co nas pędzą do zguby! Larik nas zdradził! wpędził nas w zasadzkę!..

Staford. Łżesz!

Laniwal. Wpędził nas w pułapkę! ruszyć się nie możemy! Śmierć nam grozi! Kto mi dowiedzie, że nie był z Rzymianami w zmowie!

Staford. Milcz, Laniwalu!

Dowódcy (z *oburzeniem*) Ooo!!

Laniwal. W zmowie! w porozumieniu! w przymierzu! w spisku!..

(*Staford i dowódcy krzyczą, grożąc mu pięściami*)

Staford i dowódcy. Łżesz! Łżesz, szczekaczu!

Laniwal. (*kończąc*) W spółce! i w połączeniu!

Staford. Plugawy języku!.,

Dowódca. Nie warteś śladów Larika całować!

Laniwal. Tak jest, łotry jakieś!

Staford. Stul gębę!

Laniwal. Zaraz! Przyjdź tu jeden z drugim, to cię przekonam, że rozsądni ludzie także mają pięści! Tylko się ośmiel!

Staford. Stul gębę, wieprzu! (*mówiąc to, uderza Laniwala pięścią w brzuch*).

Laniwal. (*Chwytając się obiema rękami za brzuch*) Oh! Oh! Oh!

Dowódcy. (*do Staf.*) Wal go dobrze! Wal go! Niech się dowie!..

Laniwal. Oh! Oh! Oh!..

Tamar. Panowie... dajcie pokój!.. Czy się godzi...

Staford. Nie pozwolę tu lżyć Larika! Wyrósł on nad wasze oszczerstwa!..

Tamar. Jakie oszczerstwa?..

Stafard. Zmowa z Rzymianami? Ha, węże! Dlatego, że mu się nie udało, więc zmowa, więc odstępstwo! Ja was nauczę szanować zasługi i nie wynosić się nad patryotów! Zginęło trochę młodzieży— i dobrze! Żadna krwi kropla, za swobodę skrzepła, nie pada marnie! Niech się krew leje! Bez niéj niéma jutra! Niechaj się leje! Choćbyśmy tu wszyscy śmiercią polegli, to się lepiéj stanie, niż wpośród intryg waszych oczekiwać w głębi kryjówek, aż wróg do nas przyjdzie, i aż zwaśnionych, rozdartych i gnuśnych zgnębi morderczém żelazem. A od Larika wara! wara! wara! Larik się umié poświęcać nie gadać! Wara od niego, pasibrzuchy! Bo nie z nim samym będziecie mieli do czynienia! (*grożąc*, *wychodzi*, z *nim obaj dowódcy*).

Dowódca 1. (*odchodząc*) Wara!

Dowódca 2. (*odchodząc*). Bodaj wam języki kołem postawały!

SCENA IV.

TAMAR. LANIWAL.

Laniwal. Ha, łotry! Całe szczęście, że dziś nic nie jadłem! Żeby mnie tak wyrżnął w pełny żołądek, zabiłby! Ha, łotry!

Tamar. Oto do czego doszło!

Laniwal. Ha, szubienicznik!

Tamar. Laniwal, ja głowę tracę! Patrz, w czyje ręce poszło panowanie! Szaleńcy pięścią już nam zaczynają dowodzić swojéj przewagi i racyi! Czy warto trudy dowództwa ponosić, czy warto życie narażać dla ludzi, którzy mnie wstrętem przejmują! Dla ludzi, z którymi nigdy zgodzić się nie mogę, których gwałtowność jest mi obrzydliwą. którzy czy będą wolni czy niewolni, to mi zupełnie wszystko jedno!?

Laniwal. Nie warto!.. Hoj!...

Tamar. Swoboda? Czy nie jest gorsza od tyranii Rzymian tyrania tego pół-dzikiego tłumu, który za hardy jest, by mnie ulegał, i jest za nędzny, zamały, zagłupi, bym ja mu chciał ulegać! Czyli warto bić się o wolność dla ludzi, którymi muszę pogardzać, ponieważ inaczéj czuję i inaczéj myślę, niż oni czuć i myśléć mogą!?

Laniwal. Hoj!.. Masz racyę...

Tamar. Na bogów! wolę się wyrzec wszystkiego! Nie chcę ulegać pod naciskiem głupców, którzy jak ćmy bez pamięci do ognia lecą! Co czynić! Powiédz, co czynić?

Laniwal. Co czynić? Poczekaj... Ooch!.. Trochę mi odeszło..

Tamar. Złożę się chorobą i wrócę do domu.

Laniwal. Poczekaj...

Tamar. Niech walczą i niech zwyciężają sami!

Laniwal. Dobrze. Ale nie... zaraz. Jabym także wrócił. Ja mam gotową chorobę. Od takiego ciosu mogłem dostać obstrukcyi, rozwolnienia, kolki, zapalenia w kiszkach, mdłości, a nawet febry i zgniłéj gorączki. Toby było dobre!..

Tamar. Tylko że...

Laniwal. Tak jest... powiedzą, że to zdrada. Niech ich pokręci! bodaj im pięście pousychały! Nie można!

Tamar. Więc co? Co robić?

Laniwal, Co? Hm! Ja w każdym razie mogę się złożyć brzuchem. Sam tu widziałeś, jak wściekle mnie ugodził. Ale ty? Te łotry nawet w kark cię nie uderzyły!

Tamar. Więc zostać?!

Laniwal. (*po chwili*) Larik! (*wchodzi Larik*).

SCENA V.

TAMAR. LANIWAL. LARIK

Larik. (*wchodząc*) Niech pracom waszym niebo sprzyja!

Laniwal. (*po ch.*) Jesteś łaskaw... Szkoda, że twoim nie sprzyjało.

Larik. (*p. ch.*) Czy wam przeszkadzam?

Laniwal. Mości Lariku. Przed chwilą jeden mnie tu za ciebie w brzuch ugodził. Nie pierwsza to moja krzywda przez ciebie. Jeżeli ci się zdaje, że masz więcéj rozumu od nas wszystkich, to ja ci tak zrobię, że ci to bokiem wylézie. Nie od parady mam głowę na karku.

Larik. Chłodno mnie dziś przyjmujecie.

Laniwal. Chłodno? Może ci dlatego chłodno, żeś bez togi W mieście byłoby ci cieplej,—co?—tam chodziłeś w todze. My cię też mieli w mieście gorąco witać—cóż kiedy uciekłeś i popsułeś nam ceremonia!!

Larik. Taak? Więc to wymówki?

Laniwal. (*przedrzeźniając*) Taak? Więc wymówki?..

Larik. Tamarze!..

Tamar. Czy chciałbyś pochwał?

Larik. Chcę sprawiedliwości.

Laniwal. Otrzymasz ją, otrzymasz, nie bój się !Sam się do tego. przyłożę. Niewiadomo tylko, jak będzie wyglądała, niewiadomo. Może jak bobkowy listek, ale może być jak szubieniczka, może!..

Larik. Może... Galgakus równo mierzy, on odmierzy. Jeśli zasługą ma być powodzenie, niech skarze, bośmy przegrali. Lecz sprawiedliwość nie dla mnie samego ma dwa oblicza. Do ciebie także może się obrócić drewnianym końcem. Cokolwiek było—jam nigdy w sercach nie tłumił nadziei i nie siał trwogi. A ty już od wczoraj niecisz w szeregach zwątpienie. Od wczoraj wciąż napomykasz o niebezpieczeństwie, o konieczności odwrotu, o śmierci, twierdząc, że nasza z Legatem przegrana wszystko już, całkiem, na zawsze zgubiła...

Laniwal. No, no, no, nie wszystko, nie całkiem i nie na zawsze. Ale twój bąk z Legatem wpędził nas w takie tarapaty, z których nie wywiedzie nas twoja prawdziwa rzymska elokwencya...

Larik. Być może...

Laniwal. ...ani twoja pobożna mina, ani twoja ufność we własne głupstwo, i w to, że ten wygra, kto przegra!

Larik. Czy wy jesteście żołnierze Galgaka?

Laniwal. Wątpisz o tém?

Larik. Tamarze, jest-że to obóz Galgaka?

Tamar. Tak jest, Lariku, to obóz Galgaka.

Larik. O wrogi!.. Wrogi ludu i Galgaka! Póki mi stanie tchu, będę do uszu wodza wołał: idź naprzód! Po tom tu przyszedł, by go od podszeptów waszych bronić, aby zamysły wasze pokrzyżować I choćbyście mi sto razy grozili zarzutem zdrady, sto razy powstanę, wołając: wrogi! wrogi!.. I choćbyście mnie podejrzeniami siekli, wciąż będę wołał: naprzód! Nie tu stać, tylko iść przeciw Rzymianom Iść!.. I będę tutaj czekał na Galgaka, aż wyjdzie, abym mu to opowiedział. A wy mnie wtedy skarżcie! Skarżcie śmiało! Pokrzywa parzy, oset kłuje. Parzcie i kłujcie! Galgakus was wypiele! On to królestwo przezornéj odwagi oczyści z chwastów. A ja mu włożę motykę do ręki, choćbym miał życiem przypłacić... Bądźcie zdrowi. Radźcie tymczasem o mocnych podeszwach do sandałów... (*odchodzi na bok*).

Laniwal. Najlepszą podeszwą byłby twój język, gdyby wystarczył na parę obuwia, mości dziadzie! (*do Tam.*). Jak ci się podoba ten pyszałek? ten bencwał, który naszego wodza chce wykierować na ogrodnika? To zakrawa na obrazę majestatu, co?—jak bogi szanuję! (*szturchając w łokieć Tamara*) Niewypielony chwaście, jak bogi szanuję, warto się nad tém zastanowić! hę? co myślisz?..

Tamar. Chciałbym mu kości połamać!

Laniwal. Wartoby!

Tamar. Uczuwam w sobie chęć...

(*Za sceną rozlega się hałas, rosnący coraz; po chwili uderza w powietrze okrzyk*).

Głos. Rzymianie idą! Do broni!

(Żołnierze w obozie zrywają się na nogi i za oręże chwytają. Powstaje zgiełk, w którym słychać zmieszane głosy ludzkie, uderzenia bębnów i przenikliwe gwizdanie).

SCENA VI.

LARIK, TAMAR, LANIWAL, później STAFORD, DAY, Inni DOWÓDCY, ŻOŁNIERZE, WOJSKO W OBOZIE, PRZYBOCZNY GALGAKA.

(Scena ta odbywa się jednocześnie na froncie przed namiotami i w obozie za namiotami).

Tamar (*posłyszawszy wołanie*). Co to?

Laniwal. Rzymianie?..

Tamar. Co?!

Laniwal. Alarm!

Tamar. Znienacka wpadli...

Laniwal. W pień wysieką...

(*W obozie rozlega się donośny głos komendy*).

Setnik 1. Do broni! Formuj się! Héj!

(*Przed namioty wbiega zdyszany inny Setnik*).

Setnik 2. Gdzie Tamar?!

Laniwal. Co się stało?

Setnik 2. Przednia straż Rzymian!

Tamar. Gdzie?

Setnik 2. Napadli placówki! (*wbiega za namioty do obozu*).

Laniwal (*podnosząc ręce do góry*). Ah-a-a-a...

Tamar. Zgroza! (*do Larika*): Ty!.. to twoje dzieło!

(*Wbiega Day*).

Day. To posłowie!.. Posłowie Legata! (*przebiega do obozu i tam, szybko idąc, woła*): Ludzie! To posłowie! posłowie Legata!.. (*znika*).

Laniwal. Posłowie?

Tamar (*do Lar.*). Ktokolwiek jest, ja dumę twoją zetrę, a błędy twoje, które są zbrodniami, pomszczę. I gdyby można było okupić pokój twoją śmiercią, pierwszy się będę domagał, by cię wydano Rzymianom! Wtedy się spełni marzenie twoje: powrócisz do Cezareum... Ale i moje się spełni: będziemy zbawieni! (*wychodzi*).

(*W obozie nowa burza: za sceną przeciągłe gwizdnięcie, jeden krzyczy:*).

Głos w obozie. Baczność!

Głos inny. Bój się zdrady!

Hałas. Oooo!

(*Wpada do obozu od tyłu Setnik, wołając*).

Setnik. To nic! To nic!..

(*Wpada także od tyłu Staford, otoczony ludźmi*).

Staford (*idąc przez obóz, do wojska*). Posłowie rzymscy! To byli posłowie! Posłowie Legata!

Żołnierze. Posłowie! Posłowie!

Głos. Nie damy się!

Okrzyk zbiorowy. Za wszystko dobre!

Staford. Żołnierze! Złożyliście dowód czujności. Wróg nas nie zajdzie znienacka! Lecz to nie wojsko! To posłowie rzymskiego Legata! Przyszli prosić o łaskę! Ale nie doznają łaski! Niech żyje Galgakus!

Żołnierze. Niech żyje!

Staford. Hej! Za wszystko dobre!

(*Cały obóz śpiewać zaczyna pieśń*).

PIEŚŃ.

Bogowie!
Za cześć waszych ołtarzy
Idziemy w bój.
Wy bądźcie z nami,
Upadnie moc nieprzyjaciół.
Bogowie!
Za wszystko dobre
Idziemy w bój.
Za czystość naszych dziewic,
Za całość naszych domów,
Za nasz dobytek
I za swobodę.
Wy bądźcie z nami,
Upadnie moc nieprzyjaciół,
Upadnie wroga moc!

(Podczas pieśni Staford z orszakiem przechodzi z obozu na pierwszy plan przed namioty, gdzie coraz więcej napływa ludzi, którzy żywo gestykulują. Laniwal macha rękami i wskazuje na Larika. Staford wita się z Larikiem, który, zaniepokojony, zdaje się zapytywać o prawdziwy powód alarmu. Wszystkich oczy zwracają się w te stronę Pieśń ucichła. Przy ostatnich jéj słowach wszedł do obozu od tyłu Tamar z orszakiem).

Tamar (*w obozie, głosem komendy*). Setnicy niech będą na swoich miejscach! Niech ciury zwodzą obóz! (*ręką daje znaki*).

Laniwal (*przed namiotami*). Posłowie! A za plecami posłów wojsko! Znam się na tém! (*Powstaje wrzawa*).

Larik. Bracia! nie trwóżcie się!

Laniwal. Padliśmy ofiarą! (*wrzawa*).

Staford (*do Laniwala*). Na hańbę swoją toś powiedział!

Laniwal. Sprzedaliście nas!

Staford (*dobywając miecz*). Nikczemniku!

(Powstaje wielki hałas oburzenia. Laniwal także dobywa miecz, aby się bronić. Tamar, który właśnie przeszedł z obozu przed namioty, widząc zwadę, także dobywa miecz i rzuca się z nim między Staforda i Laniwala).

Tamar. Stójcie, na bogów!

Laniwal (*do Staf.*). Ha, zbóju!

Tamar. Schowajcie miecze!

Larik (*załamuje ręce*).

Tamar. Tutaj! Tutaj się bić! Gdy nieprzyjaciel grozi! Gdy wojsko czeka sprawy! O wstydzie!

Day. A kto tu kogo sprzedał!?

Głosy inne. Kto sprzedał!? (*znów wrzawa*).

Laniwal. Larik! (*wrzawa jeszcze większa*).

(*Z namiotu Galgaka wychodzi przyboczny ordynans i woła:*)

Przyboczny. Ehéj! Co za wrzawa! Uciszcie się! Galgakus idzie!

Tamar. Panowie! Czyście już krzykiem zgłuszyli rozwagę! Uciszcie się! (*robi się spokojnie*).

Przyboczny Galgaka (*oznajmia*). Wódz idzie!

(*Wychodzi z namiotu Galgakus*).

SCENA VII.

CIŻ I GALGAKUS.

Okrzyk zbiorowy. Niech żyje wódz!

Galgakus (*podnosi do góry rękę na znak powitania*).

Tamar (*kłaniając się nisko*). Wodzu i królu! Obóz pod bronią.

Galgakus. Cóż tam?

Tamar. Placówki spostrzegły oddział kilkudziesięciu Rzymian i wzięły go za przednią straż legionów. Ztąd alarm, a nawet, niestety, popłoch. Gdy się Rzymianie zbliżyli, oznajmili się, jako posłowie Legata do ciebie. Alem ja kazał wojsku pod bronią stać, i obóz zwodzić i być w pogotowiu. Bo kto wie, czy za poselstwem tém tuż i Legat nie ciągnie. A gdyby tutaj miał nas napaść, a jeszcze, czego boże broń, znienacka napaść, nie chciałbym odpowiadać za to, co się stanie.

Galgakus. Gdzie ci posłowie?

Tamar. Czekają na twe rozkazy.

Galgakus. Trzymać ich, aż obóz obejdę.

Tamar. Spełni się! (*kłania się i odsuwa*).

Galgakus. Witaj Stafordzie!

Staford. Witam cię, wodzu i królu!

Galgakus. I ty, Laniwalu.

Laniwal. Witam cię, wodzu i królu!

Galgakus. I ty, Dayu.

Day. Witam cię, wodzu i królu!

Galgakus. I wy wszyscy.

Inni dowódcy razem. Witaj nam! witaj!

Galgakus. Idźmy!

(*Dowódcy z lewéj strony rozstępują się, Galgakus zaczyna iść ku obozowi — spostrzega Larika*).

Larik. Panie!...

Galgakus (*zatrzymując się*). Larik!.. Jak się masz! Bądź tu, gdy powrócę! (*Idzie daléj, a za nim wszyscy, prócz Larika*).

SCENA VIII.

Larik, sam.

(Galgakus, i za nim dowódcy, wchodzą między dwie linie wyciągniętych wzdłuż obozu żołnierzy. Ci, ujrzawszy wodza, witają go głośnym okrzykiem, który posuwa się wraz z Galgakiem, a gdy ten już jest za sceną, coraz słabnie, coraz głuchnie, aż wkońcu milknie. Larik słucha i patrzy na to gorące powitanie, potém mówi).

Larik. Cierpię i płaczę z radości... Cierpię jak matka, która rodzi, jak matka wyciągam ręce do płodu boleści.... Święty kawałku wolnéj ziemi! Na twoich polach rozwiązane usta do mowy, która z serca płynie. Na twoich polach rozwiązana wola do czynów dobrych, których pragnie dusza. Na twoich polach człowiek tak się czuje, jak ptak w powietrzu, jako ryba w wodzie, jak dzika koza na górskiéj wyżynie, jak wszelka czuła istota w żywiole, który przez wolę bogów był jéj dany, aby jéj słabość wspierał. Święty kawałku wolnéj ziemi! Choćbyś był mały, jak leśne mrowisko, choćbyś był jak kretowina, jak piędź, jak gniazdo skowrończe — bądź błogosławiony! Niech cię obleją łzy moje, o ziemio, ziemio! (*rzuca się i całuje ziemię*).

(*Po chwili, wstawszy*). Ufność wstąpiła we mnie. Wyprostowały się zgięte ramiona. Tum się odrodził.... Nie sam tu Tamar z Laniwalem. Te hufce, których krzyk przeniknął drżeniem moje członki, to nasze wojsko. Nasze! Ono się nie cofnie!.. Musimy stoczyć bój... A bój rozetnie splątany węzeł moich przeznaczeń. Wrogowie będą poskromieni, źli ukarani, zdrajcy wytępieni. Przez niego ja się oczyszczę. A sprawiedliwość i prawda wyjdą na światło z ciemnych kryjówek duszy, gdzie je kalało sąsiedztwo zbrodniczych popędów. I będą wyzwolone. I będą zdjęte pęta ze wszystkiego, co dobre. I cokolwiek się stanie będzie dobre. I będzie szczęście....

Nareszcie!.. nareszcie!.. Nadziejo, nie szarp mi łona tak mocno... Spełni się — wiem. A te gorycze, co mnie jeszcze trapią, to jest cień blady przeszłości... Jeszcze nie przyszło południe... Ale już idzie.. Lżéj mi... Tu z barków moich spadł ciężar żywota, bo tu ujrzały oczy moje, jak wschodzi słońce wolności... Jego promienie stąd ogar-

ną ziemię i z serc, w niewoli zwiędłych, wypiją gorzki jad zwątpienia. Jego promienie, jak błędne ogniki. omylą drogi pamięci, która już nigdy nie spojrzy po za siebie. Dziś tu zapomnieć chcę o wszystkiém, com kiedy przeżył. Przekleństwo! Przekleństwo na wszystko, co było!! Niech tysiąc razy zginę raczéj w boju, niżbym miał wrócić do dawnego życia, kiedy mój język kłamał sercu, a serce zadawało kłam uczynkom! Precz wstrętne jarzmo, coś mi uciskało ducha! Precz cierpka trucizno niewoli! Jeżli chcesz pastwy, dam ci mego trupa. Na zimne usta sącz mi swoje krople, na martwe usta! Lecz póki będzie tlał w nich płomień życia, jam orzeł, który nie wraca do klatki!.. Jam orzeł!.. Wyrosły mi skrzydła, kiedym się dotknął stopą wolnéj ziemi! Trzeba mi wolnéj przestrzeni do lotu! Będę się ważył na chmurach, wysoko, nad nędzy ludzkiéj gniazdem, nad tym światem! Będę szybował swobodny, szczęśliwy. Będę się ważył zabójczy jak piorun, jak błyskawica szybki, jak grom straszny! W żyłach mych siły olbrzyma! Spełniam wyroki tego, który mi w piersi wlał płomienną żądzę! Idę! Uderzam. Uderzam jak nagła śmierć niespodziewany — haaa!! (*wydaje w uniesieniu dziki, przeraźliwy okrzyk, w którym się miesza radość, energia, szał*).

(Dają się słyszéć za sceną nowe wiwaty wojska na cześć Galgaka, który, obszedłszy obóz, powraca, i wchodzi od prawéj strony na scenę; przed nim żołnierze z gołymi mieczami, za nim wszyscy dowódcy i wielki tłum ludzi wojskowych. Larik na odgłos okrzyków chwyta się rękami za piersi i słucha).

SCENA IX.

GALGAKUS, ORDYNANS PRZYBOCZNY, LARIK, TAMAR, LANIWAL, STAFORD, DAY, SZEŚCIU DOWÓDCÓW i tłum żołnierzy.

(Galgakus bierze Larika za rękę i prowadzi ze sobą; ten idzie ze spuszczoną głową. Następnie obecni lokują się w następujący sposób: Galgakus siada przed namiotem. Na prawym boku ma Larika, na lewym ordynansa przybocznego, którzy stoją. Przed Galgakiem w dwa szeregi dowódcy: po lewéj stronie sceny Tamar, Laniwal i trzech innych; po prawéj Staford, Day i trzech pozostałych. Za dowódcami stoi straż, za strażą po obu stronach szczelnie nabite tłumy żołnierstwa.—Przez cały ciąg niniejszéj i następnéj sceny żołnierze w obozie za namiotami uprzątają koczowisko, zwolna wyprowadzając wozy i wynosząc rynsztunki).

Galgakus (*wyciągając rękę do Larika*) Pójdź!..

Przyboczny Galgaka. Żołnierze! Przybyli do nas gońcy od Rzymian. Aby nikt nie powiedział, że go zmiękczyli prożbami, wódz nasz i król chce postanowić o naszych losach, zanim ich przed swój majestat powoła. Aby nikt nie rzekł, że go ujęli słodyczą swéj mowy, lub nastraszyli pogróżką! I dlatego nakazuje się naczelnikom, aby wyjawili swobodnie, co rozumnego i pożytecznego wiedzą.

Laniwal. Za pozwoleniem! Jakto? Wprzód stanowić?... Nie zgadzam się i protestuję!

Staford. Wprzód stanowić!

Day. Właśnie!

Laniwal. Nie wiedząc, co nam przynoszą?... Na ślepo?..

Tamar. To być nie może!

Wielu naraz. Może! Może!

Przyboczny Galgaka. Uciszcie się!.. Niech każdy racye swoje przełoży spokojnie!

Tamar (*do Galgaka*). Wodzu! Gdyby nam Larik radził wprzód stanowić, tobym się nie dziwił. Wszystkie nieszczęścia nasze z niego poszły. Ale gdy tobie tę myśl podsuwają, ogarnia mnie zdumienie. Jakto! Stanowić, nie wysłuchawszy posłów! A jeźli pokój przynoszą! Jeźli podają dogodne warunki, które pozwolą wyplątać się z téj matni, w jakąśmy wpadli?

Staford (*do Galgaka, przerywając*). Wodzu! Wysłuchaj mnie!..

Day. Nie chcemy warunków.

Tamar (*do Galgaka*). Widzisz! Szaleńcy mówić mi nie dają...

Laniwal. Jeszcze raz protestuję! Nigdy! To nowa sztuczka Larika! Wpędziliście nas w sidła! A teraz nie wysłuchać posłów! Na rzeż nas wydać! Nigdy!

Staford (*do Galgaka*). Wodzu, wysłuchaj... wodzu! Jeźli się będziemy wdawali w układy i rozważali okoliczności, i propozycye Rzymian przyjmowali, i im od siebie czynili, i na odpowiedzi czekali, tego się tylko doczekamy, że nas niespodziewanie w nocy napadną i wyrzną! Nie czekać, tylko iść naprzód! Nie pytać z czém przychodzą, tylko iść na nich z zemstą i ze śmiercią, jak ci to Larik odrazu radził. A posłów wymordować!

Okrzyk tłumu. Śmierć posłom!

Przyboczny Galgaka. Więc się zgadzacie, ażeby naprzód stanowić?

Wszyscy. Naprzód stanowić! Zgoda!

Laniwal. Dobrze. Kiedy tak chcecie, dobrze, stanówmy naprzód. Ale stanowiąc, nie zapominajmy, że mamy tutaj posłów. Co uradzimy, to się im powie, aby zanieśli Legatowi. Tym sposobem wejdziemy w porozumienie...

Staford. Czyli znów układy...

Day. Żadnych układów!

Tamar. On rozstropnie mówi. O czém tu może być rada? Jak się ratować!..

Głos. Jak zwyciężyć!

Tamar. Jak się ratować! A na to trzeba układów. Bo nad przepaścią stoimy!

Staford. A kto nas tam przywiódł? Ty z Laniwalem!..

Tamar. Ty, ty z Larikiem!..

Stafor. Wodzu! Kto nas tutaj zatrzymał, jeśli nie oni!

Laniwal. Łżesz! Łżesz Stafordzie! Nie my zatrzymali, tylko Galgakus zatrzymał. A my tylko chcieli, żeby on zatrzymał. I dobrze uczynił! Bo na wojsko padł strach. A tego strachu winien Larik, który się w mieście z buntem wyrwał, a nie czekał. I wielką nam krzywdę przez to zrobił! A czy on był z Rzymianami w zmowie na naszą zgubę, tego nie wiem. To niech on sam tu powie i niech się sam do prawdy przyzna.

Staford (*do Galgaka*). Wodzu!..

Laniwal. Tak jest!

Staford. Posłuchajcie! Posłuchajcie, aby wszystkim było wiadomo, co powiem! Kiedyśmy już byli w drodze, spotkali nas tu gdzie teraz stoimy, zbiegowie miasta, mówiąc, że tam wybuchło powstanie, że wiele ludu wyginęło, a oni uciekli do nas, żeby się bić i umierać...

Laniwal. Po co uciekli, kiedy chcieli umierać?..

Staford. Posłuchajcie!.. I mówił Larik, żeby nie stając iść naprzód, aby nie dać Rzymianom czasu, aby się umocnili przez posiłki. A byliby oni w popłochu, gdybyśmy ich zaraz napadli, bo się nie spodziewali napaści. I byłoby już w naszych rękach Cezareum miasto. Ale Tamar i Laniwal, którym się dawniéj twój plan nie podobał, teraz wołali, aby się zatrzymać. A że ich złe wróżby raz się spełniły, przetoś ty im uwierzył. A Rzymianie tymczasem, o nas się dowiedziawszy, otoczyli nas. A tak ci to zrobili, że nas wróg otoczył!

Laniwal. Łżesz!

Staford. Ustąp! Ustąp, bo cię posiekam!.. Oni to zrobili! A teraz chcą cię popchnąć do układów?! Na szubienicę ich! Żadnych układów! Śmierć na Tamara i Laniwala, bo oni tak uczynili, jakby nam wyjęli miecz z ręki, a teraz tak czynią, jakby nam i rękę chcieli uciąć! A kiedy oni będą na szubienicy, idźmy naprzód! Krew wrogów — nasze dziedzictwo. Przed nami swoboda! A za nami hańba i zagłada!

Jeden z dowódców. Dobrze mówił!

(*Hałas i zamieszanie w tłumie*).

Przyboczny Galgaka. Uciszcie się!

Laniwal. Niech trupem padnę, jeżeli jestem gorszy od Staforda!

Głos. Zamilcz!..

Laniwal. Ludzie!..

Głosy. Dosyć! Dosyć!

Laniwal. Ludzie! Patrzajcie, kto nad wami przewodzi! Larik, który nabroił w mieście i uciekł, i Staford, jego pomiot, obrany z rozumu szaleniec! Larik, który się z Rzymianami w mieście bratał! A kto może wiedzieć, co on sobie w duszy myśli! A wszak on, powiadają, córkę wydał Rzymianinowi na rozpustę....

Larik. Laniwalu!..

Laniwal. Tak jest!

Larik. Podleś mnie dotknął...

Laniwal. Ty tu nie masz głosu!..

Tamar. Panowie!...

Jeden z dowódców. Ma głos!

Tamar. Lecz ja mam przed nim!

Przyboczny Galgaka. Uciszcie się!...

Tamar. Przystąpmy do rzeczy! Przeczycie temu, co jest oczewiste. Gdybyśmy was tu nie wstrzymali, jużbyście nas nie mogli lżyć, bo jużby po was było. I teraz za to nas lżycie... Ostatni raz do was przemawiam... Ślepy nie widzi, że przez Larika giniemy. A zamiast błąd jego poprawić, tu poplecznicy jego chcą dalej pchać was do złego. Ale kto sprawił złe, niech za nie płaci! Tego się trzymam, to jasne. A kto je sprawił? Pewno nie Staford, skoro się tak przechwala i innym szubienicą grozi. Pewno i nie Larik, który po prawicy wodza stoi. To pewno ja z Laniwalem. Tak Staford mówi. Ale ja wam inaczej powiem. Jeżeli chcecie nędznie zginąć, tedy czyńcie tak, jak Staford każe. Niech się krew leje, choćby bez pożytku, choć na marne! Tak dziś jeszcze mówił Staford i wzywam was wszystkich na świadectwo, że nie może zaprzeć, że tak mówił, że choć się krew marnie leje, to jest dobrze.

Staford. Tak, dobrze! Wolę że się leje, niż ma gnić!

Tamar. Tak on myśli. I dlatego wszystkie niedołężne próby wasze i porażki jemu się wydają dobre, bo się tam krew leje. Więc też, że w mieście lud wyginął, to go nie boli. Że was tu wróg otoczył, i to go nie boli. I to go nie boli, że jeśli pójdziecie naprzód, znowu was trochę wyginie, albo i wszyscy. Bo się krew poleje.

Staford. Chytrze mówisz, ale i ja ci odpowiem.

Laniwal. Daj mu skończyć.

Tamar. Tak Staford mówi i tak czyńcie, jeżeli chcecie zginąć. Ale jeżeli nie chcecie, tedy wam powiadam tak. Zaubodzyście, abyście mogli krew marnować. Tu się nie możecie bić, bo tu złe miejsce. Naprzód nie możecie iść, bo macie mało wojska. I dlatego, jeźli przed wysłuchaniem posłów stanowić trzeba, powiadam wam, żeby się cofnąć. A ci, którzy co innego mówią, ciężko przed obliczem bogów odpowiedzą, i dzieci ich dzieci będą ich przeklinać, bo oni

to sprawią, że na téj ziemi wygubione będzie nasienie krwi brytańskiéj.

Laniwal (*powtarzając, groźnie*). Nasienie krwi brytańskiéj!..

(*Szemranie w tłumie*).

Tamar. Ale Staford twierdzi, że się nie umiecie cofać. Jeżeli to prawda, to jeszcze gorzéj. Lecz jeśli to prawda, to abyście uniknęli zguby, musicie na czasie zyskać, abyście swe siły pomnożyli. A na to jest tylko jeden sposób. Powtarzam—kto sprawił złe, niech za nie płaci! Wróćcie Rzymianom Larika i jego zbiegów! (*szemranie*). Tak jest! Przyszli posłowie od Legata—wejdźcie w układy, zyskajcie na czasie. A dla zyskania na czasie okażcie uległość i zbiegów z miasta im wydajcie! A nie szemrajcie, tylko słuchajcie dobréj rady, bo dopóki będziecie głupi, nie będzie się wam dobrze działo. (*Powstaje wielki krzyk*).

Głosy. Precz z nim! Na szubienicę go!

Przyboczny Galgaka. Uciszcie się! Uciszcie się!

Larik. Bodajem był w więzieniu zmarniał, zanim te słowa padły!...

Laniwal. Nie popisuj się tu ze swojém więzieniem! (*hałas oburzenia*).

Przyboczny Galgaka. Uciszcie się!

Laniwal. Co on tu ze swojém więzieniem! Nie powinien był siedzieć w więzieniu! (*krzyki*). O! dla was łotry, jak tylko jaki frant posiedzi w więzieniu, to już dobry!..

(*Krzyki oburzenia, zamieszanie, Staford i Day przyskakują z pięściami do Laniwala*).

Przyboczny. Uciszcie się zaraz! Uciszcie się!

Larik. Wodzu!.. Żołnierze!

Laniwal (*do Larika*). Nie masz tu głosu!..

Głosy. Niech mówi!

Przyboczny. Uciszcie się!

Galgakus (*do przybocznego*). Niech mówi.

Przyboczny. Uciszcie się! Wódz nakazuje, aby Larik mówił! Uciszcie się!

Larik. Galgaku! (*po długiéj chwili*). Tak, teraz widzę, żem to ja was zgubił. Ja—najnędzniejszy z ludzi, najpodlejszy, najbardziéj godny nienawiści. Jam to wprowadził was w niebezpieczeństwo, jam posiał między was niezgodę. Niech mi się stanie według mojéj winy. Wydajcie mnie Rzymianom — niech przepadnę! A ty, Stafordzie, nie broń mnie. Nie chcę obrony. Niechaj mi wszystkie języki złorzeczą, niech błotem na mnie miecą drobne dziatki! Nie chcę obrony. Com czynił, to czyniłem nie dla chwały. Com sprawił, niech upadnie

na mnie bez ulżenia!—Lecz co ganicie, tego ja nie chciałem. Ale mi gorzko do tego się przyznać. Bo kto rachunek zdaje z swych zamiarów, ten szuka usprawiedliwienia. A ja nie szukam usprawiedliwienia! Głoście tu na mnie klątwy i obelgi! Lżyjcie mnie, niechaj to słyszą bogowie! Jam całą wolę swą skupił do czynu, jam siły swoje wydął jako żagle, jam doszedł kresu mojéj ludzkiéj władzy. Mało jest zbrodni, których nie spełniłem. Na moich rękach krew skrytego mordu, na głowie mojéj prochy ciał spalonych! Gdy wiatr powieje, strzęsie je, i na was padną. To prochy tych, co żyli — jam ich zabił – i wszystko dla was. A jeśli mimo to, ja was zgubiłem, to dajcie sobie jarzmo na kark włożyć! Rzućcie broń, idźcie na służbę Legata! Będziecie mieli wrogów w samych sobie, czyli będziecie mieli nędznych wrogów! Będziecie pełzać przed obliczem panów, choć wewnątrz gryźć was będzie jad oporu! Synowie wasi wyjdą na Rzymian i szydzić będą z waszéj ponurości, a córki wasze shańbią swoje łoża i płodzić będą bękartów krwi rzymskiéj. A wam nie będzie wolno ich zabijać, bo rzymski bękart ma rzymskiego ojca, który samicy już tém samém broni, że ją pohańbił!...

Ha, psy tchórzliwe! To ja was zgubiłem?! Ja, którym wszystko poświęcił dla kraju i którym więcéj stracił niż poświęcił, ja was zgubiłem?! Ja, com zaprzedał duszę dla wolności, co mię nienawiść jak ogniem paliła, aże mi od niéj skóra zwiędła, kości wyschły?! A wy, co radzicie, aby uciekać, wy, zbawcy ojczyzny?! Wy, którym pilno wracać do barłogu, wy moi sędzie i potępiciele?! Biada! Znam was! Biada tym, co sieją tu zwątpienie! Biada, którzy nie poszanują krwi wylanéj! Biada odstępcom, co zimnym oddechem gaszą tu w sercach młodzieży płomienie i wiarę w przyszłość narodu chcą zabić! Biada! (*Tu Larik wybucha płaczem*) Ah, ah, ah, ah! (*łkając*). O to-żem się doczekał czasów! O to ludzie! Ah, ah, ah! Galgaku! Głowę moją tu położę! Zdepcz ją! Jeźli się macie shańbić, zdepcz mi głowę, odejmij światło oczom, zabij! Tam garstka Rzymian, nas tu tłum ogromny! Oni łupiezcy, my swojego bronim! Oni na cudzéj ziemi, my na swojéj! I oni się nie boją śmierci, a my się boim! Zabij mnie. Oto ci się tu położę, zabij mnie! Każ mnie porąbać na ćwierci! Niech nie dożyję, tu mnie masz, zamorduj!.. (*rzuca się do nóg Galgakowi, łkając*).

Staford. Galgaku!

Day. Wodzu!

Staford. I mnie tu zamorduj!

Day. I mnie zamorduj!

Dowódca 1. I mnie zabij!

Głosy dowódców (*którzy wyciągają ręce i wołają*). Wszystkich nas zamorduj, zabij!

Okrzyk tłumu. Na Rzymian! Na Rzymian!

Galgakus (*wstając*). Żołnierze!

Okrzyk tłumu. Na Rzymian! Na Rzymian!

Galgakus (*podnosząc miecz w górę*). Żołnierze!

Okrzyk tłumu. Na Rzymian!

Galgakus. Nie rzucę miecza, nie cofnę się!

Okrzyk tłumu. Niech żyje Galgakus!

Larik (*wstając*) O panie!..

Staford, Day i inni. O wodzu! wodzu!

Galgakus. Pokój tym, którzy polegli w nieszczęśliwéj walce! Lepiéj zawinić zbytkiem poświęcenia niż brakiem. A jak ci miłowali ojczyznę, niech was ich śmierć nauczy, i niech was łzy Larikowe nauczą, od których moje oczy zwilgotniały. A takich ludzi wydać Rzymianom, byłaby hańba. A że ją najbardziéj ci miłowali, którzy jéj najbardziéj nie mieli i ciężkie jarzmo Legata dźwigali, niech was nauczy, jaki ona skarb jest, i jaki skarb tracą ci, co ją tracą. A ja ją tak miłuję, jakbym tu nad jéj nieszczęściami płakał! Ale moje oczy nie do płakania. Przeto wam powiadam, że wysłuchane jest wołanie wasze. I jest wołanie wasze takie, jak moje rozkazanie. A moje rozkazanie jest na śmierć Rzymianom. Na śmierć Rzymianom!

Okrzyk zbiorowy. Na śmierć Rzymianom!

Galgakus. A dlatego, że nas otoczyli, musimy się przebić! A że tu byli, których nie winię, ale mieli inne przekonanie. Przeto ci was nie poprowadzą. Ale was poprowadzi Staford i Day. A zamiast Tamara i Laniwala poprowadzi was Larik.

Okrzyk zbiorowy. Niech żyje Larik!

Galgakus. A pod nimi poprowadzą was inni, jako dawniéj. A nad wami wszystkimi będzie moje oko. A nademną będą bogowie nieśmiertelni. Dla nas oni tę ziemię stworzyli, kiedy nas na niéj stworzyli. A po to nas stworzyli, aby tu nikt inny nie był. A ktoby był, aby był wygubion!

Okrzyk zbiorowy. Na śmierć Rzymianom!

Galgakus. A teraz wiecie jaka jest wola moja. Idźcie i powiadajcie, aby i inni wiedzieli, że ją tak posłom rzymskim objawię.

Okrzyki. *Za* wszystko dobre! Niech żyje Galgakus! Niech żyje Larik!

(*Z okrzykami temi tłum rozbiega się za scenę; ociągającą się resztę straż usuwa przez ciąg dyalogu, aż do końca sceny*).

Larik (*do Gal.*). Zbawco nasz!

Inni dowódcy (*garnąc się do niego*). Zbawco!

Laniwal (*na stronie, do Tamara*). Co robić?.. Jak bogi szanuję?..

Tamar (*na str., do Laniw.*). Milczéć i pogardzać!

Laniwal (*na str.*) Oszalałeś?.. (*głośno*) Galgaku... niech zaraza padnie na Rzymian, kiedy tak. Żebym był o tém wprzódy wiedział, inaczéj bym gadał.

Galgakus. Wolno ci było mówić, jako i Tamarowi. Aleście tchórzliwy umysł okazali, nie jak wodzowie.

Tamar. Jeżeli tchórzem jest, kto sobie zdaje sprawę...

Galgakus (*przerywając*). Milcz! Wszak żądałeś wydania Rzymianom powstańców. Możecie walczyć w szeregach żołnierzy i męstwem obmyć plamę. Jesteście wolni.

Tamar (*kłaniając się, pogardliwie*). Od zaślepienia.. (*wychodzi*).

Laniwal (*do Galg.*). Niech ci zdrowie służy! Mnie tam wszystko jedno. Bądź pewny, że ich będę mężnie łomotał, gałganów! (*na str.*) Ah, tom odetchnął! (*odchodzi*).

(*Wchodzi dwóch żołnierzy*).

SCENA X.

GALGAKUS, LARIK, STAFORD, DAY, INNI DOWÓDCY. ŻOŁNIERZE, GOŃCY LEGATA, PACHOŁKOWIE.

Jeden z żołnierzy. Prowadzimy gońców Legata.

Galgakus. Niech przyjdą.

(*Pod strażą dwóch żołnierzy wchodzi troje ludzi z głowami osłoniętemi, w ich liczbie jedna kobieta. Prowadzą ich za ręce trzéj pachołkowie*).

Żołnierz (*do gońców*). Stoicie przed obliczem wodza i króla!

Galgakus (*spostrzegłszy niewiastę*). Co to?.. Niewiasta?..

Jeden z gońców. Bądź pozdrowiony! To córka Larika.

Larik. O bogi!

Tenże goniec. Najdostojniejszy Legat rozkazał jéj, aby ci wolę jego opowiedziała

Galgakus. Ona?

Wodzowie. To szyderstwo...

Galgakus (*gniewnie*). Odkryć im głowy, to już nasi jeńcy!

(*Pachołkowie odkrywają głowy gońcom*).

Larik. Letta? (*chwyta ją za ramiona*) Letta?

(*Staford i Day powstrzymują i odwodzą Larika*).

Galgakus. To twoja córka?

Larik. Moja, moja córka! Daj mi ją...

Galgakus (*do Letty*). Z czém przychodzisz?

Letta. My nie jesteśmy jeńcy lecz posłowie. Całośmy przyszli i cało wrócimy. Broni nas prawo.

Galgakus (*do Larika*). Czy to twoja córka?

Larik. Biada mi. To moja córka! Kochanka Marona i poseł rzymski! Cha, cha, cha!

Galgakus. Występna dziewko!...

Letta. Dlaczego występna? Żem pokochała człowieka? Bogowie grzechy moje porachują. Nie przeszkadzałam wam w niczém. Dzisiaj nie z własnéj woli tu przychodzę. Legat mnie gwałtem oderwał od boku ukochanego i kazał iść, zaręczając, że mi się krzywda nie stanie. Niechaj ci ludzie zaświadczą, żem ja ze łzami błagała, by mnie zostawił—napróżno. Więc poszłam, a raczéj oni mnie tu przywiedli. Ale mnie trawi tęsknota i bojaźń, i błagam cię, wysłuchaj i puść mnie w pokoju.

Galgakus. Mów!

Letta. Legat cię wzywa, abyś mu zwrócił wszystkich zbiegów z miasta. Gdy to uczynisz, będzie się z tobą o pokój układał. Jeżeli złożysz broń, daruje życie twoim żołnierzom i pozwoli im wrócić do pracy.

(*Szemranie wśród otaczających Galgaka*).

Galgakus. Ile ma Legat wojska?

Jeden z gońców (*do Letty*). Nie mów, ile ma wojska!

Galgakus (*gniewnie*). Ile ma wojska?

Letta. Ja nie wiem.

Galgakus. Héj, niech przyniosą tu narzędzia tortur!

Letta. Panie, ja nie wiem!

Tenże goniec. Jesteśmy posłowie a nie szpiegi.

Galgakus. Związać ich!

Goniec. Szanujcie nas!... barbarzyńcy!..

(*Obu szamoczącym się gońcom pachołkowie krępują ręce*).

Galgakus. Ile ma Legat wojska? (*wchodzą oprawcy*).

Letta. Panie, ja nie wiem, ja kobieta...

Day. Maro ci nie mówił?

Letta. Ja się nie mieszam do wojska...

Galgakus. Szczypcie ją kleszczami!

Letta. Panie, na miłość bogów, ulituj się!..

Galgakus. Szczyp ją po piersiach!

Letta. Panie! litości! wszystko ci opowiem, panie!..

Galgakus. Więc mów!

Goniec związany. Milcz, Letta!

Galgakus. Mów!

Letta (*wybucha płaczem*). Ah, ah, ah!

Galgakus. Ile ma wojska?

Letta (*łkając*). Nie wiem, przysięgam, że nie wiem. Tyle wiem że mu przybyły posiłki, lecz ile—nie wiem...

Goniec. A więc ty zdradzasz?

Pachołek (*uderzając go pięścią*). Cicho!

Galgakus. Czy stoją w mieście?

Letta. Nie...

Galgakus. Tylko gdzie?

Letta. Idą tu do was.

Galgakus. Gdzie są?

Letta. Nie wiem. Myśmy wczoraj w drodze zbłądzili i tułali się po lasach. Więc oni już pewno blisko.

Galgakus. Może już bardzo blisko?

Letta. Może... może...

Galgakus. Czy chcą nas napaść?

Letta. Może, może, o bogi, czy ja wiem! (*płacze*).

Galgakus. Szczypać ją...

Letta (*przerażona*). Oh! Nie katuj mnie! Legat powiedział, że mi nic złego nie zrobisz!

Jeden z gońców. Dziki wodzu, nie pastw się nad nią! Ja ci dopowiem resztę. Legat nie chciał jéj zabić przez wzgląd na Marona, i nie chciał jéj z tegoż powodu trzymać w obozie. Więc ją z nami odesłał. Przez wzgardę dla ciebie kazał jéj pełnić poselstwo. I to nam rozkazał, abyśmy ją w drodze z powrotem zamordowali, mówiąc, że tyś ją zatrzymał...

Letta. Nieprawda!.. kłamiesz!..

Tenże goniec. Lecz tyś nas wszystkich zatrzymał. Ty nie słuchasz rozkazów Legata, a posłów jego katujesz, więzisz i straszysz! My się nie boim śmierci! Ale ty drżyj, barbarzyńco! Legat tu idzie! Nim mówić to skończę, może usłyszysz tętent jego pędzących legionów! One ci zemstę przyniosą za nasze zniewagi, bo w nas znieważyłeś Cezara!

(*Szemranie w orszaku Galgaka*).

Głosy. Na śmierć go, na śmierć!

Galgakus (*wstając*). Niech ich rozszarpią żołnierze!

Letta. Ojcze!

(Letta podskakuje do Larika i tuli się do jego piersi, jakby szukała ochrony; pachołkowie i żołnierze rzucają się na gońców, porywają ich i niosą do obozu).

Galgakus. Zdrada! Przysłał nam gońców, aby nas omamić. A tymczasem znienacka podchodzi i o napaści myśli. Ale zastanie nas przygotowanych! Trzymajcie ostro topory i miecze, aby raziły na śmierć! Do broni!

Orszak. Do broni!

(Larik prowadzi Lettę za rękę na przód sceny, Galgakus i orszak wychodzą na prawo. Jednocześnie rozlega się wściekły ryk żołdactwa, które, pędząc w głąb obozu, na pikach w górę podnosi, kłuje i szarpie gońców rzymskich).

SCENA XI.

LARIK. LETTA.

Letta. Ja tu nie zostanę!

Larik. Po coś tu przyszła?. Dlaczegoś mi tu swoją sromotę przyniosła?.. Dlaczegoś jej nie ukryła przed ludźmi?...

Letta. Puść mnie!

Larik. Tak ci się chce do kochanka?.. Poczekaj! .. Wszak cię tam Legat kazał zamordować.

Letta. To nieprawda, nieprawda, puść mię!

Larik. Nieprawda?... Haa? Nieprawda?... Nie chcesz się przyznać, że cię wygnali, jak się wygania nad ranem pijaną bachantkę? Haa, widzisz, to tak się kończą rozkosze wyrodnych córek!... Byłaś u niego?..

Letta. Byłam.

Larik I nocowałaś u niego?

Letta. Nie...

Larik. Nie? To może on u ciebie nocował, hę? Co z tobą robił?.. (*po chw.*) Co robił?..

Letta. Nie wiem.

Larik. Nie wiesz?!.. (*po chw.*) Co z tobą robił?

Letta. Nic nie robił...

Larik. Co?! Mów mi zaraz! Mów mi tu zaraz, bo ci na zawsze odejmę władzę mówienia!

Letta. Co chcesz, żebym ci mówiła? Czy, że go kocham? A więc tak, kocham go... Sam-eś mi na to pozwolił... Wszak obiecałeś, że mnie wydasz za niego.. A że go kocham, więc mu się oddałam! Co ci moja miłość przeszkadza!.. Nic od ciebie nie żądam!... Nie chcę pieniędzy, klejnotów, nic nie chcę!.. Co ci moje szczęście przeszkadza!?

Larik. Więc-eś mu się oddała? Wstydliwie mówisz, aż mnie to zadziwia. Co mi twoje szczęście przeszkadza?... Nic! Twoje szczęście mi nic nie przeszkadza. Tylko mi przeszkadza moje nieszczęście! (*trzęsąc nią*) Moje nieszczęście mi przeszkadza, moje nieszczęście, przeszkadza mi moje nieszczęście!

Letta. Booogi!

Larik. Jak przez zły liść wchodzą do pnia zabójcze wyziewy, tak tyś wciągnęła we mnie utrapienie. Tyś jest zatruta w moich ustach ślina! A gdyby własna ślina mnie zatruła, byłaby mniej występna niż ty jesteś, bom jéj nie kochał, nie żywił, nie chował, bom

się niczego po niéj nie spodziewał. To ty się pytasz, co mi to przeszkadza, że wrogom moim służysz ku rozkoszy? Ty nierządny prochu! Ty zgniła ropo mojego spokoju! Ty wrzodzie z mojéj czystéj krwi! To ty się pytasz, co mi to przeszkadza, że ci się zachciało szczęścia z Rzymianinem? A gdy twój stary ojciec tkwił w więzieniu, tyś wygrzewała łoże patrycyusza? I tuś mi jeszcze przyszła w ich imieniu żądać, aby mnie wydano! Tu, tuś mi przyszła. tu, tu, tuś mi przyszła!.. (*Przy ostatnich słowach, za ramiona ją trzęsąc, obala na ziemię, tłucze o nią i przygniata kolanem*)

Letta. Litości!

Larik. Ha! Niéma litości! Katem ci będę, nie ojcem!

Letta. Puść mnie!

Larik. Poczekaj...

Letta. Ach! (*pchnąwszy go, wyrywa się, wstaje i zaczyna uciekać*).

Larik. Stój (*chwyta ją*) Aaa, gołąbko, poczeeekaj, poczeeekaj!..

Letta. (*silnie*) Puść mnie!

Larik. Zaaraz, zaaraz!

Letta. Puść mnie! Bo cię znienawidzę!..

Larik. Taak?

Letta. Bo Maronowi powiem, żeś mnie szarpał!..

Larik. Powiesz?

Letta. No!.. Zaraz!..

Larik. Tak ci pilno? Tak ci niemiło w towarzystwie ojca?

Letta. Wolę być u niego pogardzoną sługą, niż u ciebie córką!..

Larik. Taak?

Letta. Kocham go, choć jest Rzymianin! I choćbyś mnie zabił, to mnie nie zmusisz bym go nie kochała! On dał mojemu sercu słodycz życia, a tyś mnie poił łzami. On z duszy mojéj zdjął noc! On piersiom moim dał swobodny oddech! On mnie napoił rozkoszą!... A ty mnie więził! Ty mnie do łez przymuszał, choć-eś mnie nie nauczył żalu. Puść mnie! Ja nie twoja! Nie chcę być twoja! Puść mnie!

Larik. A ty suko! Ty zlepku podłych chuci! To ciebie trzeba było uczyć żalu, kiedy kraj w jarzmie jęczał!

Letta. Ja tylko twoje jarzmo znałam! Puszczaj! Jak śmiesz mnie trzymać, kiedy mnie Legat przysłał!

Larik. O bogi, bogi!.. Poczekaj... Legat cię przysłał?.. A mnie tu na oczy zdradę ludzie wyrzucali... A ja się broniłem... Ale, jak gwiazdy nad nami, już mi na nic obrona... Boś ty tu przyszła na świadectwo przeciwko mnie. Już się odkryła hańba moja... Już jest jawne źródło moich win. Kto na mnie spojrzy, będzie wiedział, co uczyniłem, i będzie wiedział inne rzeczy, których nie uczyniłem, ale

o które mnie posądzi. I moja myśl nie pomieści tych zbrodni, o które mnie posądzi. A łotr będzie, kto mnie nie posądzi.

(*Letta zaczyna się szamotać, chcąc uwolnić swoje ręce z rąk ojca*).

Próżno się szarpiesz!.. Rozpętałaś mój gniew... (*chwytając ją za gardło i obalając na ziemię*)... Rozpętałaś mój gniew, nieszczęsna, rozpętałaś, i tu się nauczysz, czego było żałować, bo tu ci łzy same popłyną na widok mojéj wściekłości... Zdaj mi rachunek swego wszeteczeństwa! Zdaj rachunek swego kochania! Opowiedz wszystko. Wszystko tu chcę wiedzieć! Wszystkie swe sprosne uciechy mi opisz ze szczegółami! Nie pomiń żadnego bydlęcego figla, żadnego dotknięcia! Bo ja cię muszę stosownie nagrodzić! Muszę ci zapłacić za każdy dźwięk twego chichotu, za każdy podryg zwierzęcy, za każdy, bez wyjątku, bez opuszczenia!.. Mów!.. Słucham, mów!.. Dlaczego milczysz? Mów! (*z wściekłością*) Mów!

Letta. (*jęcząc*) Oooh!

Larik. (*po chw.*) Widzę, że nie chcesz ze mną gadać. Tak-eś shardziała... Niech ci się zdaje, że ja jestem Maro. Poczekaj. (*dobywa miecz z pochwy*) Będę do ciebie mówił tak jak Maro...

Letta. Oooh!

Larik. Tak-eś przy nim wzdychała?.. Mów wyraźniéj, bo cię nie rozumiem... Mów!.. Może chcesz figlów, co? jak przy Maronie?.. Będę z tobą figlował. (*kłuje ją mieczem*) Mów!

Letta. Oooh!

Larik. No, daléj, póki mi starczy cierpliwości. (*kłuje ją znowu*). No!.. (*kłuje*) No, mów! (*kłuje*) Mów! (*kłuje*) Mów!...

Czy nic z ciebie dziś nie wydobędę oprócz krwi?.. Ha, łotrzyco! Będziesz trochę bledsza, to ci nie zaszkodzi. Za rumiana byłaś jak na moją córkę. Teraz ci już krew do głowy nie uderzy, i nie będzie ci się przewracało w głowie. Już ci usta zbladły... Ze krwi poszła twoja chuć. Niech ci trochę ujdzie, będziesz lepsza. Niech ci płynie... Niech ci płynie... Niech płynie...

SCENA XII.

Larik, Letta, Laniwal. Późniéj kolejno: Tamar, Żołnierz, Kuno, Wojsko brytańskie i Wojsko rzymskie.

Laniwal. (*wchodząc*) Aha! To ty mnie tak zastępujesz, stary lubieżniku! Przy dziewczynie! To ty myślałeś, że moje obowiązki były przy dziewczynie! Tam na ciebie żołnierze czekają, a ty tak dbasz o bitwę! (*postępując naprzód*) Coś ty jéj zrobił?... To Letta?!.. Co to jest?.. Krew! Patrzcie, krew! (*nachyla się*) Jak bogi szanuję, ten łotr ją

zabił! (*do wchodzącego Tamara*).. Tamarze, widzisz, jak on nas zastępuje? Zabawia się tu mordowaniem córki!..

Tamar. Córki?

Larik. Kłamiesz, ona żyje.

Laniwal. Już zesztywniała!

Larik. Kłamiesz. Jeźli zechcę, to ci tu zaraz opowie o swoich uciechach z Maronem.

Laniwal. A i owszem! (*do Tam.*) Widziałeś ty co podobnego! (*do Lar.*) Łotrze jeden, idź na swoje miejsce!!

Żołnierz. (*wchodząc*) Lariku, bitwa!.. Na lewe skrzydło napadli Rzymianie! Na bogów, dlaczego nie idziesz dowodzić?!

Larik. (*wstając*) Co się zrobiło?

Laniwal. Słychane to rzeczy?!

Żołnierz. (*wzburzony*) Niech kto obejmie dowództwo! Wojsko w popłochu czeka na rozkazy!

Tamar. (*wskazując Larika*) To jest twój dowódca!

Żołnierz. Lariku!

Laniwal. (*do Lar.*) Idź się bić!

Kuno. (*wchodząc*) Ojcze!

Laniwal. Jego syn...

Kuno. (*do Lar.*) Dlaczego tu stoisz?.. Dlaczego stoisz, kiedy tam czekają!!..

Larik. Dlatego, że się nie ruszam. A nie ruszam się dlatego, że stoję.

Laniwal. (*do Kun.*) Zrozumiałeś? (*wskazując Lettę*) Widzisz? .

Kuno. Letta?

Laniwal. A bić się nie chcę, choć się tu przechwalał...

Kuno. Nieżywa!?..

Laniwal. Jeżeli nas tu Legat jak pluskwy wygniecie, to będzie nie przez kogo innego, tylko przez niego!

Kuno. Kto ją zabił?

Laniwal. On!

Kuno (*do Lar.*) Ty?.. Co ty zrobiłeś?.. Dlaczego nie idziesz walczyć?

Larik. (*ciskając miecz o ziemię*) Niech was śmierć spotka! Niech was do jednego Legat wytępi! Niech śladu po was nie zostanie! Precz ztąd!

Kuno. Ojcze!..

Larik. Za kogo walczyć!.. Za tego trupa, żeby wstał i poszedł do Marona? (*do Kun.*) Za ciebie, podły płodzie z tego samego nasienia? (*do Lan.*) Czy za twój język nikczemny? Czy za truciznę, którą

przez was piłem? Albo za siebie, za pień spróchniały, w którego pustce wichry zgryzot wyją, za proch, za popiół, za błoto chodzące, za nic!? Za to mam walczyć?! I tylko po to przyszliście tu do mnie?! Żeby mi z dzieckiem rozmowę przerywać?!

Kuno. Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

Larik. (*z wściekłością*) Precz! Precz wrogi! Precz!!

Tamar. Cha, cha, cha, cha! (*śmiejąc się złośliwie, wychodzi*).

Kuno. (*zmieszany*) Co to jest?..

Żołnierz. (*strwożony, chwytając Laniwala za rękę*) Panie!..

Laniwal. (*trwożnie*) Uchodźmy ztąd... Tutaj bogowie karzą tych, którzy zdradzają!...

(*Laniwal i Żołnierz wychodzą, oglądając się z niepokojem*).

Kuno. (*do Lar. rozpaczliwie*) Zdradzają?!

Larik. (*jakby budząc się*) Co?..

Kuno. (*j. w.*) Ty zdradzasz?.. Ty?! (*chwytając go lewą ręką za piersi*) Ty zdradzasz?!..

Larik. Kto?.. Co się stało?..

Kuno. (*puszczając go*) Bogowie miłosierni!. Chyba mi się rozum pomieszał... Ojcze!.. Ojcze!!.. Tysiące przekleństw ściga twoje imię! Wojsko się cofa! Czemuś je opuścił! Czemuś opuścił swoje wojsko w godzinie niebezpieczeństwa!?

Larik. Gdzie jest mój miecz... Kłamiesz!.. Duch ciemności mnie opanował... Tajemniczy wróg mną pomiata... Gdzie jest mój miecz?.. Gdzie jest niebezpieczeństwo?!..

(*W téj chwili rozlegają się okrzyki żołnierzy brytańskich, którzy w ucieczce środkiem obozu biegną przez scenę, ku lewéj stronie*).

Głosy zmieszane.. Biją nas! Ratuj się! Uciekaj!..

Głosy zmieszane. Ratuj się! Staford zabity! Uciekaj!

Laniwal. (*wymachując mieczem*) Stójcie! Na bogów, stójcie! W ucieczce pewna śmierć! Żołnierze!

Głosy. Stójcie! stójcie! W ucieczce śmierć!

Larik. (*wielkim głosem*) Kto się tu boi śmierci?!.. (*cisza*) Kto się tu na téj ziemi boi śmierci?!

Rzymianie. (*wchodząc od prawéj strony*) Nie żyje Cezar!

Larik. Nie!.. Nie!!. Nieprawda!!!

(z zaciśniętemi pięściami rzuca się na szeregi rzymskie, za nim czynią toż samo żołnierze brytańscy przy głośnym okrzyku. Pchnięty tarczą Larik upada. Walka trwa czas jakiś. Pada zabity Laniwal, Kuno i wielu innych, zaścielając ciałami swemi scenę i pokrywając trupa Letty. Brytańczycy cofają się. Za uciekającymi z okrzykiem tryumfu biegną Rzymianie, coraz napływający. Nakoniec wchodzi Legat z orszakiem).

SCENA XIII.

Legat i Orszak jego.

Legat. (*wchodząc*) Wielki Cezarze, przy tobie zwycięstwo!

Okrzyk zbiorowy. Niech żyje Cezar!

Legat. Galgakus z resztką żołnierzy ucieka. Więc dalej w pogoń! niech nie ujdzie cało!

Jeden z orszaku. Maro go ściga!

Legat. Jakże się on mężnie bił!

Jeden z orszaku. Jak lew! Tak rąbał, jakby każdego żołnierza podejrzewał, że kryje w sobie jego kochankę. Teraz uciekających goni w nadziei, że ją ze sobą uprowadzili. Szczęście to, że jéj żywéj nie znalazł, bo jego rozpaczliwy gniew nie mało przyczynił się do zwycięstwa.

Legat. Cha, cha, cha, jemu więc naprawdę miłość uwieńczy laurem skronie... Lecz czy nie spotkał który z was Larika?..

Głosy. Nie, nie...

Legat. Chcę go mieć! Wszystkie jego bogactwa za jego głowę! Tymczasem idźmy daléj! Niech widok mojéj osoby dodaje męztwa żołnierzom. Chcę, aby dzień dzisiejszy był w dziejach nazwany dniem poskromienia stugłowéj hydry buntu! Naprzód!

Larik. (*podnosząc głowę*) Ty psie!..

Głos z orszaku. Co widzę!..

Legat. Larik!..

Larik. Bodajeś skonał!

Legat. Bierzcie go!

Głosy. Łapajcie!

(*Rzucają się ku Larikowi, kurtyna zapada*).

AKT PIĄTY.

Plac przed domem Legata w mieście. Po lewéj stronie niewielki taras, na który drzwi z domu. Droga. W głębi gąszcz drzew i krzaków.

SCENA I.

(Po prawej stronie, vis-à-vis tarasu, stoi oddział żołnierzy rzymskich. Od lewéj strony wchodzi przodem kilku żołnierzy rzymskich, za nimi jeden prowadzi Larika na powrozie, uwiązanym za szyję. Setnik idzie obok i wykrzykuje. Naokoło lud brytański, wpośród którego zaniepokojenie i gwar stłumiony).

Setnik. (*idąc*) Ciskajcie na niego błotem, i ziemią, i kamieniami, i czém kto może! (*wyrostki z hałasem ciskają ziemią*). Nie żałujcie rąk! Plujcie na niego, i nie żałujcie gęby! To wasz największy wróg! On obrócił na was gniew Legata! Przez niego tysiące waszych zginęło, a wy, co żyjecie, żyjecie tylko z łaski Legata! Przez niego płacić będziecie wielki podatek w zbożu i w bydle! (*głośny hałas oburzenia*). Na polu on was zdradził! Żywego go złapali, jak uciekał!, A która matka przez niego syna straciła, niech go nie oszczędza! Daléj!..

Tłum. (*z oburzeniem*) Oooohо!

Niewiasta 1. O ja nieszczęsna!..

Niewiasta 2. A bodaj on tysiąc śmierci poniósł, o dolaż moja dola!

Niewiasta 3. Bodaj on głodem zamarł, jak nas podatek zamorzy!... (*Powstaje zgiełk ogólny*).

Setnik. Silentium!.. Silentium!

(*Na taras wychodzi Legat z orszakiem*).

SCENA II.

Setnik. (*wśród gwaru, do Leg.*) Bądź pozdrowiony!

Tłum. (*wielkim głosem*) Odpuść nam podatek!.. Odpuść podatek!..,

Setnik. Silentium!.. Silentium!..

Legat. (*na tarasie stojąc*) Nie będzie wam odpuszczony podatek...

Tłum. Ooohoo!..

Legat. Tyle się dla was zrobi, że będzie wygubione nasienie tych, którzy was do złego prowadzili i namawiali do nieposłuszeństwa. A oto ten tu jest (*na Larika wskazuje*) zakała waszéj krwi. Dopóki tacy będą między wami, nie wróci do was moja łaska. Policzcie jego zbrodnie! Zdradził moje zaufanie. Młodzież do buntu podniecił.

Cyrk nasz podpalić kazał. Córkę własną zabił. Ilu ludzi przez niego zginęło, niech sam opowie. Wyznaj tu swoje winy! Oddaj im przysługę, kiedy nad grobem stoisz, i powiedz, aby szanowali prawo, któreś ty sto razy pogwałcił!

Larik. Co jest prawo? Z przemocy twoje prawo nad nami.

Setnik. (*uderza Larika w twarz*).

Larik. Dlaczego mnie bijesz?

Setnik. Jak śmiesz tak hardo mówić do Legata!

Larik. (*do Leg.*) Panie. Ja mam związane ręce, a sługa twój mnie bije. Tak samo ty ludowi mojemu związałeś ręce i bijesz go. A twoje prawo to powróz na naszych rękach. A moje zbrodnie nie zbrodnie, tylko nóż na twoje powrozy.

Setnik. (*Uderza Larika w twarz*) Stul gębę!

Larik. Bij, to twoje prawo! (*do ludu*) Szanujcie prawo!

Legat. (*do ludu*) Słyszeliście?

Lud. (*groźnie*) Wydaj go na śmierć! Niech zginie, przeklęty! To wróg nasz!

Legat. Prawda! Tacy to ludzie są źródłem waszych nieszczęść.

Człowiek z ludu (*do Legata, występując naprzód*). Dlaczego nas karzesz za jego winy! My ci byli wierni. Wydaj go, sami zabijem! A od ust nam ostatka nie odejmuj! Bo nie po to my nie poszli wojować, żebyś nas zamorzył. Za co nas karzesz!?

Legat. A kto odpowiada za syna, jeźli nie ojciec? A kto odpowiada za ojca, jeźli nie syn? Oto człowiek z waszego nasienia! A dzieci wasze śladem jego poszły! W nim samym świadka mam, że dobra waszego chciałem. Niechże was teraz uciska zło wbrew mojéj chęci!—Haniebną śmierć mu zgotuję. A czego jego śmierć nie okupi, za to wy zapłacicie trudem i łzami. I będzie jęku waszego aż do skończenia waszych nieprawości.

Larik. A skończą się wasze nieprawości, kiedy się skończy wasza niewola. A jeźli onéj nie zakończycie, będziecie wiecznie potępieni, aż póki ślad po was nie zaginie. Na śmierć moją pilnie patrzajcie. Tak będą umierały dzieci wasze.

Legat. Amen. Do krzyża go przybijcie! Tak będą umierały dzieci wasze. A wy za winy dzieci waszych coraz cięższe dźwigać będziecie jarzmo! (*rozlegają się łkania kobiet*). A kto szlochaniu waszemu uwierzy? Krokodyle są łzy wasze. A co warta wiara wasza, z niegom nauczon!

Larik. Amen.

Setnik. Przyszedł dzień sprawiedliwości! (*do Lar.*) Na ciebie spadną łzy twego ludu! A krew twoja będzie przeklęta!

(*Głośne płacze. Orszak z Larikiem i ludem odchodzi na prawo, w tym samym porządku jak przyszedł. Legat ze świtą wraca do domu swego*).

Setnik. (*odchodząc*) Oto wróg wasz! Ciskajcie na niego błotem i ziemią i kamieniami i czém kto może! Plujcie na niego i nie żałujcie gęby! Niech mu tak będzie gorzka ostatnia godzina, jak wam życie będzie przez niego gorzkie!.. Hoo!.. Hoo!..

SCENA III.

(Z całego tłumu zostaje w końcu tylko dwóch ludzi: Rak i Mol. Jednocześnie dekoracya zmienia się o tyle, że po podniesieniu tylnéj kulisy, ukazuje się w głębi sceny wzgórze, na którém trzech ludzi. Jeden z nich rydlem kopie dół w ziemi, dwaj cieśle zaś zbijają młotami krzyż. Słychać przytłumiony nieco odległością stuk młotków).

RAK. MOL. późniéj BOB.

Mol. Łzy mi się cisną do oczu!

Rak. Straszny widok.

Mol. Przyjacielu! (*wyciągając ręce*) Przyjacielu! Hg! Hg! Hg! (*ze łkaniem rzuca się na piersi towarzysza, który go obejmuje*).

Rak. Odwagi!

Mol. Hg!.. Dziś dla każdego z nas tylko dwie drogi. Albo być takim jak Larik—iść na śmierć z powrozem na szyi i z błotem na twarzy; albo w tym tłumie zająć miejsce i na podobnych Larikowi błotem ciskać. Tylko tu tacy być dziś mogą. Wybierajmy! Jeźli nas gnuśne życie tak spodliło... chodźmy. gońmy ich, jeszcze zdążymy napluć mu na czoło. Lecz jeźli nie... Na bogów!.. Jeźli się w tobie krew burzy, jak we mnie, na tyle hańby za tyle ofiary,—wybieraj!..

Rak. Już wybrałem!

Mol. (*wyciąga do niego obie ręce*).

Rak (*podawszy mu jedną rękę*) Lepiéj być stokroć oplwanym przed śmiercią, niż okupywać życie plwaniem na tych, co za nas giną... Słyszałeś jego głos: jesteśmy wiekuiście potępieni. Więc bierzmy śmiało los na barki. Daj nam Boże śmierć Larikową! Uściskaj mnie.

Mol. Bracie! (*rzucają się sobie w objęcia*).

Bob. (*wchodząc*) Co tu robicie? (*Mol i Rak puszczają się*). Dlaczego nie idziecie płakać nad Larikiem?

Rak. Idziemy.

Mol. Idziemy.

Bob. Hej! czy ten ostatni umiera za swoich, a po téj śmierci będzie tylko podłość?

Mol. Nie. My tu przysięgli sobie... Po jego śmierci będzie śmierć taka jak jego.

Rak. Aż póki śmierć nie zetrze śmierci.

Bob. Weźcie i moją przysięgę.

(Podają sobie dłonie, poczém wychodzą na prawo. Jednocześnie pochód z Larikiem obszedłszy naokoło po za sceną, od lewéj strony wchodzić zaczyna w głębi na wzgórek. Słychać uderzenia młotów, oraz gwar i szlochanie w ciżbie. Od lewéj strony wchodzi też na pierwszy plan sceny Branio).

SCENA IV.

Branio.

Branio. (*Patrząc zdaleka na wzgórek*) Tam Larik śmierć poniesie... Już mu dół kopią... Już mu krzyż zbijają... I mnie mógł spotkać taki koniec. Gdybym się zaraz nie był wrócił po zapomniany miecz do lochu i gdybym tam nie znalazł tego pisma... Ale znalazłem... Drugiego już takiego nie sfałszujesz!.. Idą... Prowadzą go... Idzie... Tam będzie koniec fałszom. Tam fałsz na krzyżu skona. Gdybym był mógł tę jego broń papirusową schować, aby ją zniszczyć tam, na jego oczach, uczułbym rozkosz zemsty... Chciałeś mnie zgubić?... Patrzaj! Oto twa potęga! Rozdarta i obrócona w popiół u nóg moich!.. A ja—ja silny, ja dobroczyńca ludu! Do mnie się teraz obrócą westchnienia, do mnie modlitwy, abym prożbami złagodził twarde losy tych, którzy przez ciebie jęczą. A droższa jest dla pragnącego kropla dżdżu, niż dla sytego cały potok. I jedna kropla, która na nich przezemnie spłynie, większą mi wdzięczność zjedna, niż całe morze, które ty na nich zlać chciałeś. Chciałeś!.. Cha, cha, cha! Przez ciebie wszystko im jest odjęte. Przez ciebie konać będą z głodu i z pragnienia. A kto takim okazał litość, więcéj im zrobił, niż kto darował chleba sytym. Za jeden fałszywy dźwięk dobrego słowa więcéj ja będę od nich miał miłości, niż ty za życie, któreś im poświęcił. Tyś dla mnie tron zbudował. Przez twój upadek żyć będę. A z twojéj hańby moja cześć... Już z niego szaty zwlekli... Już go chwycili... Wnet zginie... Bogowie!.. Czy wśród złorzeczeń ludu umiera sprawiedliwy?.. A jeżli mu sumienie nie złorzeczy—sumienie—haa—musiałem wydać... Musiałem wydać!.. Podnoszą go!.. O bogi!.. Musiałem wydać!!. Haaa!...

(Larika podnoszą przywiązanego do krzyża. Branio zasłania togą czoło i wychodzi chyłkiem).

Jan Gadomski.



POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

2. J. K. Huÿsmans.

......„Ciężka i mglista parność zawisła nad salą; nieznośny odór węgla kamiennego, gazu i potu kobiecego z pod brudnych spódnic, silny zapach kóz, któreby się nafikały na słońcu, mieszał się ze zgniłemi wyziewami wieprzowiny i wina, z ostrą wonnością kocich nieporządków, z morderczym smrodem wychodku, z ckliwością papieru wilgotnego i szaflików napełnionych klejem....“ Pisząc ten ustęp na 13-téj stronie swojéj powieści p. t. „Les soeurs Vatard“ (1880), nie zamierzał zapewne Huÿsmans stwierdzić swoim przykładem udowodnionéj już dostatecznie prawdy o fatalnych następstwach, jakich okazyą stać się mogą dla człowieka dwa wiersze, wyjęte z całego tomu w ósemce. Tak chciało jednak jego przeznaczenie. Huÿsmans powieszony został za ten obrazek warsztatu drukarskiego i cały *naturalizm* z nim razem w jego osobie. O naturalizm mniejsza. Formuły mają twarde życie. Ale Huÿsmans zasługiwał na lepszy los. Huÿsmans jest belgijczykiem z urodzenia. Pierwsza jego powieść, p. t. „Marte. Histoire d'une fille“, wyszła nawet z pod prasy w Brukselli. Owóż Belgia nie jest krajem wytwornéj kultury umysłowéj i delikatnego smaku. Huÿsmans urodził się i wyrósł pośród najniższéj warstwy społecznéj, a najwykwintniejszém towarzystwem, jakie poznał, przed wzięciem się do pióra, było towarzystwo studentów uniwersyteckich, *rapin'ów* i *kabotynów*. Nakoniec p. Huÿsmans wziął się do pióra w bardzo młodym wieku. Wszystkie te okoliczności przyczyniły się do podsunięcia pod jego pióro owego nieszczęśliwego ustępu. Napisał on zaś takich ustępów więcéj, nie pozbył się i nie pozbędzie się podobno nigdy przekształconego u niego w manierę i w doktrynę pociągu do gminności, trywialności i cynizmu wy-

słowienia. Nie stworzył przytém i może nie stworzy nigdy prawdziwego arcydzieła. Ale jest artystą. Ale nie pisze na obstalunek. Ale ma swój ideał, w którym obok pewnych stron podlegających krytyce są inne domagające się uznania. Ale szuka czegoś i czasem znajduje co innego niż kocie nieporządki. Huÿsmans zaczął źle swoją powieść o siostrach „Vatard" i źle także swój literacki zawód. Jego popisowa nowella w „Soirées de Medan" udzieliła nieszczególnego wyobrażenia o jego pisarskim talencie, a gorszego jeszcze o ogólnym moralnym i intelektualnym poziomie jego nieznanéj dotąd artystycznéj indywidualności. „Sac au dos" jest historyą młodzieńca, którego wypadki 1870 roku powołują do wojska, który poddaje się z niechęcią przymusowéj służbie, korzysta z pierwszéj sposobności dla wpisania się w poczet inwalidów, wędruje z ambulansu do ambulansu i ze szpitala do szpitala, choruje na dysenteryą, a kiedy nie choruje to udaje chorobę, i szczęśliwym się mieni wtedy dopiero, gdy ułatwiony powrót do domu pozwala mu „zażyć rozkoszy samotnych miejsc, w których można swobodnie spuścić portki...."

W samém założeniu już swojém historya ta jest dostatecznie wstrętną; w zestawieniu z datą, którą przypisuje jéj autor, staje się ona w dodatku haniebną i niegodziwą. Ten młodzieniec, który odebrał jakoby staranne wykształcenie, a nie rozumie—w roku 1870! — dlaczego kładą mu tornister na plecy, „nie widzi potrzeby uśmiercania drugich" albo narażania się na śmierć z ich ręki, i po tém wszystkiém, co kraj jego spotkało a na co patrzył zbliska, znajduje w swojém sercu, za powrotem w domowe progi, jedno tylko uczucie: uczucie szczęścia wobec owéj pożądanéj samotności; ten młodzieniec jest ohydnym, a w dodatku, z tym charakterem pospolitego, naturalnego typu, jakim obdarza go autor, nie jest prawdziwym. Typ to możliwy, choć trudny do przypuszczenia w téj klasie i kondycyi społecznéj, w któréj znajduje się pomieszczonym, ale wyjątkowy, w każdym razie potworny, należący absolutnie do téj patologii, o którą tak często trafia się, iż zawadzają panowie naturaliści.

Oprócz szkolnéj tendencyi do uprawiania *anomalii*, widać zresztą w téj pierwszéj manifestacyi młodego talentu coś innego jeszcze, co zasługuje na zaznaczenie przy sposobności, co należy także do ogólnéj charakterystyki tego działu powieściowéj twórczości, w którym figuruje Huÿsmans, a bardzo wybitnie i stale do charakterystyki jego własnéj dotychczasowéj twórczości. Tém czémś jest dobrowolne, na pewnéj, bardzo mglistéj zresztą doktrynie filozoficznéj oparte *nierozumienie*, za przykładem bohatera z „Sac au dos", wielkiéj liczby potrzeb i pojęć, wchodzących w skład dotychczasowego wspólnego wszystkim społeczeństwom moralnego dziedzictwa. Jak w tym

przypadku pojęcie ojczyzny, tak w innych przypadkach pojęcie rodziny, honoru, pospolitéj uczciwości nawet okazuje się zaćmionem przed oczami bohaterów Huÿsmans'a — i samego p. Huÿsmans także. Niwelacyjna to znowu jakaś, nihilistyczna prawie tendencya, nie sformułowana nigdzie, ale nie mniéj przeto wyraźna.

W „Siostrach Vatard“ jest ona nawet bardzo wyraźną. Monografia to — raz jeszcze monografia! — równolegle przeprowadzona, dwóch młodych robotnic pracujących w drukarni. Jedna z nich, „Désirée“, jest dziewczyną porządnego — podług utartych pojęć — prowadzenia; nie włóczy się po kawiarniach i szynkach z robotnikami, nie posiada kochanka i chce się wydać za mąż. Druga, „Celina“, dała przeciwnie za wygranę małżeństwu, żyje w stanie nieregularnego nałożnictwa z dawnym towarzyszem pracy w warsztacie, wydalonym za pijaństwo, a wzdycha do zastąpienia go pierwszym lepszym jegomością, któryby nosił tużurek i sprawił jéj saméj jedwabną suknię. Obie mieszkają u rodziców, którzy patrzą filozoficznie obojętnem okiem na wynikającą z odmiennego temperamentu ich córek różnicę ich postępowania. I sam autor dzielić się zdaje tę filozoficzną obojętność. Nie zaprząta się on na chwilę przystosowaniem obranéj przez jedną i przez drugą siostrę kondycyi do jakiejkolwiek miary etycznéj, ani wyniesieniem jednéj nad drugą. Są to widocznie, w jego widzeniu rzeczy, dwie oryentacye zarówno uprawnione, dwa zjawiska różnéj natury ale równéj wartości. Rola jego ogranicza się na poddaniu ich téj saméj bezwględnéj obserwacyi i zapisaniu do protokułu obustronnie zebranych spostrzeżeń. Spostrzeżenia zaś te prowadzą go do tego wniosku, że jednemu i drugiemu wyborowi towarzyszy ta sama mniéj więcéj suma korzyści i niekorzyści. „Désirée“ cieszy się lepszem uważaniem w pracowni i nadzieją lepiéj zabezpieczonego bytu; ale „Celina“ bawi się lepiéj. Obie przytém nie są w stanie osiągnąć wymarzonego przez się ideału. „Celina“. znalazłszy po długich poszukiwaniach pożądanego tużurkowego kochanka, w osobie malarza „Cypryana“, doznaje bolesnego zawodu. „Cypryan“ posiada bardzo ograniczone zapasy dwudziestofrankówek a niewyczerpane zapasy ironii, pogardy i cynizmu. Po niedługim czasie starsza panna „Vatard“ chodzi po dawnemu w podszarzanéj sukni, a nudzi się śmiertelnie i wzdycha do weselszych, choć brutalniejszych a uderzeniami przeplatanych pieszczot porzuconego „Anatola“, do którego wraca ostatecznie. Młodsza panna „Vatard“ przekonała się tymczasem, że projektowany związek z porządnym ale niezdarnym i mało zarabiającym robotnikiem, którego pokochała, przyprawił by ją o niedostatek, i szuka w końcu praktyczniejszego postanowienia w konwenansowém małżeństwie z pierwszym lep-

szym konkurentem, który wykazuje możność utrzymania jéj przyszłego „domu“ na przyzwoitéj stopie.

A konkluzya? Ta chyba, że aby być szczęśliwszemi, robotnice i robotnicy potrzebowali by pracować mniéj a zarabiać więcéj, co stanowi prawdę, któréj sprzeciwiać się nikt zapewne nie zechce, ale któréj domyślaliśmy się już pierwéj, i dla wykazania któréj tom o 323 stronach był może zbytecznym. Autor nie zdaje się zresztą przypuszczać, aby wskazane w ten sposób hypotetyczne desideratum mogło być urzeczywistnione. Huysmans jest pesymistą, jak się to często trafia niwelatorom i naturalistom. I pesymistą negatywnym, co także nie stanowi rzadkości. Nie w filozoficznéj téż tendencyi jego powieści mieści się jéj prawdziwa wartość. Pod względem filozoficznym nie wiemy z początku i nie dowiadujemy się do końca, czego autor chce, a podobno i on sam nie wié dobrze, ale zawdzięczamy mu z natury zdjęty i rzetelny w swéj brutalnéj prawdzie obraz tych warstw społecznych, z któremi obcować nam każe. Po za owym, nie bez słuszności inkryminowanym, ustępem, opis pracowni drukarskiéj uderza prawdą, a że prawda brzydko wygląda, to już chyba wina rzemiosła drukarskiego, czy społeczeństwa, czy czyjakolwiek, ale nie malarza, który powtarza to, co widział.

„Druga godzina z rana wybiła.... Wtedy zestrojone w ogromnem crescendo czterdzieści głosów kobiecych zawołało: Wypłata! wypłata! Poczém wszystkie uczepiły się jednego z nich, śpiczastego falsetu, świdrującego się aż pod sufit: „Ayez pitié de ma soufran-an-ance....“ i t. d. na znaną nutę. Noże drewniane uderzały o stół, litry krążyły od ust do ust, ciekąc ślinami i winem; jedna z robotnic spróbowała przecisnąć się z powrotem do swego miejsca; towarzyszki przygniotły jéj brzuch poręczami od krzeseł. Któraś z dziewczyn ucierając nos zagrała jak na trąbce; któraś z butelek rozbiła sobie dziób o krawędź stołu, *le petit bleu* rozlał się na suknie, dwie kobiety jęły bluzgać na siebie obelgami zapożyczonemi od straganiarek, powstrzymano je za włosy i za łachmany, ale wyrywały się i szczekały z brodą naprzód wysuniętą z wyszczerzonemi zębami, pieniąc się, ciskając się, z ramionami latającemi w powietrzu, z pachami odsłoniętemi pod pękniętą koszulą...“

Nie ładne to jużci, ale kto tego nie widział, ten nie był w pracowni drukarskiéj, podczas nocnéj roboty, a kto zajrzał tam choćby raz o takiéj porze, ten pozna podobieństwo obrazu.

Tak samo zaś z tą samą protokularną dokładnością opisów prowadzi nas autor od warsztatu do winiarni, gdzie przepijają się zarobki, do kawiarni koncertowych, gdzie zawiązują się rozwiązywane opodal w pierwszym lepszym kącie romanse, do ubogich mieszkań

na poddaszach, gdzie umiera się z gorąca w lecie a z zimna w zimie. Wszystko to jest *widziane*, odczute, i przepuszczone bądź co bądź także przez temperament artystyczny, jak chce Zola, który to temperament nie odznacza się wytwornością ale celuje niepospolitą, mistrza samego przypominającą energią.

A i poezyi pewnéj nie brak tutaj. Romans „porządnéj“ Désirée z „porządnym“ Augustem, romans czysty i po swojemu idyliczny, nie jest bez wdzięku. Kochankowie spotykają się wieczorem w ustronnéj mrocznéj ulicy, gdzie fantastyczne kształty niedobudowanych domów przejmują trwożliwą Desirée dreszczem. Wtedy „przytula się ona do swego Augusta, i z głową opartą na jego ramieniu kroczy powoli, i, jak wszystkie kochanki w noce księżycowe, podnosi, sama nie wiedząc dla czego, oczy w górę, potém nieco pochylona, pociska raz po razie drobnemi ruchami to męzkie ramię swego gacha, szczypie go delikatnie koniuszkiem paznokcia, ażeby spojrzał na nią i zobaczył jéj uśmiech. Ale godzina rozstania nadchodzi i oto stoją na miejscu, jedno przed drugiém, milczący i nie mogący się zdobyć na pożegnanie. W końcu ona, zawiązując wstążki swego kapturka, szepcze: idę już sobie. Wtedy ściskają się długim uściskiem, wzdychają, mówią sobie do widzenia jutro, w pracowni. I Desirée ucieka, jak myszka, mknąc pod murami i oglądając się na rogu ulicy, ażeby zobaczyć go raz jeszcze, a on, po kilku minutach, zwraca się wolno ku swéj izdebce, żując papierosa, którego nie pali—i myśląc o kolegach, u których się zadłużył, dla dogodzenia raz i drugi zachceniom swojéj kochanki.“

A kiedy w końcu rozstają się na dobre, aby pójść każdy swoją drogą, jest znowu coś przejmującego i ściskającego serce w prostocie téj podpatrzonéj i podsłuchanéj a nie bez wzruszenia oddanéj sceny. Zaczynają od grzecznych i chłodnych komplementów. Dopytuję się ona o jego narzeczoną, bo i on upatrzył sobie gdzieindziéj gniazdo, on o jéj przyszłego męża, „mówiąc sobie nawzajem, przez delikatność, że z pewnością byliby więcéj radzi żyć pospołu, ale że trzeba przecież myśléć o rzeczach poważnych, że nie pora już dla nich bawić się nakształt dzieci“... Powoli jednak wspomnienia lubych chwil razem spędzonych ogarniają ich i rozrzewniają. Jedno po drugiém wraca do tych wspomnień z tęsknemi słowy, jedno po drugiém oskarża się i prosi o przebaczenie, i oto patrzą na siebie w milczeniu, „kładąc do spojrzeń swoich całą miłość swoję i całą litość nad sobą.“

— Spodziewam się że będziesz szczęśliwy z nią—jąka Désirée.

I to także sztuka *sui generis*, ale sztuka.

Mniéj szczęśliwym okazuje się autor w drugiém podjętém z kolei zastosowaniu paralelitycznego swego procederu i protokularnéj swojéj maniery. Trafił jednak na wstęp oryginalnie pomyślany i wykonany nie bez werwy. Dwaj koledzy szkolni, malarz-impresyonista „Cypryan“, figurujący już w poprzedniéj powieści, i powieściopisarz-naturalista „Andrzej“ opuszczają przedwcześnie wieczór, na którym się znudzili. Ciągnąc powoli ku domowi, „Cypryan“ przeżuwa wrażenie wyniesione z porzuconego salonu i zrzędzi, napada na orszadę, którą oskarża o nieprawne pochodzenie od aptekarza, na kobiety, którym odmawia piękności, na panny zwłaszcza: „...Tak, gadaj mi o pannach, tych rozkosznych recipiensach ze świeżych mięśni, w których przelane ułomności matek odmładniają się! Trzeba je widzieć kiedy poruszają girami swoje spódnice! Z chustką na kolanach i grymasem na gębie siedzą, wijąc się na krzesłach jak piskorze, wymieniając za wachlarzowemi entrechats ohydne bzdurstwa, szepcząc jak pensyonarki w klasie, zrywając się nagle z okropnem paplaniem papug wypuszczonych z klatki. A potém kolej na ceremonialne ukłony z naśladowaniem nurkujących kaczek, z marszczącym się noskiem z błyskającemi ząbkami, i „tak, mamo,“ „nie, moja droga,“ i patati i patata, i chytre uśmiechy i dyskretne wybuchy.. Panny, obserwowałem je właśnie dziś wieczór i pokażę ci je zaraz: fizycznie: zbiór niedojrzałych gorsów i dorobionych siedzeń; moralnie: wieczyste bezrobocie pojęć, śmietnik myśli w różowéj główce! Oto są skarby które mam sobie przeznaczone, w nadziei iż przyjdzie dzień, w którym znudziwszy się przyjemnością czytania w mojém łóżku i palenia w niém swobodnie fajki, przyjmę nędzę wspólnego legowiska z cudzemi bezsennościami albo chrapaniem, z uderzeniami łokci, albo fikaniami nóg, ze zmęczeniem wymaganych pieszczot i nudą przewidzianych pocałunków.“

„Cypryan“ jest rezolutnym wrogiem małżeńskiego stanu. „Andrzej“ natomiast ożenił się niedawno, więc broni swojéj kondycyi:

— „Ależ wtedy to rzecz prosta! Konkluzya twoich teoryi to umieszczenie na stajni wszystkich namiętności, apoteoza kobiety publicznéj, *le cabinet à trois sous* miłości,—i, w dodatku, idealizacya gospodyni, która kradnie ci świece i cukier. Tak, zabawna to rzecz zapalać paradoksy nakształt fajerwerków, ale przychodzi czas, w którym ognie bengalskie zamakają i chybiają. Ożeniłem się dla tego, że ten czas przyszedł, dla tego że sprzykszyło mi się jeść zimne potrawy na brudnym talerzu. Miałem przody od koszul, które ziewały, ogołocone ze swych guzików, i rękawki wyszarpane—tak jak twoje—, cierpiałem zawsze na brak knotów do lampy i czystych chustek... I ożeniłem się, i ty zrobisz tak samo... Alboż to życie zresztą

mieć zawsze serce zaszargane szkaradzieństwami jakiejś dziewki; alboż to życie pożądać wiecznie metresy, kiedy się jéj nie ma, a umierać z nudy, kiedy się ją znalazło?.. Nie, do licha! Głupstwo za głupstwo, wolę małżeństwo. Że rozckliwia ono pożądliwości i przytępia zmysły? a choćby nie było innego zysku! a potém mój drogi, to kasa oszczędności, w któréj składa się sobie zapas pielęgnowań na stare lata! to prawo spychania swoich uraz na cudze plecy, i dopomnienia się o politowanie w potrzebie, a czasem i o trochę kochania!“

Dokończywszy téj tyrady, uczuwa „Andrzej“ potrzebę stwierdzenia doskonałości wyrażonych w niéj poglądów, śpiesząc do swojéj małżonki. Napróżno zatrzymuje go „Cypryan“ perswadując, iż wcześnie jeszcze i „Berta“ nie spodziewa się go tak prędko. „Andrzej“ wyrywa się, wbiega szybko na trzecie piętro, dostaje się do sypialni i połyka na progu wyrywające mu się z ust: „*nom de Dieu*!“: „Berta“ spoczywa w objęciach nieznanego mu mężczyzny.

Wywiązująca się z tego *coup de théatre* scena jest małém arcydziełem realizmu i komiczności—bo autor i jego bohaterowie pozostają po za granicami tragedyi. Dobrawszy się z biedą wielką do swojego ubrania i wlazłszy w nie, zbity z pantałyku w piewszéj chwili i trzech policzyć nie zdolny kochanek, nabiera większéj pewności siebie, spogląda w oczy małżonkowi i maca po kieszeniach surduta. Ale małżonek oszczędza mu dalszéj fatygi:

— „Szukasz pan biletu wizytowego, nie znajdziesz go pan, nigdy go znaleźć nie można, kiedy się go szuka. Ale mniejsza. Nazwisko pańskie jest mi obojętném, a imię chrzestne żona moja znać musi. Jeżeli zaś nie zna adresu, możesz go pan jutro przysłać, aby udała się za panem, jeżeli jéj się podoba. A teraz wychodźmy.“

I odprowadza do progu domu zdumionego młodzieńca, który mimo wszystkiego umiera ze strachu na ciemnych schodach. Poczém, pakuje rzeczy i wynosi się najpierw do przyjaciela „Cypryana“ a potém do instalowanego napowrót kawalerskiego mieszkania.“

Tu zaczyna się prawdziwa treść powieści, któréj przedmiotem jest uwydatnienie rozmaitych faz życia kawalerskiego, z przygodnemi miłostkami, z tak nazwanemi przez autora „przesileniami spódniczemi“ (*crises juponnières*), z tęsknotami, niesmakami, rozdrażnieniami i dokuczliwościami kulawego kawalerskiego gospodarstwa—którym to wszystkim przejawom towarzyszy równolegle kontrast spokojnego, ale nieznośną trywialnością, brudnym egoizmem i rozpaczliwą nudą przesiąkniętego ogniska państwa „Desableu,“ a których ostatecznym wypadkiem jest to, że „Andrzej tęskni do swojéj żony i rzuca się jéj ostatecznie ma szyję, zapominając o wszystkiém.

Ztąd tytuł powieści: „En ménage.“

A konkluzya znowu? I tym razem domyślać się jéj trzeba. Zdaje się przytém ona być podwójną. Z początku doprowadza nas autor do tego pesymistycznego wniosku, że oba stany, kawalerski i małżeński, są warte jeden drugiego, a jeden i drugi dyabła. W końcu zaś wskazuje nam pewien ideał względnéj doskonałości i względnego szczęścia, do użytku kawalerów i niezadowolonych ze swéj kondycyi małżonków. Tym ideałem jest „Melia“, niemłoda już, nieładna, gruba, ordynaryjna i wyszarzana w rynsztokach stołecznych, ale wesoła, poczciwa i zabiegliwa „Melia“, którą malarz „Cypryan“ traktuje przez pół, jak służącą, przez pół, jak żonę, która ceruje skarpetki, przyrządza wyśmienicie „królika z kapustą,“ a w dnie wielkiego zimna kładzie się do łóżka przed swoim towarzyszem dla ogrzania prześcieradeł, i wobec któréj nareszcie ten ostatni wystosowywa następujące orędzie do rudego kota, uzupełniającego *omne trinum perfectum* téj *sui generis* społecznéj kombinacyi.

„Słuchaj kocie, ten pan z faworytami, którego widziałeś tu przed chwilą, jest to mąż poważny, mąż oprawiony w safian. Żonaty, ojciec dorosłéj córki i świeżo wyniesiony na będący przedmiotem zazdrości urząd pod-naczelnika biora, jest on wielką personą w oczach drobnych sklepikarzy i rentyerów. Otóż urzędnik ten wyniósł prawdopodobnie o tobie bardzo smutne wyobrażenie, znalazłeś się bowiem względem niego nieprzyzwoicie, wlazłeś w jego kapelusz i pokryłeś sierścią jego lewą łydkę. Niechaj cię to jednak nie smuci zbytecznie, mój biedny kocie, ponieważ tenże sam p. Désableu żywi nie lepsze z pewnością wyobrażenie o twoim własnym ojcu, Cypryanie, który oto trzyma cię za nogi, abyś nie uciekł.—Tak, ten pan pogardza nami, mną i poczciwą „Melią.“ Dlaczego? To jest trudniejszą do wytłómaczenia rzeczą..... Społeczeństwo, trzeba abyś wiedział o tém, kocie, postanowiło, w pewien dzień, w którym miało zaćmioną głowę, nie wiadomo już kiedy, gubi się to bowiem w odległości wieków, że każden mężczyzna pragnący żyć z kobietą w jednym pokoju i w jedném łóżku, obowiązanym będzie stanąć pierwéj przed innym mężczyzną, który zada mu pewną liczbę pytań, po uprzedniem obwiązaniu sobie brzucha kawałkiem bawełnianéj materyi. Ta operacya nazywa się małżeństwem, mój kocie. To uczciwość, to prawo do poszanowania w całym kraju, w całym świecie, to zapewniona, na każdém miejscu, opieka magistratur i żandarmów! Otóż twój ojciec, Cypryan, i twoja matka, Melia, nie pojawili się przed ową bawełnianą szmatą, o któréj ci wspomniałem; ale żyją poprostu razem, jak tybyś to mógł czynić z pierwszą lepszą kotką, bez otrzymania po temu upoważnienia od drugiego kota. I dlatego, cokolwiekby oni przedsięwzięli, towarzyszyć im będzie zawsze pogarda i potę-

pienie. I niemasz na to rady.... Co nie przeszkadza im być szczęśliwymi.....“

„— Mój Boże! jakiżeś ty głupi, mój stary Cypryanie — szepnęła Melia.

„— Twoje poglądy są czasem słuszne — odrzekł malarz.“

Nie mogę oczywiście mieć intencyi roztrząsania na tém miejscu etycznéj wartości przedstawionego w ten sposób ideału. Zostawiam tedy na boku etykę i filozofią pana Huÿsmans. Ale estetyka jego należy do mnie; z tego zaś punktu widzenia ściąga on tym razem na siebie, bez możliwéj wątpliwości w tym względzie, kardynalny zarzut, któremu podlegają utwory jego szkolnych towarzyszów. Powieść p. t. „En ménage“ nie jest mniéj rzetelną, w protokularnym swoim charakterze, sumienną i dokładną od powieści pod tyt. „Les Soeurs Vatard“, ale jest o wiele nudniejszą i nawet bardzo nudną, a w dodatku przykrą i wstrętną. Siostry „Vatard“ razem z innemi ugrupowanemi naokoło nich typami nie należały wprawdzie do bardzo podniosłego etycznego i estetycznego poziomu, interesować nas jednak mogły, bo otwierały nam widok na jedną z najbardziéj zainteresowania się naszego godnych stron życia społecznego. Inaczéj się ma z malarzem „Cypryanem“ i jego przyjacielem „Andrzejem.“ Ta strona życia, którą oni nam odsłaniają, jest nie mniéj realną, niestety! ale jedną z tych, na które patrzymy najmniéj chętnie. Trzeba było całego talentu Daudet'a, całego właściwego jemu jednemu, pośród spółczesnych, bogactwa wyobraźni, malowniczości, werwy i wszystkich artystycznych zasobów, abyśmy zatrzymać się nad nią mogli bez wstrętu w „Sapho.“ Podobało się genialnemu pisarzowi zaprowadzić nas do téj saméj mętnéj i cuchnącéj kałuży, ale zapalił on do koła tyle fajerwerków, porozwieszał tyle festonów, że oczarował nas i narzucił nam swój „eksperyment.“ Huÿsmans poprzestał na zanurzeniu nas w kałuży po uszy. Na co zaś i po co? Jest w naszéj biednéj ludzkiéj naturze, w naszym moralnym i fizycznym organizmie pełno szczegółów, którym rzeczywistości odmówić nie możemy, których prawda — smutna i bolesna — staje aż nadto często przed nami, ale od których odwracamy oczy kiedy i o ile możemy. *Spiritus fiat ubi vult*, nie zapominam o tém i natchnienie artysty jest tym z przejawów człowieczych, któremu przysługuje przywiléj najszerszéj swobody, ale właśnie Huÿsmans zapomniał być artystą na 250 stronach co najmniéj swojéj, 340 stron liczącéj powieści. Artystycznie opracowanym jest tu jeden prawie tylko typ—typ malarza-impresyonisty, malującego dla zarobku ilustrowane reklamy aptekarskie, z zamieszczonemi w obłokach apoteozami baniek i seryng, a pieszczącego nie urzeczywistniane nigdy ideały estetyczne i pocieszającego się *debinowaniem* przestarzałych klasycznych ideałów:

„Tam do licha niecierpliwi mnie w końcu ta procesya ludzi modlących się do absydy kościoła Notre-Dame, albo do ambony kościoła św. Stefana. A dworzec kolei północnéj, a nowy hipodrom, czy te nie istnieją? Jest ich cała kupa starych durniów, dobywających obstalowane entuzyazmy, kiedy mówią o dawnych bazylikach albo o tych szaletach z kamienia ciosowego, które nazywają cudami sztuki greckiéj!... I pomyśléć że tak będzie jeszcze przez całe lata, że całe pokolenia artystów kupować będą gipsowe redukcye Wenery Medycejskiéj, téj niedajki, z głową od szpilki na korpusie jarmarkowéj baletnicy. Coś porządnego zaiste ta głupia baba, która korzysta z tego, że ma ręce dla zakryw. nia sobie brzucha! Wenus, którą podziwiam ja, którą wielbię na kolanach jako typ piękności nowoczesnéj, to dziewczyna owa, która urwisuje się na ulicy, robotnica w mantylach i spódnicach, modystka o śniadéj płci, o szelmoskich oczach napełnionych wilgotnemi blaskami, blady głąbek ów z noskiem zadartym....“

Huÿsmans trafił tu na wyborną charakterystykę pewnego kierunku artystycznego, uwydatniającego się w młodszém pokoleniu spółczesnych malarzy; ale nie wystarczy téj przyprawy dla okraszenia całego niestrawnego półmiska. Powieść p. t. „En ménage“, dość chłodno przyjęta przez publiczność, nosi datę 1881 r. Od téj pory Huÿsmans nie dał słyszéć o sobie. Może *il se recueille.* Nie wyszło by to na złe ani jemu, ani nam samym.

3 Leon Hennique. — Paweł Alexis.

Jeżeli wyznaczam tu miejsce dwóm tym pisarzom, to jedynie dla wskazania ich przykładem, co dzieje się z Goncourtowską formułą. kiedy dostaje się w ręce niepowołane do sprawowania kapłaństwa artystycznego, a zaznaczenia jednocześnie granicy, gdzie w wytkniętym przez dwóch braci kierunku kończy się sztuka a zaczyna się—pornografia. Hennique, jeden z uczestników „Wieczorów Medańskich“ i jeden z tych, którzy przypisują swoje utwory: „Emilowi Zola od wiernego przyjaciela i wielbiciela“, jest autorem powieści p. t. „*L'accident de Mr Hébert*“, stanowić mającéj początek całéj seryi (na obraz i podobieństwo „Rougon-Macquart'ów“), całego cyklu „Bohaterów spółczesnych“ (*Les Héros Modernes*). Przypadek pana „Hébert“, pierwszego „bohatera spółczesnego“, którego przedstawia nam autor, a którego czyni prokuratorem w izbie apelacyjnéj Wersalskiéj, polega na tém, iż żona jego przyprawia mu rogi z innym „bohaterem spółczesnym“, panem „de Ventujol“, kapitanem kawa-

leryi. Jest jednak, czy ma być coś osobliwego w tym przypadku, a mianowicie to, że kiedy pani „Hébert“ rzuca się w objęcia swojego kochanka, jest ona w ciąży od dni ośmiu. Zresztą żadnéj osobliwości ani wyobraźni, ani dowcipu, ani stylu, ani żadnéj rzeczy, któraby podnieść mogła do artystycznéj wysokości ten plugawy temat. W „Soirées de Medan“ figuruje tenże sam Hennique z nowelą p. t. „L'affaire du grand 7“, w któréj opisuje zbrojny napad rozbestwionego żołnierstwa (francuskiego) na dom publiczny. Zawsze w roku 1870! Jako przedmiot brudne to, jako intencya ohydne, a jako wykonanie — nijakie.

Paweł Alexis daje się zapisać do téj saméj rubryki z tém, czém nas dotąd uraczył. Trochę mniéj paskudne to, ale za to jeszcze ckliwsze.

* * *

Szkoła Goncourtowska, czy naturalistyczna, czy eksperymentalna kończy się na tych panach i kończy się źle. Ogon to wszelako, którego historya jest historyą wielkiéj liczby ogonów. Ogółem rzecz biorąc, jak to już uczyniłem na wstępie studyów niniejszych, przyznać wypada, iż odrębny ten kierunek przyniósł z sobą pewną sumę nowych artystycznyah bogactw, nowych pojęć i nowych form, które bronią się przeciwko ryczałtowemu potępieniu. Kwestya to wyborna odróżniania kąkolu od ziarna. Niewątpliwie zaś przyszłość dopełni tego zadania i posiew cały nie zostanie straconym, chociażby dziesięciu klasycznych Brunetièr'ów nie przestało ubolewać w „Revue des deux Mondes“ nad tém, że któryś tam naturalista pisze „*s'édulcorer*“ zamiast *se calmer*, „*s'aveulir*“ zamiast *se décourager*, a nawet ośmiela się użyć tak szalonéj metafory jak: „*se vautrer devant une perspective.*“

Tylko znowu pretensya objawiana przez niektórych przynajmniéj reprezentantów tego kierunku do narzucenia swéj formuły, całéj swojéj formuły, przyszłym pokoleniom, nie opiera się na żadnéj racyonalnéj podstawie. Témbardziéj, że oprócz jednego chyba Céard'a, żaden z tych panów, żaden z braci Goncourt, ani nawet sam Zola nie pokusił się dotąd, jak miałem to już sposobność zaznaczyć, o zastosowanie téj formuły w jéj absolutnych terminach. Céard i jego „Une belle journée“ to chyba za mało dla podyktowania praw artystycznych przyszłym pokoleniom.

Kazimierz Waliszewski.



ZBRODNIA GĄSAWSKA.

I.

Żaden z naszych historyków nie dociekł przyczyny morderstwa popełnionego pod Gąsawą na księciu krakowskim, nikt téż nie wyśledził właściwego sprawcy téj zbrodni. Wiadomości rocznikarskie i kronikarskie, na podstawie których osnuli nasi badacze opowiadanie o tém zdarzeniu, są tak lakoniczne, a co gorsza tak sprzeczne, że niepodobna orzec, które z nich są wiarogodne, a które zmyślone; jedne pochodzą z czasów późniejszych, inne skreślone zostały przez ludzi, którzy nie mogli lub téż nie chcieli prawdy wyznać. Na tak kruchéj podstawie niepodobna więc wydawać wyroku potępienia na książąt, którym źródła te przypisują dokonanie zamachu, gdyż niesprawiedliwym byłby taki wyrok ogłoszony bez przesłuchania wiarogodnych świadków, lub na tendencyjnych opierający się zeznaniach. W kalendarzu (1) i w rocznikach krakowskich (2) znajdujemy gołosłowną wzmiankę o zamordowaniu Leszka przez Odonicza lub Świętopełka; w ruskiém źródle (3) wymienieni są obaj ci książęta jako sprawcy zamachu. Zapiski te zapoznawają nas przeto tylko z faktem dokonanym; o bliższych szczegółach wyprawy Leszka i Henryka do Wielkopolski i morderstwa popełnionego pod Gąsawą dowiadujemy z kroniki wielkopolskiéj i kroniki szląskiéj. W najgłówniejszych szczegółach zachodzi w obu tych źródłach stanowcza różnica. Kronika wpolska w pierwotnym swym kształcie zwala całą winę na Świętopełka, Odoniczowi nie przypisuje w całéj téj sprawie żadnych złych zamiarów; przeciwnie zaś kronika szląska uważa Odo-

(1) Mon. Pol. II, 938. — (2) Rocz. kap. i krótki (ibd. 803): Lestko dux Cracovie interfectus est in colloquio *a filio Odonis* sub fraude. Roczn. Traski (ibd. p. r. 1228) i krak. (ibd. 837 p. r. 1226): dux Lestko interfectus est *a Pomeranis* sub fraude. Roczn. Sędziwoja (ibd. str. 877 p. r. 1226): Lesthko dux Cracovie per fraudem in colloquio a Pomoranis occiditur. — (3) Polnoje Sobr. ruskich lietop. II, 168.

nicza jako głównego sprawcę tego morderstwa a Świętopełka jako wykonawcę intrygi chytrze przez Odonicza ukartowanéj. Aby odszukać winowajcę, należy zbadać przeciw komu i w jakim celu przedsięwziął Leszek i Henryk wyprawę z r. 1227.

Kronika wielkopolska (1) opowiada (c. 60), że Leszek nie chciał Świętopełka mianować księciem górnego Pomorza, w skutek czego wypowiedział on księciu krakowskiemu posłuszeństwo i przestał opłacać daninę. W porozumieniu z Henrykiem wrocławskim, zwołał Leszek zjazd do Gąsawy, aby się naradzić nad sprawami publicznemi i podjąć walkę z upornym księciem pomorskim, który zajął w tym czasie zamek nakielski. Przybył tam także Świętopełk i stoczył walkę z Leszkiem. Książę krakowski umknął z pola bitwy do Marcinkowa, gdzie go Świętopełk dogonił i zamordował a powróciwszy na Pomorze, przywłaszczył sobie władzę książęcą. W opowiadaniu tém niema więc wzmianki o udziale Odonicza w téj zbrodni; ale na końcu tego ustępu wspomina kronikarz o pogłosce, że Świętopełk popełnił to morderstwo za wiedzą i radą Odonicza, który chcąc pozyskać pomoc księcia pomorskiego przeciw Laskonogiemu—ożenił się z jego siostrą.

Wszyscy nowsi badacze (2) twierdzą zgodnie, że kronika wielkopolska powstała dopiero w XIV wieku w takim kształcie, w jakim do naszych doszła czasów; niepodobna jednak z pewnością rozstrzygnąć, które wiadomości z pierwotnego pochodzą źródła, a które są dodatkami późniejszego kompilatora. Ponieważ w kronice Mierzwy, (która, jak udowodnił dr. Warmski (3), na tém samém polega źródle, z którego także autor kroniki wielkopolskiéj czerpał)—niema ustępu, w którym Odonicz występuje jako sprawca morderstwa—można prawie na pewno przypuszczać, że ustęp ten nie znajdował się w pierwotném źródle, ale dodany został przez późniejszego kompilatora na podstawie wiadomości z innych źródeł zaczerpniętych. Jeźli także zważymy, że główna treść tego ustępu spisana została za życia Odonicza lub téż za rządów jego synów nie wyda nam się dziwném, jeśli autor zapiski zatail winę tego księcia, zwalając takową na Świętopełka, którego zwykle piętnuje mianem niecnego zdrajcy (*nequissimus proditor*).

Trudniejszym do wytłómaczenia jest pierwszy ustęp kroniki wielkopolskiéj, z którego dowiadujemy się, że wyprawa z r. 1227

---

(1) Wyd. Maciejowski w Mon. Pol. II, 455. — (2) Krüger: Die Polenchronik des Boguchwal. Göttingen 1874, str. 16;—Warmski: Die grosspoln. Chronik. Krakau 1879 str. 90;—Wojciechowski: Roczniki polskie (Pamiętn. hist. Akad. umiejęt. IV, str. 177).— (3) Ibid 101.

podjętą została w celu shołdowania Pomorza. Ustęp ten znajduje się także w kronice Mierzwy, z czego wynika, że istniał już w pierwotnem źródle, z którego autorowie obu kronik czerpali.

Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że Pomorze stanowiło składową część Polski i że po wypędzeniu Władysława, (którego Bolesław Krzywousty zwierzchniczym mianował księciem)—przeszło w posiadanie też linii najmłodszéj (1), niepodobna sobie wyobrazić w jaki sposób wykonywali książęta krakowscy władzę na Pomorzu (2). Ponieważ nie mamy żadnego dokumentu ani téż żadnéj wiadomości kronikarskiéj, na podstawie któréj możnaby przypuszczać, że stosunek prawny tego kraju do Polski osobną został zniesiony ustawą, ponieważ ani źródła pomorskie ani téż polskie nie wiedzą o hołdownictwie książąt pomorskich w wieku XIII, można wnioskować, że już wkrótce po śmierci Bolesława Krzywoustego, -zapewne w czasie walk Władysława z młodszymi braćmi, rodzimi książęta czy władykowie lub téż *praefecti*, przez polskich książąt mianowani, ujęli w swe ręce ster rządów na Pomorzu, uznając przez jakiś czas książąt krakowskich jako zwierzchniczych swoich panów i uznawani przez tychże jako namiestnicy w tych krajach północnych. Ale na podstawie najdawniejszych dokumentów pomorskich można na pewno twierdzić, że ani Mieszko Stary, ani Leszek żadnych na Pomorzu nie wykonywali praw. Wszystkie dokumenta wydane przez Świętopełka i jego poprzedników dowodzą, że posiadali oni w swym kraju taką samę władzę, jaką książęta polscy w swoich dzierzyli księstwach. Już Grzymisław nazywa się księciem Pomorza z Bożéj łaski, występuje w otoczeniu wojewodów, kasztelanów i innych urzędników i „wasalów,“ książęta pomorscy kojarzą się z obcymi rodami książęcemi a papieże i inni władzcy zawsze ich książętami (*dux princeps*) nazywali, a autor genealogii królów duńskich, napisanéj w połowie XIII w., mieni nawet Świętopełka królem Pomorza. (Script. rer. Pruss, I, 737). Cała zresztą działalność Świętopełka na Pomorzu, i stosunki jego z państwami ościennemi dowodzą zupełnéj niezawisłości tego księcia od Polski. Tytuł, jakiego używali książęta pomor-

---

(1) Winc. IV, 8. — (2) Wojciech, wojewoda brzeski występujący jako świadek w procesi Polski z Krzyżakami w r. 1339, określa (niewiadomo na jakiéj podstawie) stosunek Pomorza do Polski w następujący sposób: Terra Pomerania ab antiquo erat et pertinebat ad mensam regis Polonie vel eius principis, qui regnum Polonie tenebat; qui rex seu princeps ad terram Pomeranie mittebat seu constituebat in ea unum capitaneum, ut audivit, qui de reddidibus terre regi respondebat, et ita factum fuit quod illi capitanei tanto tempore tenuerunt terram, quod, vacante regno Polonie, se dominos et duces terre vocaverunt. (Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruc. ed. Działyński; Poznań 1855, I, str. 290).

scy nie musiał razić książąt polskich, skoro tak Mestwin jak i Świętopełk nie raz zjeżdżali do Polski i przywieszali na dokumentach pieczęci swoje obok pieczęci polskich książąt. Najmniejszego nie ma téż w źródłach śladu, aby po roku 1227, w którym według kroniki wielkopolskiéj przywłaszczył sobie Świętopełk władzę na Pomorzu— zmienił się stosunek Pomorza do Polski. Jak dalece zresztą zagasła w Polsce świadomość o przynależności kraju pomorskiego do Polski, dowodzą zeznania świadków w procesie Polski z Zakonem krzyżackim z r. 1320 i 1339. Z wyjątkiem Wojciecha wojewody brzeskiego (1) żaden świadek nie umie określić dawnego stosunku Pomorza do Polski, wszyscy opierają na nadaniu Mestwina pretensye Kazimierza W. do tego kraju.

Zwierzchnictwo więc książąt krakowskich (2) nad Pomorzem miało więc tylko wartość teoretyczną, książęta ci mogli się prawnie domagać i hołdu i daniny, ale książęta pomorscy zbyt już spotężnieli, aby prawa te księcia krakowskiego chcieli uznawać. Że wiadomości kroniki wielkopolskiéj odnoszące się do Pomorza na żadnych nie opierają się wiarogodnych źródłach, dowodzi ustęp 56, w którym opisaną jest podróż Leszka na Pomorze w r. 1205 lub 1206 i mianowanie Świętopełka namiestnikiem (capitaneum) tego kraju, chociaż z dokumentów wynika, że w tym czasie i później jeszcze rządził tam Mestwin, ojciec Świętopełka—nie jako capitaneus, ale jako „dux" lub „princeps" (3).

Nicbyśmy w tém nie upatrywali dziwnego, gdyby Leszek przedsięwziął wyprawę przeciw Świętopełkowi, w celu zmuszenia tego księcia do uznania go jako zwierzchnika; ale ponieważ oprócz kron. wpol. żadne źródło nie wspomina, że w tym właśnie zamiarze wyprawa ta podjętą została, ponieważ takie stosunki, jakie istniały w tym roku między książętami polskimi nie mogły rokować pomyślnego skutku; sądzę, że autor zapiski, która powtórzoną została w kronice wielkopolskiéj i w kronice Mierzwy, chcąc uwolnić Odonicza od zarzutu zbrodni, wyrozumował sobie tę przyczynę, aby mógł całą winę téj zbrodni przypisać Świętopełkowi. Wiedział on z kroniki Wincentego, że przodkowie Świętopełka byli dawniéj tylko urzędnikami księcia krakowskiego, nie mógł więc sobie samodzielności z jaką Pomorczyk w obec książąt polskich występował—inaczéj wytłómaczyć, jak tylko w ten sposób, że się uwolnił z pod zwierzchnictwa Polski.

---

(1) Lites I, 290. — (2) Wątpliwą jest także rzeczą, czy Pomorze wielkopolskiemu czy krakowskiemu księciu nadaném zostało przez Bolesława Krzywoustego; por. Roepell. Gesch. Polens I, 295 n. 16 i 374 n. 50. (3) Por. także: Warmski str. 44, n. 1.

Kronika szląska (1) wspomina dwa razy o wyprawie z r. 1227. Na jedném miejscu twierdzi autor téj kroniki, że Leszek, Henryk i Konrad wyruszyli *w interesie Odonicza przeciw Pomorzanom* (2) pod Nakło i w pobliżu tego miasta zostali wskutek zdrady ks. Kaliskiego napadnięci, Leszek zamordowany a Henryk raniony. W drugim zaś ustępie czytamy, że Odonicz, chcąc zagarnąć monarchią (3) postanowił zgładzić wszystkich książąt; w tym celu powołał ich przeciw Pomorzanom, którzy zajęli Nakło. Gdy niedaleko tego miasta „dolo de concordia tractaretur", wpadli zdrajcy niespodziewanie, zamordowali Leszka w łaźni a Henryka ciężko zranili. Obie relacye kroniki szląskiéj w tém się tylko zgadzają z kroniką wielkopolską, że wyprawa Leszka i Henryka przedsięwziętą została przeciw Pomorzanom, którzy zajęli Nakło, że przed rozpoczęciem kroków wojennych odbywała się narada (w Gąsawie), i że książęta polscy zostali w zdradziecki sposób napadnięci (w Marcinkowie). Zdrada Odonicza wynika tylko z obu ustępów kroniki szląskiéj, gdyż wiadomość odnośna w kronice wielkopolskiéj jest (jak starałem się udowodnić) późniejszym wtrętem. Między źródłem wielkopolskiém a szląskiém istnieje także różnica co do celu wyprawy. Zamiar, jaki kronika szląska (4) podsuwa Odoniczowi, jest tak potwornym, że bez udowodnienia możemy go uznać jako niewiarogodny, zwłaszcza, że trudno przypuścić, aby książę, który własną dopiero co zdobył dziedzinę i na niéj nie czuł się jeszcze bezpiecznym—mógł marzyć o zwierzchniczéj nad całą Polską władzy.

Na podstawie więc kroniki wielkopolskiéj i szląskiéj niepodobna nic stanowczego orzekać. Po oddzieleniu z tych źródeł wiadomości niewiarogodnych, pozostają szczegóły, które same przez się nie wyjaśniają nam ani pobudek, które skłoniły książąt do przesięwzięcia wyprawy przeciw Pomorzanom i nie wyjaśniają roli, jaką w całéj téj sprawie odegrał Odonicz. Nie dziwna przeto, że historycy, którzy się na tych tylko opierali źródłach, nie doszli do żadnego stanowczego rezultatu, ale gubią się w domysłach, mniéj lub więcéj prawdopodobnych. Jedni (5) sądzą, że Leszek i Henryk wyruszyli zbrojno w obronie Laskonogiego, któremu Odonicz zabrał ziemię poznańską i kaliską i że przy téj sposobności chcieli przywrócić dawno zagrzebane zwierzchnictwo księcia krakowskiego nad Pomorzem; inni ba-

---

(1) Wyd. dr. Ćwikliński w Mon. Pol. III, str. 640, 648. — (2) Cuius causa tunc agebatur. — (3) Aspirans monarchiam. — (4) Str. 649. — (5) Roepell. Gesch. Pol. I, str. 425; Kujot: Samodzielność książąt pomorskich; „Zbrodnia" pod Gąsawą (Warta 1875 nr. 24, 25); Grünhagen: Regesten zur schles. Gesch. 2. Aufl. str. 165.

dacze (1) nie upatrują żadnego związku między tą wyprawą a wojną Odonicza z Laskonogim i sądzą, że wyprawa z r. 1227 przedsięwziętą została przeciw zbuntowanemu księciu pomorskiemu, który odmawiał księciu krakowskiemu hołdu i haraczu. Lecz ani pierwsze ani drugie to zapatrywanie nie zostało przez tych badaczy należycie uzasadnione; żaden z nich nie zastanowił się nad tém, dla czego właśnie w téj chwili wmieszał się Leszek i Henryk do zatargów między Laskonogim a Odoniczem, dlaczego tę właśnie chwilę wybrał Leszek, aby wywalczyć sobie zwierzchnictwo nad krajem pomorskim i dla czego wspierał go Henryk Brodaty, skoro wyprawa ta miała *tylko* księciu krakowskiemu korzyści przysporzyć? Wiele innych jeszcze nasuwa się pytań, trudnych do wytłómaczenia, gdybyśmy się zgodzili na jedno lub drugie zapatrywanie powyżéj przytoczone.

II.

Władysław, syn Odona oddziedziczył po ojcu swoim księstwo poznańskie, do którego należała także ziemia kaliska. Laskonogi był opiekunem młodego bratanka i zarządzał jego dzielnicą (2). Gdy Odonicz doszedł do lat młodzieńczych, zażądał od stryja swéj ojcowizny. Laskonogi zaprzeczył mu prawa do księstwa poznańskiego, być może dlatego, że ojciec Odonicza zagarnął to księstwo w sposób nieprawny jeszcze za życia Mieszka Starego, który miał zamiar rozdzielić dzielnicę wielkopolską między synów z drugiego małżeństwa z pominięciem Odona. Laskonogi uważał prawdopodobnie Odona jako uzurpatora na księstwie poznańskiém i dlatego nie uznawał praw syna jego do tego księstwa (3). Odonicz zdobył jednak zamek kaliski, zagarnął potém cały obszar aż do Warty i tytułował się odtąd księciem kaliskim (4). Na razie zadawalniał się Odonicz tą

(1) Smolka: Henryk Brodaty str. 37 (por. także Zeitschr. d. Vereins f. Gesch. und Alterthumskunde Schlesiens, XII, str. 112) i Grünhagen: Gesch. Schlesiens I, str. 51 i przyp. (2) Kron. w pol. c. 58. — (3) Winc. IV, 7... Odo eius primogenitus, hostis atrocissimus, proprii radicem stipitis eradicare contendit, ...ut *novercae filios, quibus pater post se successionem spoponderat*, a regno arceret; ibd. c. 8... Casimirus Odonem Posnaniensi principatu insignit; z c. 12 wynika, że Mieszko „omnes patrimoniales, quam brevluscule, munitiones eadem pene facilitate, qua perdiderat, recuperat. Co się z Odonem stało— nie wspomina ani Wincenty ani inne źródła. — (4) Kron. wpol. l. c. i Kod. wpol. I, nr. 81, z r. 1213 „ducatus nostri post Kalisiensis castri aquisitionem anno sexto currente; ze słów tych wynika, że około r. 1207 odebrał Odonicz Laskonogiemu zamek kaliski, a w następnym roku tytułuje się już księciem kaliskim (ob. niżéj). Dzielnica poznańska została w posiadaniu Laskonogiego, dowodzą tego dokumenta, w których Odonicz nigdy nie używał tytułu księcia polskiego, albo poznańskiego, ale zawsze się nazywał księ-

częścią swojéj ojcowizny i żył w zgodzie ze swoim stryjem, gdyż w rok po zdobyciu Kalisza zdybujemy obu książąt w Głogowie, gdzie w sam dzień Bożego narodzenia trzymał ks. kaliski Odonicz do chrztu syna Henryką (1). Aż do roku 1216 nie dowiadujemy się od kronikarzy w żadnych zatargach między Odoniczem a Laskonogim; tylko w nielicznych dokumentach przechował się ślad, że książęta ci rządzili w swych dzielnicach—jeden w Kaliszu, drugi w Gnieźnie lub Poznaniu.

Około roku 1216 upomniał się Odonicz o drugą część swojéj ojcowizny tj. o księstwo poznańskie; a gdy Laskonogi nie miał ochoty pozbywać się tak rozległéj dzielnicy, pochwycił Odonicz za broń i wezwał Henryka Brodatego na pomoc (2). Książę szląski obiecał wspierać go w walce z Laskonogim, ale pod tym warunkiem, że po zdobyciu ziemi poznańskiéj, odstąpi mu Odonicz zamek kaliski. Bez wahania zgodził się książę kaliski na ten warunek i uroczystą przysięgą zatwierdził układ. Henryk zaś pozwolił Odoniczowi dzierżyć ten zamek tak długo, dopóki cel wyprawy nie będzie osiągniętym (3). Przebieg wojny srożącéj się między stryjem z jednéj a bratankiem i Henrykiem z drugiéj strony—nie jest znany; tyle tylko wiadomo, że przy końcu roku 1216 lub na początku 1217 pogodzili się obaj książęta wielkopolscy, a papież Honoryusz III zgodę tę potwierdził (4). Prawdopodobnie odzyskał Odonicz swoje „patrimonium“, połączył poznańską z kaliską dzielnicą, albowiem Henryk zażądał od niego w myśl ugody zamku kaliskiego. Ale Odonicz nie myślał o dotrzymaniu obietnicy przysięgą stwierdzonéj; sprzedał nawet jakieś posia-

---

ciem kaliskim i tak go też papież tytułował. Dlatego mylném jest zdanie zacnego wydawcy kodeksu wielkopolskiego (IV, 384) że Odonicz dopiero 1216 utracił ziemię poznańską.

(1) Grünhagen: Regesten str. 97. — (2) Smolka: (Henryk Brodaty 28 i Zeitschr. f. Gesch. Schles. XII, 102) przypuszcza, że w bulli papieskiéj o innym Kaliszu jest mowa a nie o stolicy księstwa. Zdaje mi się jednak, że interpretacya słów bulli przezemnie w tekście podana usunie wątpliwości przez Smolkę przytoczone: albowiem odstępując zamku, nie pozbawił się Odonicz ziemi kaliskiéj, mógł się więc i nadal tytułować księciem kaliskim. Dawne zaś posiadłości Odonicza, o których bulla wspomina—oznaczają dzielnicę poznańską, do któréj rościł sobie ks. kaliski pretensyą jako do swego „patrimonium.“ Jedną część téj ojcowizny tj. ziemię kaliską dzierżył już Odonicz, drugą tj. poznańską miał dopiero przy pomocy Henryka zdobywać, a w razie odzyskania jéj miał księciu wrocławskiemu oddać zamek kaliski. Jeśli więc Henryk zażądał od Odonicza, aby mu zwrócił zamek kaliski, wynika stąd, że książe ten odzyskał poznańską dzielnicę, gdyż pod tym tylko warunkiem w myśl traktatu między oboma książętami zawartego—mógł się Henryk o zamek ten upomnićć. — (3) Theiner: Mon. Pol. et Lith. I, 8 (bulla Honoryusza III, z 22 lutego 1217); por. także kod. wpol. I, nr. 93, 94, 99. — (4) Ibid str. 1 (bulla z 9 lutego 1217 r.).

dłości do zamku kaliskiego należące i postarał się o zatwierdzenie téj sprzedaży przez arcybiskupa gnieźnieńskiego. Okłamany Henryk wytoczył tę sprawę przed trybunał papieski, zerwał z Odoniczem i podążył do pogranicznego miasteczka Sandewell i pogodził się tutaj za pośrednictwem biskupa lubuskiego, wrocławskiego i poznańskiego z Laskonogim, z którym niedawno jeszcze walczył jako sprzymierzeniec Odonicza (1)—Laskonogi otrzymał od Henryka w dożywotne posiadanie zamek lubuski i zobowiązał się bronić tę ziemię w razie napadu nieprzyjaciół. Obaj książęta przysięgli sobie wzajemnie, że żaden nie będzie sobie rościł pretensyi do ziem drugiego i że w razie potrzeby wojennéj nawzajem się wspierać będą. Laskonogi uroczystą przysięgą zatwierdził wszystkie te zobowiązania, a biskupi klątwę mieli rzucić na Laskonogiego, gdyby naruszył pokój z Henrykiem zawarty. Papież Honoryusz III zatwierdził tę ugodę 9 maja 1218 roku i tego samego dnia wysłał bulle do arcybiskupa gnieźnieńskiego i jego sufraganów z wezwaniem, aby czuwali nad zachowaniem tego pokoju (2). Nie sądzę jednak, aby Henryk z saméj tylko przyjaźni ku Laskonogiemu tak się okazał szczodrym, że mu zamek lubuski darował, ale przypuszczam, że Laskonogi odstąpił Henrykowi część wielkopolski przylegającą do Szląska, a przypuszczam na téj podstawie, że w r. 1223 nadał książę szląski klasztorowi trzebnickiemu posiadłości w wielkopolskiéj leżące dzielnicy, a nadanie to potwierdzoném zostało po połączeniu tego obszaru z Wielkopolską przez synów Odonicza—Bolesława i Przemysława (3).

Zgoda między Laskonogim a Odoniczem niedługo trwała. W tym samym roku, w którym papież potwierdził pokój między stryjem a bratankiem zawarty, wynikły nowe spory i walki między nimi. Laskonogi zwyciężył, a Odonicz wyzuty z swéj ojcowizny, musiał po obcych tułać się dworach (4). Przez kilka lat ginie wieść o tym księciu, kronika wielkopolska wspomina, że przebywał jakiś czas na dworze króla węgierskiego, a Długosz wié nawet, że przedtém u Leszka gościł; pewną jest jednak rzeczą, że go w Polsce nie było, bo żaden nie przechował się dokument przezeń w tym czasie wydany. Niedługo jednak bawił Odonicz po tamtéj stronie Karpat, bo już około roku 1220 ożenił się Odonicz z siostrą Swiętopełka Helingą, którą źródła nasze także Jadwigą nazywają, a w następnym roku wydała ona na świat Przemysława (5). Miał więc teraz Odonicz poważ-

(1) Smolka: Henryk Brodaty str. 30, n. 17 nie upatruje żadnego związku między walką Odonicza i Henryka z Laskonogim. — (2) Theiner I, 5, 6 (bulla z 9 maja 1218) i Kod. wielkopol. I, 95, 96. — (3) Grünhagen: Regesten I, 142 i Kod. wpol. IV, 355.— (4) Kron. wpol. c. 58.— (5) Data powyższa wynika z Kron. wkpol. c. 118, według któréj umarł najstarszy syn Odonicza w r. 1257 w 36 roku życia; urodził się więc w r. 1221.

niejszy cel życia, ale i te chwile szczęścia zaprawiała goryczą myśl, że się po cudzych musi ocierać kątach, podczas gdy na ojcowiźnie jego rozgościł się stary i bezdzietny stryj, a może także i książe szląski. Nie tracił jednak nadziei, postanowił wywalczyć sobie ziemię dziedziczną z bronią w ręku lub zdradą. Odtąd rozpoczynają się na północném pograniczu Polski ciągłe harce wojenne, które przez żadnego nie zostały opisane kronikarza, tylko czasem wspomniano w dokumencie lub zapisce rocznikarskiéj o jakim napadzie z jednéj lub drugiéj strony przedsięwziętym. Gdy w r. 1220 wydawał Swiętopełk przywiléj dla klasztoru oliwskiego, zastrzegł w nim, że w razie napadu pogan lub Polaków obowiązani będą ludzie klasztorni bronić kraju (1). Widać, że w tym czasie kiedy Odonicz przybył do Swiętopełka, rozpoczęły się téż i walki między tym księciem a Laskonogim.

W roku 1223 zdobył Odonicz przy pomocy Swiętopełka nadnotecki gród Uście (2), a wkrótce potém, w dzień św. Jędrzeja zawarł on z swym stryjem układ w Kcynie, na zasadzie którego otrzymał cząstkę z dzielnicy gnieźnieńskiéj na prawym brzegu Noteci leżącą i odtąd przybrał tytuł „dux de Uscie“. Po zawarciu pokoju między Laskonogim a Odoniczem musiały się także polepszyć stosunki między Swiętopełkiem a książętami polskimi; w r. 1223 widzimy go w towarzystwie Leszka i Konrada na wyprawie pruskiéj (3). Z dokumentu Odonicza, którym nadał Zakonowi krzyżackiemu posiadłość w okolicy jeziora Izbiczno—wynika, że obszar, którym teraz zarządzał dość był rozległy, skoro obejmował cały prawy brzeg rzeki Chudy (4). Noteć, stanowiąca naturalną granicę między nowém księstwem Odonicza a dzielnicą Laskonogiego, silne twierdze nad tą rzeką się wznoszące a przedewszystkiém sąsiedztwo szwagra, na którego pomoc zawsze mógł liczyć — nietylko ochraniały go od napaści ze strony stryja, ale pozwalały mu zaczepną rozpocząć walkę z dawnym swym opiekunem i krzywdzicielem. Zaledwie się usa-

---

(1) Perlbach: Pomm. Urkundenbuch nr. 25.—(2) Kron. wpol. l. c. podaje r. 1223; Smolka: Henryk Brodaty 36, n. 36 sądzi, że zamiast téj daty należy przyjąć rok 1226; również i Roepllowi wydaje się data Kron. wpol. nieprawdopodobną (Gesch. Polens I. 425, n. 11); ponieważ jednak już w r. 1225 występuje Odonicz w dokumencie jako „dux de Uscie“ (Kod wpol. I, nr. 118), a nawet w wcześniejszym jeszcze dokumencie, w którym znajduje się wzmianka o pokoju w Kcyni zawartym (Ibid. III, nr. 2024), nie widzimy żadnéj przyczyny, aby datę podaną w Kronice wpol. uważać jako fałszywą. Na mocy układu w Kcyni zawartego utracił Odonicz swoję ojcowiznę, a chcąc ściśnionemu sercu ulgę sprawić (*videns defectum patrimonii mei*) obdarzył klasztor w Trzemesznie przywilejem i zwrócił temuż wieś Chomiąże, którą zapewne w czasie walk z Laskonogim gwałtem zajął. — (3) Smolka: Henryk Brod. str. 33; Perlbach: Pom. Urk. n. 20, 21. (4) Kod. wpol. IV, str. 380.

dowił w nadaném mu przez Laskonogiego księstwie, rozpoczął z nim walkę. Odtąd nie ustaje na tém pograniczu szczęk oręża, w śmiertelnéj nieprzyjaźni morduje się rycerstwo Odonicza z ludźmi Laskonogiego. Sam Odonicz wpadł raz na czele zgrai swych zauszników z jakimś Janem Olbrachtem i Wawrzyńcem do ziemi Laskonogiego; mordował niewinnych ludzi, złupił i spustoszył posiadłości klasztoru mogilskiego (1). Innym znowu razem dobrawszy do pomocy łotrzyków pomorskich, pomknął na drugą stronę Noteci, zamordował Dobrogosta, spalił spichrze Laskonogiego w Miedźwiedziu a rozhukana tłuszcza rozbiegła się na wszystkie strony i niszczyła ogniem i mieczem posiadłości klasztorne i zagrody włościańskie (2). Wszystkie te zbrodnie uchodziły Odoniczowi bezkarnie, albowiem właśnie w tym czasie wpadł landgraf turyngski do ziemi lubuskiéj i obległ stołeczny zamek, zostający od r. 1217 w dożywotném posiadaniu Laskonogiego. Nie mając środków do obrony tego zamku, słał Laskonogi posłów do landgrafa z prośbą, aby ustąpił z pod Lubusza; ale nawet błagania arcybiskupa nie rozczuliły go. Tylu wrogom niemógł Laskonogi bez obcéj podołać pomocy. Namówił więc sąsiednich pogan, aby złupili kraj Świętopełka (3); z barbarzyńcami nie potrzebował on długiego dobijać targu a jedna ich wyprawa zbójecka mogła pomścić krzywdę, jakich od kilku już lat doznawał od swego bratanka i jego sprzymierzeńca. OO. Dominikanie, którym Świętopełk wiele wyświadczał dobrodziejstw, oskarżyli przed papieżem księcia polskiego. Papież zgromił Laskonogiego i wezwał biskupów polskich, aby zakazali książętom polskim nasyłać pogan na Świętopełka. Wobec tak opłakanych stosunków nie wyda nam się dziwną skarga biskupa krakowskiego, wniesiona przed stolicą apostolską, że go arcybiskup gnieźnieński wezwał na synod do odległéj jakiejś mieściny, do któréj z powodu wojen i śmiertelnéj nienawiści tylko z narażeniem życia mógł zdążyć (4).

Ale ani groźby papieża ani prośby biskupów na nic się nieprzydały, skoro Odonicz nie porzucał myśli odzyskania swéj ojcowizny, a Laskonogi nie miał zamiaru zwrócić mu takową, a nawet i po śmierci jego miał inny książę a nie Odonicz zasiąść na tronie Mieszka Starego. Laskonogi liczył już lat 60, dzieci nie miał żadnych i był prawdopodobnie wdowcem (5). W razie śmierci jego

---

(1) Dług. p. r. 1225 na podstawie zaginionéj zapiski. — (2) Ibid. p. r. 1226; według Kron. wpol. 59 zamordowany został wojewoda Laskonogiego podczas wycieczki oblężonych w Ujściu żołnierzy Odonicza. — (3) Perlbach: Pomm. Urkundenbuch nr. 35. (4) Rzyszcz. i Muczk. Cod. dipl. Pol. III, 12. — (5) Ani kroniki, ani roczniki nie wspominają o żonie Laskonogiego; jedyny raz występuje Lucya w dokumencie z 25 grudnia

musiałaby cała Wielkopolska przejść prawnie w posiadanie Odonicza, którego stryj z całéj duszy nienawidził i drżał na myśl, że ostatnia chwila życia jego będzie pierwszą chwilą tryumfu bratanka. Postanowił go zatém wydziedziczyć i przelać prawa jego do dzielnicy wielkopolskiéj na krakowski ród książęcy. Układ ten między Laskonogim a Leszkiem zawarty, nie jest w oryginalném znany brzmieniu, ale o treści jego dowiadujemy się z innego urzędowego aktu, którego wiarogodność żadnéj nie ulega wątpliwości (1). Główny i jedyny znany nam ustęp tego traktatu, zatwierdzonego przez obu książąt uroczystą przysięgą, orzekał: „....si quis nostrum habens prolem decederet, superstes prolem illam in propriam adoptaret et sibi totaliter substitueret in heredem, si propriam non haberet; similiter et converso; et hoc cuiuslibet iure in integrum conservato“ (2).

Kiedy traktat ten został między oboma książętami zawarty — niepodobna oznaczyć; tyle tylko pewna, że przed narodzeniem Bolesława Wstydliwego (w czerwcu 1226) a najprawdopodobniéj wówczas, gdy z powodu aliansu Odonicza z Świętopełkiem zawisło nad głową Laskonogiego niebezpieczeństwo utraty księstwa. Musiał on się także oglądnąć za sprzymierzeńcem, któregoby własny interes zmuszał do bronienia ziem wielkopolskich. Pozornie przysparzał ten układ obu książętom jednakowe korzyści, gdy jednak zważymy na wiek Laskonogiego, w którym trudno już marzyć o potomstwie, można było z góry przewidywać, że nie on, ale Leszka przyszły potomek skojarzy nierozerwalnym węzłem obie prastare stolice Polski. Ale obliczając tylko korzyści i błogie następstwa, jakie miały z tego układu wyniknąć dla Polski, nie przeczuwał ani Leszek, ani Laskonogi, że w księdze przeznaczenia inną mieli już wskazaną przyszłość. Akt téj ugody, chociaż tylko przeciw Odoniczowi był wymierzony, zachowywany był zapewne w największéj tajemnicy, gdyż mógł on obrazić Henryka Brodatego. Książę ten nie wyrzekł się myśli zajęcia księstwa krakowskiego, z którém połączone było zwierzchnictwo nad całą Polską; w r. 1210 wystarał się nawet o bullę papieską (3), która potwierdzała sankcyę pragmatyczną, wydaną przez Bolesława Krzywoustego, a gdy mu się w r. 1225 dogodna nadarzyła

---

1208 wydanym w Głogowie w czasie obrzędu chrztu syna Henryka Brodatego. Grünhag. Reg. I, 97. — (1) Kod. kat. krak. I, 26. — (2) Nikt z piszących o tragedyi gąsawskiéj nie wskazał na układ Leszka z Laskonogim, układ, który może objaśnić stosunki księcia krakowskiego z Odoniczem i Świętopełkiem, lubo akt, w którym ugoda ta została streszczona, wydany został jeszcze w roku 1840 przez Wiszniewskiego (Hist. literat, II, 472). Dr. Piekosiński wykazał jeno ważność dokumentu z r. 1228 w głównéj jego treści, uważając go jako pierwszy pomnik „pacta conventa“. — (3) Piekos. Kod. Mał. I, 12.

sposobność. chciał nawet z bronią w ręku wywalczyć sobie to księstwo (1). Z księciem, któryby połączył ziemię krakowską i sandomierską z Wielkopolską — nie mógłby się zmierzyć książę wrocławski, musiałby on się na zawsze wyrzec tak dawno upragnionego szczęścia.

W rok po urodzeniu Bolesława Wstydliwego wybuchła groźna wojna między Laskonogim a Odoniczem (2). Bratanek odebrał stryjowi księstwo poznańskie i kaliskie i inne grody. Jeśli zważymy, że na zasadzie układu w Kcyni zawartego odstąpił Laskonogi Odoniczowi część księstwa gnieźnieńskiego — pozostał mu więc teraz tak mały szmat ziemi, że bez obcéj pomocy nie mógłby się i na nim utrzymać. Ale do kogo miał zakołatać o pomoc, jak nie do Leszka, którego syn miał połączyć z księstwem krakowskiém ziemię zdobytą teraz przez Odonicza.

Zagadkowa więc wyprawa nie była przedsięwziętą przez Leszka i Henryka w interesie Odonicza, jak przypuszcza kronikarz szląski; książe ten nie pragnął niczyjéj pomocy, gdyż dopiął celu, do którego od tak dawna dążył, odzyskał nietylko swoją ojcowiznę. ale zagarnął nawet część księstwa gnieźnieńskiego. Ale — powiada ten sam kronikarz na innéni miejscu — powołując książąt polskich przeciw Pomorzanom, czynił to Odonicz w chytrym zamiarze zamordowania tych książąt i objęcia monarchii, t. j. naczelnéj w Polsce władzy. Gdyby Odonicz rzeczywiście tak był przebiegłym — jak ci kronikarze przypuszczają — trudno przypuścić, aby dla planu nieokreślonego narażał się na utratę kraju dopiero-co z takim trudem zdobytego. Leszek i Henryk podjęli walkę ani w interesie Odonicza, ani na jego wezwanie przeciw Świętopełkowi, ale przeciw Odoniczowi i sprzymierzonemu z nim księciu pomorskiemu, w obronie Władysława Laskonogiego i na wezwanie tego księcia. Wypędzony z poznańskiéj i kaliskiéj dzielnicy, władający tylko nad małym skrawkiem z dawnego obszaru, nie czuł się Laskonogi bezpiecznym, nawet na tym kawałku ziemi wielkopolskiéj, wobec aliansu Odonicza z Świętopełkiem, wobec nienawiści, jaką bratanek ku niemu pałał. Wzywając pomocy Leszka, nie wątpił Władysław, że prośba jego nie będzie głosem na puszczy wołającym, gdyż walcząc w sprawie Laskonogiego, w własnéj także walczył Leszek sprawie, w przekonaniu, że szczęśliwy wynik téj wojny przysporzy mu podwalinę, na któréj się wznieść miało potężne państwo jego syna. Pomoc udzielona przez Leszka Laskonogiemu nie była tak bezinteresowną,

(1) Dług. p. r. 1225; por. także Smolka: Henryk Brodaty str. 34, n. 27.
(2) Kron. wpol. c. 59.

jakby się zdawało, gdybyśmy się tylko na kronikarskich opierali źródłach; inne miała ona cele i inne miała wytworzyć następstwa, aniżeli takie, o jakich źródła nasze wspominają. Czy wyruszając do Wielkopolski snuł już Leszek w myśli plan shołdowania Pomorzan—na to pytanie chyba on sam mógłby odpowiedzieć. W posiadaniu ziemi krakowskiéj, sandomierskiéj i całej Wielkopolski mógł on i o Pomorzu marzyć, ale w chwili, gdy ruszał do boju, zamiary te musiały na drugi ustąpić plan wobec niebezpiecznéj wojny, która mu miała dzielnicę Laskonogiego przysporzyć.

Niełatwą jest rzeczą wyjaśnić, co spowodowało Henryka Brodatego do wspólnego z Leszkiem działania w téj sprawie. Gdyby mu znanemi były warunki układu zawartego między Leszkiem i Laskonogim, nie byłby przykładał rąk do dzieła, które mu miało odjąć wszelką nadzieję do osiągnięcia rządów w ziemi krakowskiéj i zwierzchniczéj nad innymi książętami władzy. Traktat ten (jak już wyżéj wspomniałem) w tajemnicy był zachowywany i dopiero po śmierci Leszka wydobyto akt ten ze skarbca książęcego; ale wówczas nie wiele dbał już Henryk o to, czy Laskonogi rościł sobie jakie prawa do Krakowa, gdyż książę ten, odarty ze swego mienia, tułacz na obcym dworze, nie mógł dokonywać przyrzeczeń w traktacie tym zastrzeżonych, nie był więc groźnym rywalem, z którymby się potrzebował liczyć. Czy z sąsiedzkiéj może przyjaźni towarzyszył Henryk z rycerstwem swym księciu krakowskiemu? Bardzo wątpię. Wyprawa była kosztowną, wynik jéj nie mógł być z góry przewidziany. Z miłości ku Leszkowi (o któréj zresztą źródła milczą) nie byłby z pewnością książę szląski narażał życie swe i swego rycerstwa na niebezpieczeństwo. Gdyby Leszek chciał Świętopełka poskromić i Pomorze shołdować, musielibyśmy chyba szukać księcia tego w obozie przeciwników księcia krakowskiego, gdyż każde zwiększenie władzy tegoż utrudniało mu dopięcie celu, do którego dążył. Dla niego obojętną było rzeczą, czy w Wielkopolsce Odonicz panował, czy Laskonogi. Gdy Odonicz dzierżył księstwo kaliskie, wspierał go Henryk w walce z Laskonogim, za co sobie kazał odstąpić zamek kaliski; gdy od Odonicza został oszukanym, zawarł pokój z Laskonogim i wytargował od tego księcia część Wielkopolski. Ile razy mieszał się Henryk w sprawy książąt sąsiednich, nigdy z próżnymi nie wracał do swéj stolicy rękami. Ponieważ z późniejszych dziejów Henryka wiemy, że nietylko ku Wiśle tęsknem spoglądał okiem, ale i Wartę upatrzył na przyszłą granicę swego państwa, możemy przypuszczać—ale tylko przypuszczać—że w nagrodę za współudział w wyprawie Leszka przeciw Odoniczowi, wymówił sobie jeśli nie całą ziemię kaliską, to przynajmniéj jéj cząstkę. Gdy

obaj książęta wyruszyli do Wielkopolski—zadrżał Odonicz na myśl, że jedna nieszczęśliwa bitwa może go pozbawić ojcowizny, którą po tylu trudach od stryja swego wywalczył. W wyprawie Leszka i Henryka nie mógł on, tak jak późniejsi kronikarze, upatrywać innego celu, jak tylko dalsze gwałcenie praw jego do „patrimonium“, których mu stryj jego zaprzeczał. Uknuł więc zręcznie zdradziecki spisek, którego ofiarą padł Leszek śmiertelnym ugodzony cięciem, Henryk okryty ranami tylko poświęceniu się dzielnego rycerza zawdzięczał życie, a Laskonogi zmarł na tułactwie. Nadzieja połączenia dzielnicy krakowsko-sandomierskiéj z Wielkopolską rozchwiała się na długie lata.

Jakże jednak wytłómaczyć zgodne twierdzenie kroniki wielkopolskiéj i szląskiéj, że wyprawa ta przeciw Pomorzanom lub w interesie Odonicza została przedsięwziętą? Gdyby tak rzeczywiście było, dla czegóż targnąłby się Odonicz na życie książąt tak blisko z nim spokrewnionych i najlepszemi dlań przejętych chęciami? Dlaczegóż nie zgładził Laskonogiego, który mu tyle gorzkich przysporzył chwil w życiu? Zgodne to twierdzenie dwóch źródeł zupełnie od siebie niezależnych nie może być jednak zupełnie zmyślonem, i sądzę nawet, że jest ono wiarogodne, jeśli je rozważać będziemy nie jako cel, ale tylko jako epizod téj wyprawy. Z wyjątkiem kroniki wielkopolskiéj, któréj autor ważny miał dowód do zamilczenia zdrady Odonicza, wszystkie inne źródła zarzucają Odoniczowi morderstwo lub też ułożenie planu do wykonania tegoż; plan ten, jaki Odonicz uknuł, aby się niebezpiecznych pozbyć wrogów, był, zdaniem mojém, następujący: Gdy się Odonicz dowiedział, że książęta krakowski i szląski na czele licznego rycerstwa wkroczyli do Wielkopolski, namówił Świętopełka aby zajął Nakło, pograniczny jego zamek (1), co mogli książęta jako niewątpliwy uważać dowód, że Odonicz zerwał przyjaźń z Świętopełkiem, i że mu niebezpieczna z księciem pomorskim grozi wojna. Smutną tę wiadomość doniósł Odonicz Henrykowi i Leszkowi i prosił ich, aby zaniechali wojny, ale w sposób polubowny załagodzili spór jego z Laskonogim; sam zaś udał się pod Nakło (2) i oblegał pozornie tę twierdzę. Książęta zjechali do Gąsa-

---

(1) Że Nakło należało do Odonicza, świadczy dokument z r. 1225 w Kod. wpol. I, 116, 118; III, 2025. — (2) W Kron. wpol. czytamy: „...volens etiam castrum Naklense sub duce Wladislao (Odonis recuperare).“ Wyrazy umieszczone w nawiasie zostały przez wydawcę dodane. Sądzę (w przeciwieństwie ze zdaniem Smolki: Schles. Zeitsch. XII, 112), że poprawka ta całkiem jest uzasadnioną, w tém jednak znaczeniu, że wojsko pod wodzą Odonicza oblegało zamek nakielski. Ponieważ Nakło należało do Odonicza, dlatego słusznem jest przypuszczenie Smolki (H. B. str. 37), że dla oszukania przeciwników zajął Świętopełk ten zamek. Odonicz pozornie tylko oblegał swego sprzymierzeńca i wypuścił go z zamku, gdy się nadarzyła stosowna chwila do napadu na przeciwników.

wy na naradę. Musiał Odonicz dobrze odgrywać zdradziecką swą rolę, skoro obaj książęta tak się czuli bezpiecznymi, iż bez dostatecznéj asystencyi wojskowéj wyjeżdżali do pobliskiéj wioski, Marcinkowem zwanéj—aby zażywać łaźni. Zapewne od szpiegów dowiedział się Odonicz, o tych wycieczkach Leszka i Henryka. W porozumieniu z Świętopełkiem postanowił on wykonać zamach w czasie, w którym książęta nie będą mogli użyć broni przeciw mordercom. W oznaczonym dniu wypuścił Odonicz z twierdzy Świętopełka, który na czele swego orszaku pogonił do Marcinkowa, wpadł do łaźni i dokonał strasznéj zbrodni, która rozchwiała tyle nadziei i opóźniła o sto lat prawie zjednoczenie najważniejszych dzielnic Polski w jeden organizm państwowy (1).

Co się potém działo w Wielkopolsce, niewiadomo, tyle pewną jest rzeczą, że Nakło jak przed tym zamachem tak po nim należało do Odonicza (2), a rycerstwo krakowskie i szląskie zabrawszy z sobą ciało zamordowanego Leszka i rannego Henryka wróciło do swych zagród ojczystych. Niepodobna oczyścić Odonicza od zarzutu, którym napiętnowany został przez współczesne i późniejsze źródła.

Każde morderstwo z jakichkolwiek popełnione zostało pobudek jest czynem niemoralnym, gwałcącym prawa boskie i ludzkie. Usprawiedliwić nie da się ono żadnymi argumentami. Ale zadanie sędziego a zatém i historyka nie polega tylko na udowodnieniu samego faktu, nie może on poprzestać na samych zewnętrznych motywach, które zrodziły potworną myśl wykonania krwawego zamachu, musi on także szukać klucza do psychologicznego umotywowania téj zbrodni. Ale napróżno szukalibyśmy w źródłach naszych takich szczegółów, któreby nam pozwoliły ocenić ówczesnych książąt jako ludzi z krwi i kości. Aż do r. 1227 nie znajdujemy o Odoniczu w kronikach ani ujemnych ani dodatnich rysów, co najwięcej, moglibyśmy z luźnych o nim wzmianek wywnioskować, że był to duch niespokojny, nieumiejący uszanować związku krwi, nieumiejący odpłacać wdzięcznością za doznane dobrodziejstwa. Gdybyśmy jednak księcia tego taką chcieli mierzyć miarą, jaką nam dokumenta nastręczają, musielibyśmy mu większą przypisywać wartość moralną aniżeli La-

---

(1) Kujot l. c. sądzi, że śmierć Leszka była skutkiem walki wszczętéj wojennym zwyczajem w sposób godziwy: Świętopełk walczył w obronie zagrożonéj samodzielności, a najlepszym dowodem, że nie on popełnił to morderstwo jest fakt, że go żadna nie spotkała kara kościelna. Także i Warmski (Grospoln. Chron. 99 i nast.) nie wierzy ani w pokrewieństwo Odonicza z Świętopełkiem, ani w alians obu tych książąt i sądzi, że należy raz na zawsze uwolnić Świętopełka od zarzutu téj zbrodni. — (2) Kron. wpol. c. 67; Perlbach: Pomm. Urk. str. 40.

skonogiemu. Był on najwierniejszym synem kościoła, darzył hojną dłonią klasztory i kościoły, był najpowolniejszym poddanym stolicy apostolskiéj, któréj opiece poruczył swoje księstwo kaliskie, opłacając za to rok rocznie daninę (1). Inaczéj przedstawia nam się Władysław. Klątwa za klątwą spadała na tego księcia, gromkiemi słowy piętnuje go Innocenty III, mianem tyrana bezbożnika i gwałciciela, porównuje go z Manassesem (2). A jednak mistrz Wincenty, który lepiéj znał Laskonogiego, aniżeli ci, którzy na podstawie jednostronnych relacyi układali piorunujące bulle—w najpochlebniejszych odzywa się o tym księciu wyrazach; wychwala go jako męża przez wszystkich miłowanego, dla każdego przystępnego; był on bacznym i sprawiedliwym sędzią, zasłaniał słabych od ucisku, w żądaniach słusznych i uczciwych nikomu nie odmawiał ucha, a wszystko co tylko mógł mieć rozdawał z wspaniałą hojnością między rycerstwo.

Czy Laskonogi skrzywdził Odonicza, niepodobna stanowczo orzec, albowiem nie wiemy, czy Mieszko Stary zostawił ojca jego Odona w posiadaniu ziemi poznańskiéj, czy téż go rzeczywiście wydziedziczył. Ale pewną jest rzeczą, że Odonicz rościł sobie pretensye do księstwa tego jako swojéj ojcowizny, a Laskonogi zaprzeczał mu prawa do téj ziemi.

Taka krzywda musiała wzniecić w duszy jego rozgoryczenie, z którego w miarę niepowodzeń wyradzała się namiętna nienawiść, nietylko przeciw stryjowi, ale także przeciw tym, którzy siłą oręża popierali uzurpacyą dokonaną przez Laskonogiego. Gdy po tylu zawodach udało się wreszcie Odoniczowi zagarnąć ojcowiznę, nie mógł jéj już z rąk swych wypuszczać. Poczucie doznanéj krzywdy poczucie niemocy w obec silniejszych wrogów—oto motywa strasznego faktu, tak niejasno w kronikach naszych opisanego. Ów traktat, po którym się Leszek i Laskonogi tyle spodziewali korzyści—sprowadził nieszczęście, jakiego żaden z nich przewidzieć nie mógł. Rok przed wyprawą urodził się Leszkowi synek: zdawało się zatém, że układ ten nie zostanie martwą literą, bo Laskonogi był bezdzietnym. Z jakąż radością spoglądał ojciec na dziecię, igrające na ręku piastunki, któremu jeszcze przed narodzeniem dwa uśmiechały się księstwa. Ale była to już ostatnia szczęśliwa chwila w życiu Leszka. Na początku roku 1227 utracił Laskonogi ziemie, które miały przejść na Bolesława Wstydliwego, a w kilka miesięcy późniéj straszną zginął Leszek śmiercią. Nikt nie pomścił śmierci księcia krakowskiego, nikt nie ścigał morderców, nawet kościół nie skarcił winowajców, chociaż według dekretów, pociągało morderstwo ekskomunikę a na-

(1) Kod. wpol. nr. 72, 91. — (2) Ibid. nr. 42.

wet w godzinie śmierci nie wolno było udzielać mordercom pociechy duchowéj. Niemowlę nie mogło podnieść skargi, że mu ojca zamordowano, a wdowa nie miała nawet czasu opłakiwać męża, gdyż się opędzać musiała od książąt, którzy czyhali na schedę jéj synka—jak kruki na żer.

III.

Wiadomości kronikarskie i rocznikarskie o zawikłaniach w Polsce po zamordowaniu Leszka Białego są tak lakoniczne, że trudno na téj podstawie pokuszać się o wykazanie związku między tymi wypadkami, i skreślić dokładnie przebieg walk między książętami, dobijającymi się o władzę zwierzchniczą nad Polskę. Kraków jest to arena, po której przesuwa się jedna postać książęca za drugą; wszyscy do jednego dążą celu, a każdy inne wykazuje prawa do księstwa krakowskiego. Zasób dokumentów, któreby mogły rzucić choć promyk światła na ciemną tę widownię—bardzo jest szczupły, a co gorsza, jednym zarzucają badacze nieautentyczność, inne zaś grzeszą niedostatecznością formy.

W celu rozwiązania zawiłéj téj kwestyi, musimy zważyć na następujące okoliczności:

1) Na zasadzie testamentu (1) Bolesława Krzywoustego, który żadną inną ustawą zasadniczą nie został obalony, a nawet przez papieża Innocentego III, w r. 1210 w całości potwierdzony (2), przysługiwała władza naczelna w Polsce wraz z ziemią krakowską najstarszemu potomkowi Bolesława Krzywoustego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, był nim Henryk Brodaty. Jeśli prawdziwym jest rok urodzenia Laskonogiego, podany przez Długosza (p. r. 1168), w takim razie liczył on w r. 1227 lat 59. Rok urodzenia Henryka nie jest znanym, ale był on niewątpliwie starszym od Laskonogiego, gdyż w r. 1191 był już ojcem pięciorga dzieci (3). Przypuszczenie, że Henryk był najstarszym Piastowicem wydaje mi się tém prawdopodobniejszém, że:

2) Władysław Laskonogi, który na mocy układu, z Leszkiem zawartego, nie występuje w znanym już nam dokumencie z r. 1228

---

(1) Winc. III, 26 „ut penes maiorem natu et Cracoviensis provinciae principatus et auctoritas resideret principandi. — (2) Bulla Innocentego III, z 9 czerwca 1210 potwierdzająca na prośbę Henryka Brodatego—to rozporządzenie Bolesława: „ut semper, qui esset de ipsius genere prior natu, civitatem teneret eandem, ita, quod si maior decederet, vel cederet iuri suo, qui post eum de toto genere maior ipsius civitatis possessionem intraret (Piekosiński: kod. kat. krak. I, str. 12). — (3) Grünhagen: Regesten I, 54.

z pretensyami do władzy zwierzchniczéj i do ziemi krakowskiéj, ale zobowiązał się tylko bronić ziemi, która prawem dziedzictwa należała do Bolesława i opiekować się tym księciem. Był on więc obrońcą praw Bolesława, nabytych rzekomo na mocy potwierdzenia papieskiego przez Kazimierza Sprawiedliwego (1).

3) Konrad książę mazowiecki jako stryj Bolesława, a więc najbliższy krewny, rościł sobie także prawo do opieki nad małoletnim bratankiem i jego ziemią; tego tylko prawa domagał on się z początku w przekonaniu, że będąc raz w posiadaniu Krakowa nietrudną będzie dlań rzeczą zawładnąć „monarchią."

4) Grzymisławie także musiało zależyć na tém, aby ziemia krakowska utrzymała się w linii Kazimierza Sprawiedliwego i przerażała ją myśl, że może utracić stołeczny gród i przenieść się wraz z synkiem na mniejsze i pośledniejsze księstwo sandomirskie.

Każdy więc z tych książąt rościł pretensyą do księstwa krakowskiego, i każdy był przekonany, że się te pretensye na słusznych opierają podstawach, i w tém właśnie tkwi zarzewie walk, które przez kilka lat srodze Polskę niszczyły. Prawa Henryka do władzy wielkoksiążęcéj były tak samo słusznemi, jak słuszną była walka Władysława II i Mieszka Starego z młodszymi braćmi; obaj ulegli przemocy książąt młodszych, Henryk szczęśliwszym był od nich, pokonał on wszystkich rywalów i nietylko sam zawładnął większą częścią Polski, ale przekazał ją w spadku synowi swemu. Ciężkie rany, zadane mu w Marcinkowie nie dozwoliły Henrykowi zaraz po śmierci Leszka upomnieć się z orężem w ręku o prawa swoje do księstwa krakowskiego, chociaż (jeśli można Długoszowi p. r. 1225 zawierzyć) silne mógł znaleść poparcie u możnowładzców. Tak kronika wielkopolska, jak i kroniki szląskie donoszą, że Konrad był pierwszym, który po zamordowaniu Leszka stanął na ziemi krakowskiéj (2).

Obie te wiadomości są, zdaniem naszém, prawdziwe, w tém jednak znaczeniu, że wiadomość podana przez kronikarza szląskiego jest wynikiem wiadomości, przytoczonéj z kroniki wielkopolskiéj.

---

(1) Winc. IV, 21. Nec impedit avita constitutio... quia per papam Alexandrum et per Fredericum imperatorem, qui iush abent et condendi et abrogandi iura, prorsus est abrogata, quando ab utroque, superstite seniore, scilicet Mescone—in eodem est principatu Casimirus et constitutus et confirmatus.—(2) W kronice wielkopolskiéj czytamy:.. denique post mortem Lestkonis principis praeclari Cunradus frater eius Masoviae dux nepotem suum Boleslaum Pudicum cum suis ducatibus et aliis terris *in sui curam* suscepit." Kronika szląska i zgodnie z nią kronika książąt szląskich powiada: „Lestcone ergo sic interempto Cunradus frater eius dux Cujaviae et Masoviae *monarchiam Cracoviensem occupare* nitebatur."

Niepodobna przypuścić, aby Grzymisława nie wiedziała, że na podstawie testamentu Bolesława Krzywoustego Henrykowi największe przysługiwało prawo do księstwa krakowskiego, musiała więc widzieć w nim najgroźniejszego rywala, albowiem nietylko najbliższym był jéj sąsiadem, ale też najpotężniejszym, najbardziéj poważanym i skoligaconym z obcemi mocarstwami. Nic więc niema w tém dziwnego, że Konradowi poruczyła ona opiekę nad dziecięciem i nad ziemią krakowsko-sędomirską;—mogła go ona nienawidzieć, ale nie potrzebowała go się tak obawiać jak Henryka. Ciągłe napady hord pogańskich na Mazowsze, i układy z Zakonem niemieckim, które się właśnie wówczas toczyły, wymagały częstéj obecności Konrada w jego księstwie i napawały Grzymisławę nadzieją, że pod osłoną załogi mazowieckiéj będzie mogła prawie samodzielnie sprawować rządy w obu swych księstwach. Zdaje się, że obejmując opiekę nad Bolesławem, niewielkie stawiał z początku Konrad warunki, skoro Grzymisława występuje w dokumentach, w pierwszych miesiącach po śmierci męża wydanych, jako udzielna księżna „ductrix Cracoviae et Sandomiriae“ (1). Był więc Konrad z początku tylko opiekunem Bolesława Wstydliwego i niczém więcéj (zgodnie z kroniką wpol.) Niedługo jednak trwała ta bezinteresowna Konrada opieka. Niewiadomo, czy z jawną wystąpił pretensyą do księstw swego pupila czy postępowaniem swojém zdradzał zamysły, dążące do objęcia rządów w dzielnicy brata swego (zgodnie z kroniką szląską), dość, że położenie Grzymisławy z każdym dniem stawało się nieznośniejszém. W marcu 1228 r. (a więc w kilka miesięcy po śmierci Leszka) odbył się zjazd Grzymisławy z Konradem i dwoma jego synami w Skarzyszowie (2). Obecność najwyższych dostojników obu państw pozwala przypuszczać, że ważne sprawy były przedmiotem obrad w téj mieścinie; ale tutaj też musiała się Grzymisława przekonać, że Konradowi nie tyle na opiece nad Bolesławem, ile na posiadaniu księstwa krakowskiego zależało. Z zamiarem zerwania wszelkich z Konradem stosunków opuszczała matka Bolesława Skarzyszew a w kilka dni późniéj (23 marca) podpisują trzej na zjeździe w Skarzyszowie obecni dygnitarze—Iwo, bisk. krak. Marek wojew. krakow. i Pakosław wojew. sandom. wraz z arcybiskupem gnieźnieńskim i innymi dostojnikami—dwa nader ważne dokumenta, wydane przez Laskonogiego. W jednym przyjmuje bezdzietny ten książę, (w myśl umowy z Leszkiem zawartéj) młodego Bolesława za swego syna i czyni go spadkobiercą wszystkich swych ruchomych i nieruchomych dóbr,

(1) Por. Smolka: Henryk Brodaty str. 39 n. 43. — (2) Piekosiński: Kodeks małopolski I, str. 17.

bierze w opiekę księstwa, które Bolesław po ojcu oddziedziczył, i obiecuje bronić je przeciw wszelkim napaściom (1). Wątpliwość co do ziemi, o któréj w tym dokumencie jest mowa usuwa drugi przywiléj (2), w którym Laskonogi przyrzeka szanować przywileje kościoła krakowskiego. Dokumenta te, jak słusznie zauważył wydawca tychże dr. Piekosiński, są pierwszymi pomnikami poręczenia praw i swobód przez obejmującego rządy księcia, które przybrawszy w następnych wiekach formę umowy, zawieranéj między rządzącym a rządzonymi, znane pod nazwą „pacta conventa“, stanowiły jednę z kardynalnych zasad naszego prawa publicznego. Wystąpienie Laskonogiego w kilka dni po zjeździe Grzymisławy z Konradem było zręczném zaszachowaniem planów księcia mazowieckiego. Grą tą kierował niewątpliwie biskup krakowski i dwaj wojewodowie, Pakosław i Marek. Laskonogi zajęty był widocznie wojną z Odoniczem, skoro nie ogłosił bezpośrednio po śmierci Leszka traktatu z nim zawartego, a chociaż wyzuty z księstwa poznańskiego i kaliskiego mógł tylko gnieźnieńską dzielnicę przekazać w spadku Bolesławowi—mimo to z wdzięcznością musiała przyjąć Grzymisława i wielmoże krakowscy wspaniałomyślną Laskonogiego bezinteresowność, która rokowała młodemu księciu taką prawie potęgę, jaką dziad jego Kazimierz dzierżył. Zupełne milczenie o prawach, jakie mógł sobie rościć Laskonogi do księstwa krakowskiego na podstawie testamentu Krzywoustego—pozwala przypuszczać, że praw tych nie posiadał, czyli innemi słowy, że prawa te tylko Henrykowi Brodatemu przysługiwały. Ale książę szlązki na ostatnim stał planie w myślach Grzymisławy i jéj doradców.

Nie długo trwała opieka Laskonogiego nad Bolesławem, żaden rocznik, żadna kronika nie wspomina o jego rządach w Krakowie. Srogo pomścili się wrogowie Laskonogiego za wystąpienie jego w obronie praw Bolesława. Za namową Konrada wpadli Rusini do Wielkopolski i na Szląsk (3) a Odonicz, którego ogłoszenie traktatu między Leszkiem a Laskonogim zawartego—do najwyższego musiało oburzyć stopnia, nową z swym stryjem rozpoczął wojnę (4). La-

---

(1) Piekosiński: Kod. kat. I, 26 „terram vero, que ad ipsum *ex paterna successione* devenit in protectionem et tutelam suscipio et contra omnem hominem toto posse meo defendam per meos et suos milites. — (2) Ibid str. 28. — (3) Połnoje Sobranie ruskich letop. II, 168. W lito 6737 uben był wełykij kniaz lladskij na sojmi uben byst Swiatopolkem Odonyczem (*sic*) i Wołodysławom s'wietom bojar newirnych. Po smerty brata swojeho Kondrad pria Danila i Wasylka w wełykuju llubow i prosy jeju abysta szla jemu na pomoszcz i pojdosta jemu na pomoszcz na Wołodysława na staroho. Bardzo przekonywujące dowody, że napad ten wykonany został na wiosnę r. 1228 znajdzie czytelnik w pracy Smolki (Zeitschrift f. Gesch. Schlesiens XII, 114 n. 3). — (4) Kron. wpol. c. 63.

skonogi nie mógł dotrzymać obietnic, przyrzeczonych w powyższych dokumentach, gdyż wkrótce potém sam po obcych tułał się dworach i w Raciborzu życie zakończył, być może w tym samym zamku, gdzie jako młodzieniaszek wraz z ojcem swym bawił na wygnaniu, gdy ojciec Odonicza w porozumieniu z księciem krakowskim zagarnął Gniezno i Poznań (1). Tymczasem Konrad na dobre rozgościł się w ziemi krakowskiéj i sandomirskiéj, skoro powołany przez Grzymisławę i jéj doradców Henryk zdobywać sobie musiał monarchią (2). Był to krok rozpaczliwy ze strony Grzymisławy, ale konieczny, aby uratować choćby sadomirską ziemię. Zdwojga złego wybrała księżna mniejsze złe. Henryk wywalczył sobie ziemię krakowską, objął opiekę nad Bolesławem (3), ale Grzymisława musiała z bólem serca opuszczać zamek krakowski i przysiedlić się na schedę sędomirską. Dnia 30 sierpnia 1228 występuje Henryk po raz pierwszy jako książę krakowski (4). W następnym roku pojmał Konrad w zdradziecki sposób Henryka i zmusił go do ustąpienia z ziemi krakowskiéj. Sprawcy intrygi z Laskonogim uknutéj musieli opuścić ojczyznę. Iwo chciał u grobu św. Piotra szukać ulgi w swém tułactwie, ale w drodze do Mutiny umarł. Pakosław schronił się na Rusi, tylko Marek pogodził się z nowym księciem, skoro jako wojewoda krakowski występuje w dokumencie z r. 1230 obok Wojciecha wojewody sędomirskiego, który dzierżył tę godność po Pakosławie.

---

(1) Ibid c. 35. — (2) Kron. pol. (MP. III, 641) Grzymislawa monarchiam Henrico Cracovie resignavit, quam duobus proeliis a Conrado evicit. — (3) Ibid. se suosque duos (?) parvulos filios tutele commisit, et monarchiam Cracovie illi resignavit. — (4) Grünhagen: Regesten I, str. 174.

Dr. Aleksander Semkowicz.





O DENARACH KORONNYCH Z XIV WIEKU

aż do panowania Władysława Jagiełły.

Dr. Piekosiński. O monecie i stopie menniczéj w Polsce w XIV i XV wieku. Kraków, 1878.— Stronczyński Kaz. Dawne monety Polskie, dynastyi Piastów i Jagiellonów. T. III. Piotrków 1885.

Dr. Piekosiński w swéj cennéj pracy poświęconéj numizmatyce opisując denarek Nr. 4, czyta na nim: *S. G*: ...EGISR; *S. O*: ╳WLA....E, i przyznaje go Władysławowi Łokietkowi z czasu przed rokiem 1320. Na stronie 30 autor przywodzi, że ów pieniążek trzyma próbę wedle narysu XIV, waży 0,33 gm., a uwzględniając 4% na zużycie, wypadnie, że 576 takich denarów, to jest grzywna (gdyż na grosz rachuje 12 denarów, uważając go za bity na wzór monety czeskiéj *parvus pragensis*) da wagę brutto 197,68 gm. a netto 172,97 gm., czyli grosz równa się 3,603 gm. czystego srebra.

Senator Kaz. Stronczyński w trzecim tomie „Dawnych monet“ na str. 36 i 37, tabl. XVII, uznaje ten sam denarek za pomnik panowania Ludwika Węgierskiego i czyta na tymże okazie: *S. G*... GISLOD... (REGIS LODOVICI): *S. O*. POLONIE; przyczém objaśnia tylko, że takie denarki, jak napisowe, tak i beznapisowe, znajdują się zawsze razem z monetami Kazimierza W-go, lecz o stopniu ich zużycia w porównaniu z denarami Kazimierzowemi nic nie wspomina.

Szanowny autor „Dawnych monet“ rozbierając i klasyfikując monety z przed r. 1300, zawsze przyjmował za podstawę badań nad wykopaliskami stopień zachowania się czyli zużycia monety, spółobecność w wykopalisku monet pewnych, i wtedy dopiero, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zaliczał pieniążki do panowania tego lub owego księcia. Tym sposobem, dzięki jego pracy, mamy porządnie opracowaną najtrudniejszą część naszéj numizmatyki do 1300 r., lubo tu i owdzie pozostały jeszcze pewne wątpliwości nie-

rozwiązane. Tak np. nie odgadujemy przyczyny, dla któréj senator Stronczyński i do tego denarka nie zastosował słusznéj swéj zasady, którą się z takiém powodzeniem posługiwał w numizmatyce z przed roku 1300? Nam się zdaje, że takie kwestye, jak denarka Piek. Nr. 4, najlepiéj mogą rozstrzygnąć wykopaliska. Sądząc z samego tylko rysunku, wypadnie stanowczo przyznać ten denarek Łokietkowi, nie zaś Ludwikowi; gdyż Ludwik, jako król, zamiast hełmu, zapewne by umieścił koronę, podobnie jak Łokietek po swéj koronacyi; przed 1320 r. Łokietek nie miał prawa tego uczynić, więc położył hełm rycerski, ozdobiony pióropuszem.

Sam p. Stronczyński na str. 49 przypuszcza, że denar z hełmem może istotnie okazać się pomnikiem panowania Władysława Łokietka; szkoda, że szan. autor téj uwagi nie umieścił zaraz przy opisie tego denara, a jeszcze by lepiéj uczynił, zamieszczając go w rzędzie monet niepewnych, jak to uczynił z monetami mającemi napisy Bolesławów (T. II, str. 120—133, tabl. XIV).

W wyrachowania ewaluacyjne p. Stronczyński nie zupełnie wierzy, powątpiewając o ścisłości obliczeń i uważając one za niepewną podstawę badań, z powodu niemożebności oznaczenia na pewno procentu zużycia metalu. My także nie mamy pretensyi do nieomylności obrachowań, mniemamy jednak, że chociażby nawet była w tych wyrachowaniach jaka niedokładność, to tak nieznaczna, taka drobna, że różnica nie wyniesie i 0,01 gm. w okazie. W każdym razie, analizy doprowadzają nas do przekonania, że skoro moneta ciągle stopniowo podlała, to możemy wnioskować, jaki okaz był wybijany pierwéj a jaki późniéj, za panowania pewnego króla; przytém znając z dokumentów za czyjego panowania moneta podlała, a potém kto ją znowu poprawił,—możemy względnie wiedzieć na ile moneta uległa spodleniu, a potém, o ile ją poprawiono; zastrzegamy wszelako że wielkiéj różnicy w poprawie feinu monety być nie mogło, naprzykład potrojenie w okazie feinu srebra, jak to by miało miejsce, gdybyśmy uznali denar z hełmem jako bity za panowania Ludwika.

Jakoż możemy złożyć jeszcze jeden dowód przekonywający, że ten denar Piek. Nr. 4 należy niewątpliwie do zabytków panowania Łokietka.

W przeszłym roku nabyłem od p. Bisier, właściciela wystawy starożytności w Warszawie, denar (obacz niżéj na str. 353, Rys. 1), którego jeden okaz znajdował się w towarzystwie przeszło 200 denarków Kazimierza W-go i kilku Władysława Łokietka. W tém wykopalisku niektóre denarki Kazimierza W-go były bardzo pięknie zachowane, a rzeczony denarek i reszta denarków Łokietka były bardzo zniszczone, co jasno dowodzi, że te denarki są wcześniejsze-

mi aniżeli Kazimierzowe. Denarek Rys. 1 był najmocniéj zniszczony, z obciętemi czy téż tak mocno startemi brzegami; w napisach otokowych wyczytałem: *S.* G. .. GIS...: *S. O.* + POLO...; próba w narysie XII (1), waga 0,21 gm., a uwzględniając 20% na użycie—0,252 gm., otrzymamy w grzywnie (768 denarowéj) brutto 183,436 gm., czyli netto 137.577, a w groszu takich denarów 2,866 gm. czystego srebra, czyli że takowy grosz jest lepszy od całkowitych groszy Kazimierza W-go (2,63 gm.), a gorszy od współczesnego Łokietkowi Jana I Czeskiego (3,438 gm.).

Wiemy z analiz, że całkowity grosz zawsze więcéj zawiera w sobie czystego srebra, aniżeli grosze denarów, bitych w tymże czasie co i grosz;—i inaczéj być nie może, gdyż koszta wybijania denarów są większe, bo potrzebują więcéj czasu i robotnika i każde państwo zawsze ciągnie większe korzyści z bicia drobnéj monety, jako przeznaczonéj wyłącznie do wewnętrznego obiegu. Tu porównajmy fein grosza denarowego z feinem grosza całkowitego-współczesnego: w proporcyi grosza do denara, jak się z tabeli przekonamy, różnica upadku denara względem grosza jest mniejszą, niż za czasów Kazimierza i Ludwika, a grosz takich denarów byłby daleko lepszym od całkowitego grosza Kazimierza W-go, a także i polskich denarów Ludwika i groszy jego węgierskich,—co rozumie się jest niemożebne.

Przypatrzywszy się uważnie napisom denara Rys. 1 widzimy po *S. G...* EGI... tak rozstawione, że dla dopełnienia brakujących liter więcéj nad trzy litery jeszcze umieścić by się nie dało; gdy więc uzupełnimy słowo REGIS, pozostaje nam jeszcze jedno miejsce na literę W i otrzymamy napis: + WREGIS; *S. O.* przedstawia niewątpliwe + POLONIE. Okaz takiego denara, na którym + WRE... było widoczne, jak mnie p. Bisier zapewnił, egzystuje i takowy on sam widział w kopii galwanoplastycznéj.

Zważywszy wyżéj przytoczone dane, każdy chyba zgodzi się ze zdaniem Dra Piekosińskiego i denarek ten uzna jako bity za panowania Władysława Łokietka.

Denar Piek. Nr. 4 prawdopodobnie był bity w 1315 lub 1316 r. i wtedy to zapewno rachowano w groszu 12 denarów, czyli w grzywnie 576. W posiadanym przez nas okazie widzimy tenże sam rysunek jak i Piek. Nr. 4, lecz waga jego jest mniejsza, a próba srebra—niższa, więc takowy był zapewno późniéj bity, t. j. po przeprowadzeniu reformy monetarnéj z 576 na 768 denarów z grzywny. Dla

---

(1) Próbę narysową ze wszystkich okazów łaskawie zdjął nam p. Nast, właściciel zakładu wyrobów złotych i srebrnych w Warszawie, który zapewnił, że probiercze igły zrobiono mu jeszcze w byłéj mennicy warszawskiéj i za sprawiedliwość ich poręcza,

jakich przyczyn ta reforma nastąpiła—nie wiemy, lecz sam fakt jest pewny (patrz Piek. str. 32). Zapewnie przewrot ten menniczy nastąpił z potrzeby kraju posiadania drobniejszéj monety i to wkrótce po 1315 r., t. j. w tym czasie, gdy Łokietek przyjął tytuł dziedzica królestwa Polskiego; z powodu tytułu REGIS, oba te denarki odnosimy do peryodu panowania tego monarchy z 1315—1320 r., to jest przed koronacyą; a po koronacyi byłe bite denary Piek. Nr. 5 i twarzą wprost (znajduje się w zbiorze p. W. Szaniawskiego).

Co się zaś tycze *denarii parvi* bitych dla Kujaw, to Dr. Piekosiński denara Nr. 3 nie poddawał analizie, gdyż nie miał go pod ręką, a wiedząc tylko wagę i stopień zachowania, przypuszczał, że trzyma tę samą próbę co i Nr. 4. Nabywszy taki sam denarek, poddaliśmy go analizie i otrzymaliśmy próbę w narysie VIII, waga 0,19 gm., a uwzględniając 5% na zużycie, gdyż denar mocno wytarty, otrzymamy 0,20 gm., czyli grzywna takich denarów stanowi brutto 192,00 gm., a strąciwszy $^{8}/_{16}$ na miedź—otrzymamy 96,00 gm. czystego srebra, czyli w groszu z takich denarów 2,00 gm. czystego srebra; denar ten uważamy za bity po koronacyi, t. j. po roku 1320, z powodu umieszczonéj na nim korony królewskiéj.

Z tegoż wykopaliska nabyliśmy nieznany dotąd denar Władysława Łokietka (obacz Rys. 2) należący także do tak zwanych *denarius parvus*, bitych dla Kujaw. *S. G.* herb kujawski i napis w otoku: + REGIS W.... (REGIS WLADISLAI); *S. O.* orzeł z głową w prawo, a napis w otoku: + RE...... ONIE (REGIS POLONIE); próba VIII, waga 0,20 gm., a uwzględniając 5% na zużycie 0,21 gm., czyli grzywna takich denarów brutto 201,60 gm., a po strąceniu $^{8}/_{16}$ na miedź 100,80 gm., czyli w groszu 2,10 gm. Wybijanie takich denarów należy odnieść do peryodu, gdy Łokietek przyjął tytuł dziedzica królestwa Polskiego, t. j. 1315—1320 r.

Przejdźmy do denarów koronnych Kazimierza W-go. Dr. Piekosiński (str. 36) oznacza im wogóle próbę V. — Trudno jest dopuścić by denary bite za panowania Kazimierza W-go, t. j. przez okres 37 lat, zachowały tęż samą swoją dobroć, by nie uległy spodleniu, przecież półgroszki tego króla podlały; tak się téż stało i z denarami. Denary, jak się niżéj przekonamy, także uległy powolnemu spodleniu, gdyż niepodobna przypuszczać takiego jednorazowego spodlenia denara (z 137,577 gm. grzywna, na 58,00 gm. grzywna). Już Dr. Piekosiński w swéj pracy „Wiadomość o wykopalisku krakowskiém monet Kazimierza W-go", pobieżnie traktując o denarach, zauważył (str. 5), że denary choć więcéj zużyte, były cięższe od denarów lepiéj zachowanych; szkoda, że nie uczynił analiz z głównych odmian tych denarów.

Zebrawszy cztery główniejsze odmiany denarów koronnych Kazimierza W-go, wykonaliśmy ich analizę i w porządku, w jakim powinny po sobie następować, przyjmując za podstawę upadek srebra, podajemy



Rys. 3. *S. G.* Popiersie twarzą wprost, napis w otoku: + REX. POLONIE; *S. O.* Orzeł zwrócony głową w prawo, napis w otoku: + R POLONIE; próba VI, waga 0,34 gm., a uwzględniając 2% na zużycie—0,347 gm., czyli grzywna brutto 266,496, a po strąceniu $^{10}/_{16}$ na miedź da 99,936 gm., a więc w groszu takich denarów 2,082 gm. czystego srebra.

Rys. 4 (denar nieznany dotąd, bez obwódek). *S. G.* Popiersie twarzą wprost, napis w około: + REGIS POLONIE; *S. O.* orzeł z głową zwróconą w prawo, napis w około: + REGIS POLONIE; próba VI, waga 0,28 gm., a uwzględniając 2% na zużycie—0,285 gm., czyli grzywna brutto 222,184 gm., a po strąceniu $^{10}/_{16}$ na miedź—83,219 gm., czyli w groszu z takich denarów 1,734 gm. czystego srebra.

Rys. 5. *S. G.* Popiersie twarzą wprost, napis w otoku: + R POLONIE; *S. O.* orzeł z głową zwróconą w prawo, napis w otoku: + R. KAZIMIRV; próba VII, waga 0,19 gm., a uwzględniając 5% na zużycie, gdyż są braki kawałeczków denarka, otrzymamy 0,20; grzywna takich denarów da brutto 157,20 gm., a po strąceniu $^{9}/_{16}$ na miedź—65,775 gm.; czyli w takim groszu 1,370 gm. czystego srebra.

Możebném jest, że chciano poprawić tylko ziarno monety, zmniejszywszy jéj wagę.

Rys. 6. *S. G.* Popiersie twarzą wprost, napis w otoku: + REX· POLONIE; *S. O.* orzeł zwrócony głową w lewo, napis w otoku: + REX· POLONIE; próba V, waga 0,25 gm., a uwzględniając 5% na zużycie, gdyż kawałek denarka wyszczerbiony — otrzymamy 0,268 gram.; grzywna takich denarów brutto 195,824 gm.; a po strąceniu $^{11}/_{16}$ na miedź—61,195 gm.; czyli w takim groszu 1,275 gm. czystego srebra. Możebném jest powiększenie wagi denarów, a zmiejszenie jéj ziarna; lecz możebném jest również i takie przypuszczenie, że denar Rys. 6 był wpierw wybijany od denara Rys. 5 i poprawa ziarna monety nastąpiła wskutek zażaleń kupców miasta Krakowa! (1).

W tym wykazie widzimy powolny upadek ziarna srebra w denarach Kazimierza W-go, co by lepiéj uwydatnić, załączamy przy końcu tabelkę porównawczą.

Dr. Piekosiński rozpatrując denarki polskie z herbem andegaweńskim, wskutek analiz przyszedł do przekonania, że denary oznaczone u niego numerami 18 - 21, t. j. te, które mają orła z głową zwróconą w lewo, należą do panowania Ludwika, a Nr. 24 i 25, t. j. mające orła z głową zwróconą w prawo—do panowania królowéj Jadwigi (Piek. str. 37).

Senator Stronczyński odnosi wszystkie te denary do panowania Jadwigi dla tego, że na niektórych okazach tych denarów (Piek. Nr. 24; Stroncz. tabl. XXVIII*b*) widzi gotycką literę H; lecz przypuszcza, że jeżeli denar z hełmem okaże się pomnikiem panowania Władysława Łokietka, to wszystkie te denary należałoby odnieść do panowania Ludwika (str. 48 i 49). Cóż jednak wtedy zrobić z denarem, mającym nad tarczą literę **H**?

Zdobywamy więc znowu dowód, że badania za pomocą analiz nie zawodzą. Niedawno nabyłem denar Rys. 7: *S. G.* orzeł z głową zwróconą w lewo; *S. O.* nad herbem andegaweńskim gotycka litera **L**; próba VI, waga 0,30 gm., okaz z obciętym brzegiem z boku monety, tak, że możnaby uwzględnić z 15% na zużycie (2)—otrzymamy 0,35 gm., a na grzywnę brutto 268,80, netto 100,80 gm.; czyli w takim groszu 2,10 gm. czystego srebra.

---

(1) Wagę denarów Rys. 3, 5 i 6 wzięliśmy przeciętną z kilku okazów każdego typu. Resztę z pojedyńczych okazów, gdyż wszystkie znalazły się po jednym egzemplarzu, co przy biciu monety *al marca* zupełnéj pewności co do wagi nie daje.

(2) Z jednego okazu i do tego jeszcze źle zachowanego, trudno wnioskować o wadze na pewno, gdy moneta była bitą *al marca*; drugi okaz w mym zbiorze (jak Piek. Nr. 19) waży 0,34 gm.; więc i ten liczymy z 15% upadku, stosując się do badań Dra Piekosińskiego, choć może okazać się i lżejszym. Tę kwestyę rozjaśni może jakie nowe wykopalisko.

Z tego przekonywujemy się, że analiza powinna zyskać stałe obywatelstwo w studyach nad monetą średniowiekową. Drowi Piekosińskiemu nie był znanym okaz Rys. 7, a jednak za pomocą analiz przyszedł do przekonania, które z tych denarów należy odnieść do Ludwika, a jakie do Jadwigi; które to przekonanie utwierdza będący w mém posiadaniu denarek Rys. 7.

Denarek zaś Piek. Nr. 24 bezwątpienia należy do pomników panowania Jadwigi.

Na tém kończymy nasze badania nad wyżéj opisanymi denarami i będziemy bardzo szczęśliwi, jeżeli rzecz niniejsza, wywoławszy bezstronną krytykę, przyczyni się do ostatecznego załatwienia kwestyi co do rzeczonych denarków.

Załączamy tabelkę, wykazującą stopniowy upadek monety, przyczém objaśniamy, że do wyrachowań denarów bitych za Łokietka, grosz całkowity przyjęliśmy współczesnego mu Jana I. Czeskiego (półgrosz, Piek. Nr. 2, bezwarunkowo powinien być zaliczony w poczet monet szląskich), a do wyrachowań denarów Kazimierza W-go—fein całkowitego grosza tego króla; do wyrachowań zaś denarów Ludwika i Jadwigi — grosz całkowity Kazimierza W-go. W rubryce „Rysunek“ — liczby niepoprzedzone znakiem № oznaczają okazy rysunków przez nas załączonych, liczby zaś ze znakiem № odnoszą się do rysunków przedstawionych u dra Piekosińskiego.

Rysunek	Rok bicia denarów	Ilość denarów w grzywnie	Próba srebra	Waga okazu brutto	Waga grzywny brutto	Waga grzywny netto	Ilość feinu w groszu denarowym	Ilość feinu w denarze	Ilość takich groszy z grzywny czystego srebra	Ilość denarów z grzywny czyst. srebra	Proporcya całkowitego grosza do grosza denarowego	Procent upadku grzywny denarowéj od grzywny czystego srebra
					Władysław Łokietek							
					a) denary bite dla Kujaw.							
2	1315—20	960	VIII	0,21	201,60	100,80	2,100	0,105	94,18	1882,66	1 : 0,59	49.00
№ 3	1320—33	960	VIII	0,20	192,00	96,00	2,000	0,100	98,84	1976,80	1 : 0,56	51,44
					b) denary koronne.							
№ 4	1315 lub 16	576	XIV	0,343	197,680	172,970	3,6[illegible]3	0,300	54,868	658,93	1 : 0,95	12,50
1	1316—20	768	XII	0,252	183,436	137,577	2,866	0,179	65,48	1104,03	1 : 0,80	29,99
					Kazimierz Wielki: koronne.							
3	1333—70	768	VI	0.347	266,496	99,936	2,082	0,130	94,94	1520,66	1 : 0,79	49,45
4	1333—70	768	VI	0,285	222,184	83,219	1,734	0,108	114,00	1830.37	1 : 0,66	57,90
5	1333—70	768	VII	0,20	157.20	65,775	1,370	0,085	114,29	2325,64	1 : 0,51	66,73
6	1333—70	768	V	0,268	195,824	61,195	1,275	0,080	155,04	2471.00	1 : 0,48	69,04
№ 14	1333—70	768	V	0,24	185,50	58,00	1,208	0,075	163,70	2635,73	1 : 0,46	70,66
					Ludwik Węgierski: koronne.							
7	1370—82	768	VI	0,35	268,80	100,80	2,100	0,131	94,13	1509,00	1 : 0,80	49 00
					Jadwiga: koronne.							
№ 24	1384—86	768	$V^{9}/_{16}$	0,25	192,00	66,75	1,395	0,087	141,70	2272,18	1 : 0,53	51,44

Uwaga. Nie mieliśmy sposobności widzieć i uczynić analizy z denarka Piek. Nr. 5 i posiadanego w zbiorze p. Szaniawskiego; te dwa typy powinny stanowić przejściowy procent między denarkami Łokietka i Kazimierza Wielkiego i dla tego tak rażąco przedstawia się procent upadku denarów koronnych Kazimierza Wielkiego zaraz na wstępie.

Z powyższéj tabelki przekonywujemy się o powolném spodleniu denarów Kazimierza W-go. Zwracamy przytém uwagę na tę okoliczność, że każda przemiana rysunku na denarze, oraz ważniejsza zmiana w napisie, były widocznie czynione dlatego, aby skarb mógł łatwo rozpoznawać bite w lepszém srebrze i wycofywać, zastępując monetą nową, mającą mniéj ziarna srebra; a wycofane denary przekuwać na nowe, więcéj spodlone, to jest dla ułatwienia operacyi finansowych skarbu.

Wiktor Wittyg.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jan Jędrzejewicz. Kosmografia (tom IX seryi III Biblioteki Fizyczno-Matematycznéj).

Kto rozumie potrzebę umysłowego rozwoju narodu i wie, jak trudną i niewdzięczną jest jakakolwiek praca naukowa w naszych warunkach, ten nie może chyba nie czuć szczerego uznania dla p. Baranieckiego za energią, wytrwałość i trud, poniesiony przy wydawaniu Biblioteki Matematyczno-Fizycznéj. Dzięki jego inicyatywie i staraniom, a pomocy kasy Mianowskiego, literatura nasza zyskała w ciągu lat kilku 4-y książki dla początkowego nauczania (serya I-a), 3 książki z zakresu nauk, wykładanych w szkołach średnich (serya III a), i dwa dzieła z dziedziny matematyki wyższéj (serya IV-a; 3-i tom téj seryi znajduje się obecnie w druku). Cała biblioteka składać się będzie z 35 tomów.

Chociażby nawet, co z góry uważać można za rzecz nieuniknioną, nie wszystkie dzieła posiadały wartość jednakową i krytyka musiała o téj lub owéj książce wydać sąd surowy, to zawsze zasługa redaktora pozostanie zasługą, a *Biblioteka* przyniesie pożytek. Dotychczas plony pracy p. Baranieckiego pod względem wartości wewnętrznéj są bardzo bogate. Książeczki początkowe posiadają niepospolite zalety pedagogiczne, a *Analityczna Geometrya* pr. Zajączkowskiego i *Algiebra* p. Sochockiego zawierają bardzo umiejętnie usystematyzowaną współczesną wiedzę odpowiednich części matematyki.

Obecnie wyszła, jako tom IX seryi III, *Kosmografia* p. Jana Jędrzejewicza, lekarza wolnopraktykującego i właściciela obserwatoryum astronomicznego w Płońsku.

Wielu matematyków zwróciło zapewne uwagę, że w planie seryi IV Biblioteki niema wcale ani *astronomii sferycznéj*, ani *mechaniki niebieskiéj*. Przedmowa redaktora do Kosmografii tłómaczy obecnie to pominięcie tém, że ściśle naukowe studya astronomiczne znajdują u nas nielicznych zwolenników i powiększenie się ich zastępu w niedalekiéj przyszłości jest nieprawdopodobne. Jak gdyby dla zapełnienia w części tego braku, książka p. Jędrzejewicza miała w swojém założeniu być czemś więcéj, niż ściśle szkolny podręcznik. Zawiera też ona rozwinięcia i uzasadnienia kwestyj specyalniejszych i w sposób szerszy, niż to może być zrobione w gimnazyum.

Nam się wydaje, że racye, przytoczone przez redakcyą Biblioteki, nie usprawiedliwiają dostatecznie pominięcia astronomii matematycznéj. Wątpić należy, ażeby *rachunek waryacyjny*, zamieszczony w planie Biblioteki, znajdywał u nas więcéj zwolenników, niż astronomia, zajmująca jednak w historyi naszéj nauki kartę poważniejszą, niż którakolwiek inna gałąź nauk ścisłych. Znajdujemy również w planie *metodę najmniejszych kwadratów*, która posiada znaczenie przeważnie wskutek zastosowań w astronomii i przy niéj téż zwykle na katedrach i w książkach wykładaną bywa. Cała IV serya potrzebną i pożyteczną być może jedynie dla wychowańców, lub byłych wychowańców wydziału matematycznego, a ci zarówno są obznajmieni z teoretyczną astronomią, jak z każdą gałęzią wyższéj matematyki. Najbardziéj nawet po mistrzowsku rozszerzona kosmografia elementarna w żaden sposób braku ścisłych rachunków i wzorów nie zastąpi. Jeżeli w téj chwili nauka nasza nie posiada nikogo, coby mógł napisać oryginalne dzieło, to wypadało by może zaokrąglić Bibliotekę tłómaczeniem. Nadawał by się np. do tego tom 1-y (część teoretyczna) Astronomii sferycznéj Brünowa i Mechanika niebieska Resala. Oba te dzieła mają wyprobowaną wartość, i razem utworzyły by nie wielki nawet tom IV seryi, gdyż wypadło by pousuwać wstępne rozdziały czystéj matematyki, które tam zajmują wiele kart, a w Bibliotece znajdują się w innych tomach.

Z powyższych uwag nie wynika wcale, abyśmy rozszerzenie pracy p. Jędrzejewicza po za ramy podręcznika gimnazyalnego uważali za wadę książki. Przeciwnie. Nauczyciel znajdzie w niéj bardzo dzielną pomoc, a prócz tego szersze koła inteligencyi zyskały książkę wielce zajmującą, która nietylko naucza, lecz i rozprawia. Treść Kosmografii podzieloną została X rozdziałów; i jest mniéj więcéj taką jak we wszystkich tego rodzaju książkach, podawać jéj tu nie będziemy. Tylko rozdział, traktujący o ziemi, jest szczuplejszy i napisany pobieżniéj niż zwykle, gdyż Biblioteka zawierać będzie od-

dzielną *Geografią fizyczną*. Czytając jednym ciągiem książkę, rozbitą na szczegółowe ustępy z dowodzeniami matematycznemi o rzeczach znanych, niepodobna jest ocenić należycie drobniejszych przymiotów i usterek, zrobić to potrafią dopiero za parę lat nauczyciele, którzy przy wykładzie książką tą posługiwać się będą. Ogólne wrażenie praca p. Jędrzejewicza robi bardzo dodatnie, napisana jest z pewną elegancyą, ściśle, zajmująco i jasno. Prócz pojęć dokładnych o ogólnéj budowie i zjawiskach świata, czytelnik znajdzie tam bardzo wiele szczegółów i faktów, które go zapewne nieraz interesowały. Czytając książkę, czuje się w autorze astronoma bardzo dokładnie obznajmionego z przedmiotem, dane sięgają ostatnich dni. Prawdopodobnie też książka p. Jędrzejewicza należy do najlepszych, jakie u nas w ostatnich czasach wyszły. Czytaną ona być może (a nawet powinna) z pożytkiem i przyjemnością przez każdego średnio wykształconego człowieka.

Podamy tu kilka uwag, które się nam przy czytaniu nasunęły, może z nich autor będzie mógł skorzystać przy drugiém wydaniu, na które bez najmniejszéj kwestyi książka zasługuje.

Naprzód co do układu. Wielka szkoda, że p. Jędrzejewicz nie poprzedził swéj Kosmografii wstępem, który by zawierał zasadnicze pojęcia z geometryi analitycznéj i wyprowadzenie wzorów trygonometryi sferycznéj. Książka jest przeznaczoną dla czytelników, których ogół pojęcia nie ma o pierwszéj z tych nauk, tymczasem na początku zaraz wykładu znajduje się mowa o współrzędnych. Wprawdzie w seryi III Biblioteki mieści się trygonometrya sferyczna, ale kosmografia czytaną być może w szerszych kołach niż inne tomy. W szkołach średnich nauki téj nie wykładają, a nawet w uniwersytecie często dają o niéj pojęcie tylko na lekcyach astronomii; dla ogółu więc czytelników ustępy z wzorami trygometrycznymi są niedostępne. Zdałyby się także zasadnicze wiadomości z mechaniki, gdyż uprzystępniły by i ułatwiły dalszy wykład, szczególniéj w rozdziale o ruchu planet. W książkach nawet z zakresem uniwersyteckim (Brünow, Faye i inne) znajdują się takie wstępy, traktujące o wiadomościach z matematyki czystéj (geometryi i trygometryi sferycznéj) i mechaniki. Sam autor zresztą ucieka się do tego, gdy mu chodzi o wytłómaczenie czytelnikom postaci przecięć stożkowych.

Teorya zaćmień jest bodaj czy nie najtrudniejszą częścią astronomii, wymaga dokładnéj znajomości i łatwego oryentowania się wśród stosunków i zjawisk niebieskich, dla tego téż, według naszego zdania, rozdział ten powinien być umieszczony, po wykładzie o ruchu planet.

Zdaje nam się również, że teorya refrakcyi astronomicznéj powinna być nieco rozszerzoną. Z krótkiego ustępu w książce p. Jędrzejewicza czytelnik się nie dowie, jaką trudność w zadaniu stanowi niemożność dokładnego wyrażenia w sposób matematyczny prawa budowy fizycznéj atmosfery. Należało przytoczyć hypotezy, stawiane i przyjmowane pod tym względem przez różnych uczonych. Uważalibyśmy nawet za właściwe, gdyby autor podał jakieś wzory (bez wyprowadzania, lecz z objaśnieniami), naprzykład takie empiryczne, a często używane formuły Simsona i Bradley'a.

Co do drobnych szczegółów zauważyliśmy kilka niedokładności.

Libella nie jest „*walcową*“ rurką (str. 2).

Mars nie powinien być włączony do rozdziału o planetach *wewnętrznych* (gdzie indziéj jest naturalnie rzecz wytłómaczona właściwie).

Ruch postępowy słońca jest dotąd uważany pomimo wszelkie dowodzenia za hypotezę, autor zaś mówi o nim jako o rzeczy pewnéj zupełnie.

Niedokładnie p. Jędrzejewicz wytłómaczył mechaniczne przyczyny przypływu i odpływu morza. Woda na południku, najbardziéj odległym od księżyca, wznosi się nie dla tego, że jéj cząsteczki są słabiéj przyciągane ku środkowi ziemi niż inne, lecz dla tego, że są one przyciągane ku księżycowi słabiéj, niż środek.

Nareszcie co do zewnętrznéj strony książki, to wiadomo, że całe wydawnictwo p. Baranieckiego prowadzone jest bardzo starannie. Redakcya przeprowadziła wszędzie jednakową pisownię, propagowaną przez p. Kryńskiego, w czém zdaje się wyprzedziła wszystkie nasze pisma, wytrwale lekceważące zdanie kompetencyi. Ten tom, o którym mowa, szczególnie wymagał nakładu dla odpowiedniego zaprezentowania się światu; zawiera on 10 bardzo pięknych tablic i wiele rysunków, szkoda tylko, że te ostatnie nie wszystkie są jednakowo poprawne. Niektóre z nich są na czarnym tle, w innych znowu napisy i litery wyglądają bardzo nieestetycznie. Przykrość niemal sprawia jak po prawdziwie pięknym wizerunku perspektywicznym Saturna na tablicy IX ujrzy się rzut jego na figurze 187. Jestto jednak drobną rzeczą wobec daleko ważniejszéj zalety, szczególnie doniosłéj w książce z wzorami matematycznymi,—korekta książki jest doskonałą. Errata zawiera zaledwie kilka sprostowań.

L. Str.

Dwa nowe dzieła prof. Miklosicha

Etymologisches Wörterbuch der slavischen Sprachen, von Fr. Miklosich. Wien 1886, str. VIII. 548. — Dictionnaire abrégé de six langues slaves, ainsi que français et allemand, rédigé sous les auspices de son Altesse Impériale le prince Pierre d'Oldenbourg par le professeur F. Miklosich. St. Petersburg et Moscou. Vienne 1885, str. 955.

Kto tylko zajmował się nieco slawistyką, czuł bezwątpienia dotkliwie brak słownika porównawczego języków słowiańskich. I trudno było temu brakowi zaradzić, gdy dotąd prawie żaden z narodów słowiańskich nie ma doskonałego słownika swego języka. Wszak i nam jeszcze daleko do kompletnego słownika polskiego, jakkolwiek już trzy ćwierci wieku temu, jak się ukazało wielkie i znakomite dzieło Lindego. Nie mamy jeszcze słownika staropolskiego ani téż nie zebraliśmy z ust ludu całego skarbu językowego, daléj brak nam jeszcze kompletnego spisu nazw ludzi i miejscowości, a wszystko to dopiero razem może nam dać doskonały słownik języka polskiego. Tak samo prawie, jeśli nie gorzéj ma się rzecz z językami pobratymczymi; nic więc dziwnego, że nikt się jeszcze na to nie zdobył, by stworzyć słownik porównawczy wszystkich języków słowiańskich. Nie jednéj chwili to dzieło i rąk nie jednych, to téż wiele jeszcze zapewne upłynie wody, nim coś podobnego przyjdzie do skutku. Zadowólmy się więc choć tém co mamy i co nam obecna przynosi chwila.

Kiedy pierwszy filolog słowiański, nasz wielki L i n d e, drukował ostatni tom swego dzieła, przyszedł na świat drugi i największy dotąd slawista, M i k l o s i c h. Od pół wieku już prawie pracuje on na niwie naukowéj, badając budowę języków słowiańskich i szukając pochodzenia całego słow. skarbu językowego. Jemu to w znacznéj mierze zawdzięczają dziś wszyscy Słowianie dokładną znajomość swego języka, od niego też głównie cudzoziemcy się uczą języków słowiańskich. Teorye językoznawcze mogą się jeszcze nieraz zmienić, materyał jednakże, zawarty w jego pracach, będzie na długie czasy jednėm z główniejszych źródeł wiedzy. Do czterotomowéj gramatyki porównawczéj, w któréj Miklosich złożył najgłówniejsze rezultaty swych badań szczegółowych, przybywa obecnie nowy podręcznik, który się stanie niezbędnym tak dla slawistów, jak i dla wszelkich innych językoznawców, zwłaszcza indoeuropejskich. Jestto wyżwymieniony s ł o w n i k e t y m o l o g i c z n y j ę z y k ó w s ł o w i a ń s k i c h, który nam na razie musi zastąpić tak pożądany ogólny słownik porównawczy.

Dzieło to jest prawdziwą koroną dotychczasowéj działalności Miklosicha. Najpierw bowiem zebrał on tu cały materyał językowy,

z jakim kiedykolwiek miał do czynienia, a następnie uporządkował go stosownie do teoryi, głoszonych w swych pracach. Uwzględnił on tu nietylko wszystkie główniejsze języki słowiańskie, lecz także i narzecza słowackie, kaszubskie i wymarłe połabskie, umieszczając w swéj pracy wszystko, co tylko znalazł w różnych słownikach i tekstach. Dyalektologia jako téż starsza doba języka znalazły tu również uwzględnienie, najwięcéj jednakże w grupie południowo-słowiańskiéj. U nas np. dałoby się w tym kierunku już teraz wiele uzupełnić, a co nam jeszcze przyszłe przyniosą lata, nie wiemy. Nie znajdujemy tu np. wyrazów: chąźba, chąziebny; ciosna, ciosnka; chrzebiet, jimienie, krechki, krechkość; krewki, krewkość; odmłodź, młodzież, młodzieniec (tylko: młody); lwowski, lwi, lwica (tylko: lew, lwię); zaszyjek, poszyjki, poszyjkować, naszyjnik (tylko: szyja, naszelnik); uczliwy, poczliwy, i wielu a wielu innych, którychbyśmy się spodziewali na pewno w tym słowniku. Nawet takich wyrazów tu nie ma, jak śliczny, wybredny, zagajać, wiklina, smuga, ruczaj, daléj wielu przyswojonych, jak: berbenica, bułat, buzdygan, chałat, cokół, czekan, dzianek, gula, guzdrać się, horda, jasiek, kosz (namiot), kukurudza, litkup, luźny, ogar, spiż, tymian, wisłówka (wiśniówka), wizerunek, nie mówiąc już o takich, które się zna dotychczas dopiero z jakiéj pieśni ludowéj, jak np. asyn (krew). Odpowiednie im wyrazy z innych języków słowiańskich są tu po większéj części, lecz za to znajdziemy gdzieindziéj braki. Tak np. wśród ruskiego materyału językowego nie widzimy wyrazów: gerdàn (téż gòrďan), čička, mazùr (téż madzùr), semèn, sałamàcha, i wielu innych, tak swojskich jak przyswojonych. Nie możnaby więc powiedzieć nawet w przybliżeniu, że dzieło to zawiera kompletny skarb mowy słowiańskiéj, bo i nazwiska osób, jakotéż miejsc, są tu tylko rzadko uwzględnione. Pomimo tego materyał tu zawarty jest bardzo obfity i dość przejrzyście uporządkowany.

W łacińskim porządku alfabetycznym ułożone są najpierw rozmaite rdzenie, osnowy, jakotéż wyrazy słowiańskie, tak swojskie jak i przyswojone. Po każdéj z form takich, która ma najczęściéj idealną postać prasłowiańską, następują wszystkie wyrazy, dające się z niéj wyprowadzić a istniejące w różnych językach słowiańskich. I tak najpierw umieszczone są wyrazy starosłowiańskie, następnie słowieńskie, bułgarskie, kroackie, serbskie, czeskie, słowackie, polskie, kaszubskie, połabskie, górno- i dolno-łużyckie, ruskie i biało-ruskie, a wreszcie rosyjskie.

Rdzenie, umieszczone w nagłówkach, występują najczęściéj w stopniu średnim (Mittelstufe), np. jes- (jestь, jest), vez-

(vezą, wiozę), g e d- (žьdą, żdę), g e r- (žьrą, żrę), k e n- (čьną, pocznę), v e r t- (vrъtěti, wiercić), e n z- (vęzati, wiązać), v i d- zamiast *v e i d- (viděti, widziéć), i- zam. *e i- (idą, idę) i t. p. Wobec tego razi taka np. niejednostajność jak stopień wyższy (Hochstufe) g o n d- (gądą, gędę), albo stopień niższy (Tiefstufe) s v ĭ t- (svьtěti). Tę formę ostatnią mają prawie zawsze rdzenie słabe na ŭ, np. s ŭ c h- (sъchnąti, schnąć), s l ŭ- (sluti, slovą). Niekonsekwencya ta nie da się wytłómaczyć żadną teoryą zasadniczą, bo jeżeli można było postawić v e l d- na czele takich form jak: v l a d ą, v l a s t ь, w ł o ś ć, i t. p., to z pewnością można téż było umieścić wyrazy: gądą, gąślь; gędę, gęśl, i t. p. pod nagłówkiem g e n d-. Form s v i t-, s u c h-, s l u- (zamiast *sveit-, *seuch-, *sleu-) nie pozwoliły umieścić Miklosichowi jego teorye; zdaniem bowiem jego pierwsza z tych form powstała przez w z d ł u ż e n i e pierwotnego ĭ, następne zaś przez s t o p n i o w a n i e pierwotnego ŭ. W takim razie użycie form i-, v i d- (patrz wyżéj) tłómaczy się tu tylko względem praktycznym; wzgląd ten jednakże byłby niewątpliwie korzystnym téż przy użyciu form s v i t-, s u c h-, s l u-, a nadto—co więcéj—uniknęłoby się niejednostajności i ułatwiło przegląd całego materyału językowego.

Jak z tego już widać, występuje tu Miklosich w obronie staréj teoryi t. zw. g u n y, i wyłuszcza w przedmowie powody, jakie go niby zniewalają stale się jéj trzymać (por. téż str. 94 pod *i* 3). Zdaniem jego w sanskr. á s m i (jesmь) jest *a* pierwotne, podczas gdy w ē m i (zam. *a i m i, por. gr. εἶμι) zjawiło się ono późniéj; odwrotnie w s m á s (śmy, jesteśmy) odpadło *a* pierwotne, podczas gdy w i m á s (gr. ἴμεν) pierwotne *i* występuje. Utrzymuje on daléj, że pierwotne ĭ „wzdłuża się“ w niektórych językach indoeuropejskich w *ei*, a w słow. w *i* (str. V), i uczy najfałszywiéj w świecie, że jak skr. v ē d a : v i d-, gr. Ϝοῖδα : Ϝιδ-, goc. v a i t : v i t-, tak samo słow. v ě d- (vědě, wiem): v i d- (viděti, widzieć) str. 394. Jesteśmy pewni, że taka nauka nie przekona przeciwników guny, zwłaszcza gdy sam prof. M. po wyczerpaniu swych argumentów widzi się zmuszonym wyznać: „Die Sache ist schwierig“ (str. V). Sądzimy więc, że raczéj z uporu niż z przekonania nie chce M. uznać dzisiejszéj nauki o wymianie samogłosek (Vocalablaut). Wszelka zmiana w wokalizmie jest jeszcze dla niego jak dawniéj jużto z w ą t l e n i e m (Schwächung), np. berą : bьrati, jużto w z m o c n i e n i e m (Verstärkung), które znowu bywa dwojakiego rodzaju, mianowicie: *a*) s t o p n i o w a n i e (Steigerung) np. berą : b*o*rъ, svьt- : světъ, dъch- : d*u*chъ; lub téż *b*) w z d ł u ż e n i e (Dehnung np. svьt- : sv*i*tati, dъch- : d*y*chati. Nadto zna jeszcze M. z a b a r w i e n i e (Lautfärbung), zależne od dźwięków sąsiednich, i widzi je np. w skr.

d î r g h a- (długi) z *dergha-, p û r ṇ a (pełen) z *perna. Nauka jednak dzisiejsza całkiem inaczéj tłómaczy te formy, mianowicie skr. dîrgha-, pûrṇa- z indoeurop. *dl̥gho-, *pl̥no-, słow. zaś, dłъgъ płъnъ z indoeur. *dl̥gho-, *pl̥no-; tu mamy nieubłaganą konsekwencyą faktów, podczas gdy zdanie Miklosicha jest czysto podmiotowe.

Lecz idźmy daléj. Prócz rdzeniów tego rodzaju, o którym mówiliśmy dotąd, mamy tu także rdzenie z pierwotną samogłoską długą, jak b y- (byti, być), d a- (dati, dać), d ě- (děją, dzieję). W tym znowu wypadku zmuszony jest M. niekiedy przyjmować podwójne rdzenie, np. obok s t a- (stati, stać), d ě- (dětę, dziecię) także s t i-, d i-, z których zdaniem jego przez „stopniowanie" powstały formy s t o j ą (stoję), d o j ą (doję) zupełnie tak samo, jak z rdzenia p i- (piti, pić) forma p o j ą (poję). W takim samym stosunku jest zdaje się k i- (po čiti, po-koj) do k a- (kają sę), jakkolwiek je M. rozdziela od siebie. Wreszcie są tutaj liczne rdzenie ze samogłoską długą, zakończone na spółgłoskę lub nawet na dwie, jak j a d- (jamь, jém), p a s- (pasti, paść), r ě z (rězati, rzezać), l j u d- (ljudъ, lud), p i l- (pilьnъ, pilny), p i s k- (piskъ, pisk), v y k- (vyknąti, wyknąć) najrozmaitszéj daty i pochodzenia. Gdy bowiem np. j a d- (z *j ě d-) polega na wzdłużeniu samogłoski rdzennéj w dobie litewsko-słowiańskiéj (lit. édmi, por. gr. ἔδω, łać. edo, goc. i t a), to obok niego zaraz jest drugie j a d- (jadą, jadę), które ma już z czasów indoeurop. samogłoskę długą (por. skr. zend. j ā-, lit. j ō-t i), lecz w dobie litewsko-słow. pozyskało *d* (por. lit. jó*d* inti). Niektóre zaś inne z tych rdzeniów uważać należy raczéj za osnowy imienne lub słowne.

Lecz i w o s n o w a c h nie ma konsekwencyi. Tak np. obok k r e m e n- (kremy, krzemień), i m e n- (imę, imię), p l e m e n- (plemę, plemię); t ě l e s- (tělo, ciało) n e b e s- (nebo, niebo), k o l e s- (kolo, koło); m a t e r- (mati, macierz), d ŭ š t e r- (dъšti, czes. dci, cera; pols. córa); t e l e n t- (telę, cielę), — czytamy w nagłówkach: k a m o n- (kamy, kamień), o k o s- (oko), u c h o s- (ucho), č u d o s- (čudo, cudo), i g o s (igo, por. Igo-łomia), itp. Czyż nie lepiéj już było w takich osnowach spółgłoskowych wychodzić wszędzie ze stopnia średniego (Mittelstufe) przyrostków? Wszak nawet względy praktyczne nie wytłómaczą téj niejednostajności; bo jeżeli pod k r e m e n-, k o l e s- można było umieścić formy stsłow. k r e m y, k o ł o, to tak samo należało dla stsłow. k a m y, č u d o, przyjąć nagłówek k a m e n-, č u d e s-. Widoczna więc i tu walka starszych zapatrywań z nową nauką, która jednakże odnosi wreszcie pewne zwycięstwo. Kiedy bowiem już całe dzieło a nawet dodatki i poprawki (Nachträge, Berichtigungen) były wydrukowane, widział się M. zmuszonym w ostatecznych poprawkach na końcu przedmowy (str. VII) wyznać, że „richtiger ist es von č u d e s

auszugehen.“ Chce on to wprawdzie wytłómaczyć podług swojéj teoryi, że „*e* przechodzi w *o*, nie zaś *o* w *e*;“ szkoda jednak, że argument ten tak późno przyszedł mu na myśl, inaczéj bowiem mielibyśmy w tém dziele większą jednostajność. Osnowy samogłoskowe występują tu zwykle w formie stsłow. mianownika l. poj. np. cerky, (cerkiew), synŭ (syn), pontĭ (pątь, por. pątnik), bogŭ (bóg), konĭ (koń), věno (wiano), pletje (pleŝte, plece), žena (żona). W takiéj mniéj więcéj postaci okazują się także rozmaite wyrazy przyswojone.

Pisownia idealnych form prasłowiańskich zbliża je pod pewnym względem do innych języków indoeurop., lecz za to oddala od języków słowiańskich. Tyczy się to głównie oznaczania prasłow. samogłosek nosowych przez en, on, daléj znaczków ĭ, ŭ, które tu zastępują stsłow. ь, ъ, jakotéż pisowni ke, ge, zamiast če, že. Jednakże jak samogłoski nosowe powstały już w dobie prasłow. nietylko z pierwotnych en, on, tak samo znaczki ь, ъ, zastępują nietylko pierwotne krótkie *i*, *u*, ale i inne dźwięki. Dlatego najlepiéj by zdaje się było zostać przy téj pisowni, jakiéj Miklosich używa dla języka starosłow. to znaczy: prasłow. samogłoski nosowe oznaczać przez ę, ą, i zatrzymać znaczki ь, ъ, które już dziś obok czcionek łacińskich nie tak źle wyglądają. Tak samo bylibyśmy za pisaniem čen-, žed- zamiast ken-, ged- itp., bo przecież formy čьną (čęti), žьdą (žьdati) są bez wątpienia prasłowiańskie. Prawda, że należą tu także formy konъ godъ, itp. można je jednak albo rozdzielić, albo téż dla lepszego przeglądu zostawić razem napisawszy w nagłówku: čen-, kon-; žed-, god-. itp. Rozumie się, że tak samo pisalibyśmy č, ž, zamiast k, g, i przed innymi refleksami pierwotnych samogłosek miękkich, a wtedy bez wątpienia charakter słowiański form takich byłby wyraźniejszy. Nadto uniknęłoby się i w tym wypadku niekonsekwencyi; dość bowiem spojrzeć w tym słowniku pod litery Č i Ž, by się przekonać, że nie zawsze pisze Miklosich ke, ge; ki, gi, w formach prasłow. por. rdzeń gi- (goić) i živ- (żywy). Wymaganie nasze nie odnosi się jednak do takich form, jak Miklosichowe gerbŭ (grъbъ, garb), gerdŭ (grъdъ, gardy), itp.; tu bowiem nie o pisownią samą chodzi, lecz raczéj o teoryą fonetyczną. Zdaniem naszém nie ma tu racyi pisać *e*, bo z takich form przedsłowiańskich możnaby oczekiwać w stsłow. tylko *žrěbъ, *žrědъ, a w pols. *źrzeb, *źrzed; por. stsł. žrěbę, žrělo, pols. źrzebię, źrzódło; wyrazilibyśmy je więc raczéj przez *gъrbъ, *gъrdъ. Tak samo pisalibyśmy *vьlkъ, vъlkъ (vlъkъ, wilk, lit. vilkas), a nie velkŭ.

Na wiele procesów głosowniowych zapatrujemy się w ogóle zupełnie inaczéj. Nie widzę np. racyi w objaśnianiu pols. słych ze *slŭchŭ, słynąć ze *slŭnąti, itp. od kiedy wiadomo, że rdzeń sly- pochodzi już tak samo z doby indoeur. (k'lū-). jak slŭ- (k'lu-). W jaki sposób z *kamon powstaje kamy (str. VIII), także trudno sobie już dziś wytłómaczyć. Wszak z *vьlko-n (biernik. l. pol. gr. λύκον, lit. vilką, skr. vrkam) powstaje *vьlkŭ, z *neso-n (aoryst, por. ἔφερον, skr. ábharam) mamy nesъ; tak samo więc z *kamon powstałoby tylko *kamъ. Z tego wynika, że kamy ma za podstawę inną formę, którą być może tylko *kamōn. Forma ta jest zresztą indoeuropejską, por. gr. ἄκμων, lit. akmů, skr. aśmā, łać. homō. Z niéj powstaje podług praw głosowych słowiańskich najpierw *kamūn, następnie *kamū, a wreszcie kamy; każdy krok tego przejścia jest uzasadniony. Moglibyśmy się téż spytać, w jaki sposób z imiono powstaje miano (str. 94), lub w jakim związku fonetycznym stoi słow. smuga z wyrazem smagły (str. 311), lecz dajmy temu spokój; bo nie z gramatyką, lecz ze słownikiem mamy tu do czynienia.

Autor stara się objaśnić też pochodzenie każdego wyrazu, podając przy słowach swojskich odpowiednie wyrazy z innych języków indoeuropejskich, przy obcych zaś odpowiednie wyazy z tych języków, z których mogly być przyswojone. Czyni to zaś z taką skrupulatnością, że jeśli jaki wyraz nie ma odpowiednich notatek, można być prawie pewnym, że jego pochodzenie jeszcze do dziś niejasne. Sądzimy więc, że M. tylko przeoczył dać przy niektórych tak jasnych wyrazach, jak nebo (niebo), sokъ (por. osoczyć, osaczyć), prócz litewskich odpowiednie wyrazy z innych języków pokrewnych, jak to czyni przy četyri, dŭšter-, liz, sněgŭ, i tylu innych. Możnaby więc przy piewszym dodać gr. νέφος, skr. nabhas, łać. nebula, kymr. nef; przy drugim a względnie przy rdzeniu sek-: łać. sequor, gr. ἕπομαι, skr. sačatē, stir. do-seich, itd. Wiele innych takich wywodów możnaby tylko uzupełnić, jak np. przy nes- (nieść) dodać łac nanciscor, przy griva gr. δειρή, δέρη; przy žerb- (źrzebię) gr. δελφύς, ἀδελφεός i βρέφος; przy morvŭ (mrówka) kymr. morion, orm. mrdžimn; przy tynŭ (por. Tyniec) kymr. din; przy derz- (dziarski) gr. θρασύς, skr. dhršu-. co jednakże nie jest rzeczą niezbędną. Może z ostrożności tylko unika M. takich zestawień, jak rek- (reką, rzekę) z lit. rekiu (krzyczę), łać. loquor, gr. λάσκω; niva (niwa) z gr. νειός, anglosas. neowol; korva (krava, krowa) z łać. cervus, gr. κρίος. glipati rus. hlypaty) z gr. βλέπω, koch- (kochać, roz-kosz) z gr. κασις (żona), κασί-γνητος, itp. Etymologie te jednakże nie są gorsze od wielu innych, adoptowanych przez Miklosicha; mo-

żna je więc było śmiało uwzględnić, témbardziéj że niekiedy M. aż nadto wierzy wywodom uczonych niemieckich, choćby i najmłodszych. Tak np. przyjmuje za dobrą monetę wywód niem. Weichsel (Wisła) z pragerm. Vīhslā; że to twierdzenie nie ma najmniejszéj racyi, wykazaliśmy już w „Pracach filolog." I, 168 nn. jakotéż w Kuhn'a Zeitschrift für vergleichende Sprachforschung, XXVIII, 210 nn. Autor godzi się na to, że chleb, chyż (dom), kubeł, pochodzą z germańskiego, uważa to za możliwe także co do wyrazów mleko, chlew, osieł, i wielu innych. Wyraz buda uważa z germanistami za słowiański, co się zaś tyczy pochodzenia wielu innych takich wyrazów spornych, pisze krótko „unbekannten Ursprungs" (np. pług), lub „unerklärt" (np. kutija). Że Słowianie oddzieliwszy się od Litwinów zmienili swe *sęto może pod wpływem formy irańskiéj w sъto (sto), nie wspomina wcale, broni jednakże słowiańskiego pochodzenia wyrazu tysiąc. Wyraz ten znany jest tylko językom litewsko-słowiańskim i germańskim, otóż niemieccy uczeni lubią utrzymywać, że Słowianie z Litwinami przyjęli go od Germanów, jakkolwiek nie mogą sobie wyjaśnić pierwotnego jego znaczenia. Miklosich zaś przypuszcza, że jestto imiesłów teraźniejszy słowa tys-, które może być w związku z rdzeniem indoeur. tu- (stsł. tyti, tyć; skr. tu-, rosnąć) i oznaczać „tyjącą" tj. „wielką liczbę." W takim razie forma staropruska tūsimtons (biernik l. mn.) zgadzałaby się ze słowiańską, lit. tukstantis i łotys. tūkstots byłyby nieco zmienione może pod wpływem słowa tukti, tūkt (tyć), a germ. *tûsnti lub *tûsontî (goc. thûsundi-, ang. thousand, niem. Tausend) możnaby w takim razie uważać za przyswojone ze słowiańsko-litews. już w dobie najdawniejszéj.

Z wyrazów obcych, przyswojonych przeważnie w dobie historycznéj, uwzględnia autor przedewszystkiém te, które do nas przybyły ze Wschodu przez Turków lub z Zachodu przez Niemców. Wyrazów technicznych ogólnie-europejskich, jak alfabet, telegraf, lingwistyka, sympatya, itp. nie znajdujemy w tym słowniku, i to całkiem słusznie; bo nieskończona prawie ich liczba utrudniłaby tylko przegląd reszty materyału językowego. Wyraz sukmana zestawia M. ze słowem sukno pod sŭk-, pytanie jednak, czy nie jestto tur. sukman. Z tureckiego pochodzi zdaje się także rus. stakàn. Wyraz dyszel bliższy jest formie dolno-niemieckiéj dissel, aniżeli górno-niem. dīhsala (Deichsel); podobnie lit. dīselīs. W tym kierunku byłoby tu więc niejedno jeszcze do poprawienia. Nadmienić wreszcie należy, że M. uwzględnia także rozprzestrzenianie się wyrazów słowiańskich w innych językach sąsiednich, zwłaszcza w węgierskim, rumuńskim, albańskim

i nowogreckim; co się zaś tyczy litewskiego, odsyła czytelników do znanéj pięknéj pracy Brücknera „Lituslavische Studien.“

Jeszcze jedna uwaga. Dzieło to robi wrażenie, jak gdyby prof. M. znał niektóre języki—i to nawet słowiańskie—tylko z pisma, nie zaś z ust żywych. Inaczéj bowiem nie pisałby, że p o l s. mołodziec (mołojec, mołodyca), wołość, sorok, korowaj, kormysła, dereń, itp. pochodzą z r o s y j s k i e g o, lecz z r u s k i e g o. Pisownią o*l*brzym, *l*ampa, rus. der*n*e (zam. der*ń*e) policzyć zapewne należy na karb błędów drukarskich. Że nasz L i n d e jest dla Miklosicha powagą nawet co do jego języka ojczystego tj. słow*ie*ńskiego (por. str. 228, pod ostronga), cieszyć nas to powinno niemało.

Pomimo tych wszystkich wad, jakieśmy tutaj wytknęli, książka najnowsza prof. Miklosicha jest bardzo użyteczną i odda niewątpliwie ogromne usługi tak gramatykom słowiańskim jak i badaczom języków indoeuropejskich w ogóle. Szukanie ułatwia umieszczony na końcu (str. 433—545) w y k a z alfabetyczny wyrazów, trudniejszych do znalezienia pod nagłówkami słownika.

Drugi słownik wyżwymieniony, który się ukazał jeszcze w jesieni roku zeszłego, jest tylko „zestawiony pod redakcyą prof. F. Miklosicha.“ Ma on głównie cel praktyczny na oku; dlatego nie można go nawet porównywać z dziełem czysto naukowém, o którém wyżéj rozpisaliśmy się tak obszernie. Jak już sam tytuł wyraża, zawiera on tylko sześć głównych języków, a to : starosłowiański, rosyjski, bułgarski, serbski, czeski i polski. Wprawdzie język słowieński, jakotéż łużycki i ruski są w obec nauki z nimi zupełnie równouprawnione, nie uwzględniono ich jednak zapewne dla tego, że w literaturze lub raczéj w polityce mniejszą one dotychczas grają rolę. Główne miejsce zajmuje tu język r o s y j s k i; możnaby nawet powiedzieć, że jestto właściwie słownik języka rosyjskiego przeznaczony do użytku Niemców, Francuzów, jakotéż innych znaczniejszych Słowian. Ten bowiem tylko potrafi korzystać z téj książki, który się umié obchodzić ze słownikiem rosyjskim. Wyrazy starosłow. umieszczone wraz z rosyjskim w pierwszéj kolumnie, służą niejako tylko do objaśnienia p o c h o d z e n i a wyrazów rosyjskich, których z n a c z e n i e wyrażone jest w sześciu innych językach. Wprawdzie znaczenia francuskie i niemieckie w dwu ostatnich dopiero umieszczone są łamach, widocznie jednak tworzyły one pierwotnie wraz z materyałem rosyjskim najzwyklejszy słownik podręczny rosyjsko-francusko-niemiecki, i to nie bardzo zupełny. Cała więc praca redaktora ograniczyła się widocznie na dodaniu wyrazów starosłowiańskich; resztę zrobili jego współpracownicy, a to N i k o l s k i j dodając znaczenia bułgarskie, N o v a k o v i ć serbskie, M a-

tzenauer czeskie, a Brückner polskie. W tym porządku zajmują one cztery równoległe łamy środkowe. Wyrazy starosłow. pisane są cyrylicą, rosyjskie, bułgarskie i serbskie graždanką, a reszta pismem łacińskiém.

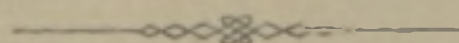
Bardzo pożądaną byłaby tu większa nieco jednostajność w opracowaniu. Przeglądając tę książkę, możnaby czasem myśléć, że język bułgarski jest najbogatszy, jeżeli np. ros. czaroděj, czaroděj-ka oznacza dziesięcioma wyrazami, lub np. nasze walać, mazać dziewięcioma. Słowa wyrażone są wszędzie przez wyraz bezokoliczny, tylko w łamie bułgarskim przez 1 osobę l. poj. czasu teraźniejszego, bo, jak wiadomo, w języku tym zaginął bezokolicznik. W obec tego jak téż i z innych względów lepiéj by może było, gdyby użyto wszędzie formy teraźniejszości.

Różne znaczenia słowiańskie są tu po większéj części przekładem znaczeń niemieckich i francuskich, np. ros. voń : bułg. vonja, smrad, łoša mirisma; serbs. smrad. zadach; czes. nepříjemny zápach, smrad; pols. smród; fr. la mauvaise odeur, puanteur: niem. der Gestank; lub ros. studeń : bułg. dekemvrij, serb. staro ime meseca dekembra, czes. starobylé jméno měsíce prosince, pols. grudzień; fr. ancien nom du mois de décembre; niem. alter Name des December; albo ros. Korabelščik : bułg. stopanin na gemija ta, serb. imałac ładże ili brada; czes. patron korabu, lodě; pols. szyper; fr. le patron d'un navire, niem. der Schiffer. Jak widać już tych przykładów, część polska lepiéj jest opracowana niż inne; mogłaby być jednakże jeszcze dokładniejsza; np. obok alfabet, ambona, itp. można było umieścić wyrazy swojskie abecadło, kazalnica, itp.— ros. bredeń zowie się u nas brodnia (Linde), itd. Słusznie ros. požarnyj przekłada p. Brückner : pożarowy, ogniowy; bo wyraz pożarny stworzono dopiero niedawno w Galicyi.

Nie zatrzymując się dłużéj nad tą książką, która nie ma zapewne pretensyi do wartości naukowéj, dodamy tylko, że może ona nie źle służyć w pewnych celach praktycznych.

Dr. Jan Hanusz.

Wiedeń, w marcu 1886.





KRONIKA MIESIĘCZNA

Zagadki szczęśliwych i nasze kłopoty. — Co sobie myślą pruscy dziennikarze? — Nietakt „Gazety Olsztyńskiéj“. — Poznańskie gorycze. — Nieprawdopodobne! — Wyprzedaże w Wielkopolsce i jezuici w Galicyi. — Pytanie niedorozwiązania o nafcie. — Opinia publiczna i zdrajcy. — Dunajewski, Żyblikiewicz i komitet Mickiewiczowski. — Szkoła rusińska.—„Towarzystwo historyczne.“—Szemrania i protesty przeciw artykułowi „Kraju.“ Głos „Prawdy“ i głos prof. Rostafińskiego. — O jakich kursach mowa? — Opieka nad uniwersytetami i ferwor polemiczny. — Przykład p. Kossutha.—Opieka prasy nad nauką i sztuką. — Drobne wiadomości.

Bywają chwile, epoki całe nawet w rozwoju myśli ludzkiéj, kiedy filozofowie i zwykli śmiertelnicy są najgłębiéj przekonani i przekonywają innych, że umysł nasz przenika nieodparta żądza rozwiązywania zagadek nierozwiązalnych. Ma to być jak gdyby potrzeba nieustannego ścigania jakiejś chimery, któréj żadnym zmysłem dotknąć nie można i którą odgaduje się fantazyą. Podobne potrzeby są rodzajem zbytku ducha, rodzą się i plenią w czasach szczęśliwych, wśród narodów, żyjących w pomyślności, u ludzi, wolnych od trosk. Nie ma czém się kłopotać na ziemi i myśl, jak balon p. Miłosza, pozbywszy się pasażera, pędzi lekko pod obłoki. Czy naprzykład w bieżących latach ma w całéj Polsce ktokolwiek usposobienie do wdzierania się w tajemnice pozaświatowe? Gdzietam! Straszny chór klęsk, który nas trapi rankami i wieczorami, we dnie i w nocy, wszystkie siły ducha skupił nad ogadywaniem przyszłości ziemskiéj. Straciliśmy nawet ochotę a bodaj i możność przemyśliwania nad ogólnym stanem naszym, całą istotę pochłonęło borykanie się z drobnymi kłopotami i groźbami. Nie dowodzi to zresztą, żeśmy — jak głoszą różni statyści gazeciarscy i parafialni — żeśmy „zmądrzeli“, gdyż duch ludzki jak stalowa sprężyna, ustępuje i gnie się, ale późniéj wraca do dawnych kształtów. Tymczasem jednak jesteśmy usposobieni do łamania sobie głowy nad bardzo drobnemi zagadnieniami.

Mnie naprzykład w téj chwili zajmuje niesłychanie, co sobie myślą niemieccy dziennikarze i pruscy mężowie stanu, utrzymując bez uśmiechu na ustach, że Polacy wypychają zewsząd żywioł nie-

miecki. Gdyby ktoś poważnie twierdzić zaczął, że kamień, położony na ziemi, wzlatuje sam przez się w górę, to by go zawieźli do Jana Bożego i nikt by nie wątpił o smutnym stanie zmysłów biedaka. Tymczasem ci synowie plemienia, które zalało cały świat słowiański od Elby aż do Warty, które zagony zaborcze rozpościera daleko po za Wisłę, twierdzą coś wcale nie mniéj dalekiego od oczywistości i podobno żadnemu z nich nawet plamka czerwona wstydu na czoło nie wystąpi. Co oni sobie wtedy myślą? Gazety poznańskie probują perswadować tym panom, tłómaczą, dają liczby, wskazują fakty; wygląda to tak, jak gdyby ktoś starał się przekonać wilka, że niepotrzebnie tępi owce, gdyż one z nim w walce o byt straszne nie są. Tłomaczenia jednak gazet naszych pozwalają Polakom dokładniéj poznać położenie rzeczy i są przezto pożyteczne; łatwo więc zrozumieć racye ich pracy, choć same one mogą i muszą być przekonane, że głównego celu dopiąć niepodobna. Ale o co chodzić może Niemcom? Kłamią, jak gdyby dla sztuki kłamania. Boć przecie ani nas nie omamią, ani świata nie oszukają, ani sobie sumienia nie uspokoją. Wszyscy wiedzą doskonale o co chodzi. Co oni sobie mogą myśléć?

Na Warmii powstało nareszcie pisemko polskie „Gazeta Olsztyńska"; wszyscy ludzie o zdrowych zmysłach spodziewali się zapewne, że pismo to bronić będzie praw języka, którym przemawia; co może być naturalniejszego? Tymczasem nietylko oficyalny organ ks. Bismarcka, ale nawet katolicka, proszę uważać, katolicka „Ermlaendische Zeitung" dziwi się, udaje zgrozę, że polskie pismo pragnęło by czytać listy pasterskie po polsku!

Korespondenci z Poznania twierdzą, że rodacy nasi, cieszący się obywatelstwem pruskiém, skupiają siły i rezolutnie przygotowują się do wytrwania pod gradem niszczących pomysłów. Chciało by się wierzyć tym zapewnieniom, pełnym otuchy, ale niestety wątpliwości pomimo chęci wciskają się do myśli i serca. Pierwszym warunkiem skuteczności obrony wobec takiego strasznego napadu jest wewnętrzny ład, zgoda wśród broniących się. Najbardziéj znamiennym rysem siły zbiorowéj jest solidarność. W Poznańskiém jakoś tego nie widać; rozgoryczenie, podejrzliwość zdaje się nastrajać wszystkich przeciwko wszystkim, lub przynajmniéj wielu przeciwko wielu. Jedni oskarżają szlachtę o brak patryotyzmu, o zdolność do pogodzenia się z ks. Bismarkiem za podwyższenie dochodów z gorzelni, inni znowu zarzucają pewnym pismom przesadę w uczuciach narodowych. Niedawno obiegała gazety alarmująca wieść, że hr. Józef Mielżyński sprzedaje dobrowolnie klucz miłosławski księciu saksen-altenburskiemu, pogłoska ta nie sprawdziła się dotąd. „Orędownik"

znowu świeżo podał okropne, w całém znaczeniu tego wyrazu okropne, oskarżenie: „W tych dniach przybyło do Poznania dwóch obywateli (Polaków?—pyt. „Aten.“) z Mogilnickiego, aby na audencyi u naczelnego prezesa poprosić go, żeby jako przewodniczący komisyi kolonizacyjnéj nabyć zechciał dla rządu ich wioski. Gdy im wytłómaczono, że w Poznaniu niema jeszcze takiéj komisyi i że pan naczelny prezes nie jest jéj przewodniczącym, poszli markotni, że się swéj ojczystéj ziemi pozbyć nie mogli taką drogą.“ Wieść wydaje się nam zupełnie nieprawdopodobną. Istnienie podobnych ludzi jest dla nas moralném niepodobieństwem; gdyby tacy znaleść się mogli wśród obywatelstwa polskiego, to przecie ks. Bismark nie potrzebował by brać od parlamentu 100,000,000 marek. A z drugiéj strony chyba Polaka, chcącego sprzedać wioskę rodzinną, żaden Niemiec w Poznaniu, a cóż dopiero prezes naczelny nie odesłałby z kwitkiem. Pomimo jednak takiego nieprawdopodobieństwa ciężki smutek ogarnia, czytając podobne słowa. Jaka duszna musi być atmosfera, zarażona goryczą, jeśli wśród niéj takie wieści rodzić się mogą i liczą na znalezienie wiary? Czy godzi się alarmować opinią, jeżeli fakt nie jest pewny? czy nie należy wskazać winowajców z imienia i nazwiska, jeżeli prawdziwość wypadku nie ulega wątpliwości?

Są téż smutne wieści i prawdziwe zupełnie. Majątek Pawłowo, 8560 morgów ziemi, przeszło z rąk hr. Miączyńskiego w posiadanie Matzdorfa i spółki za 850,000 marek.

Po usłyszeniu początkowych słów zamiarów ks. Bismarcka, w pierwszyah chwilach zgrozy i przerażenia mówiono o organizowaniu jakichś systematycznie działających środków obrony. Przebąkiwano coś o możnéj pomocy milionowych panów galicyjskich. Teraz wszystko umilkło, nie doszło nawet do poważniejszego gadania. W „Dzienniku Poznańskim“ p. J. M. z M., znany obywatel, ogłosił list wzywający do utworzenia banku akcyjnego w celu skupowania majątków ziemskich na licytacyi i rozparcelowywania późniéj takowych. Wnioskodawca oświadczył gotowość podpisania się na 15 tysięcy marek. Głos ten nie wywołał żadnego echa, jak gdyby ratunek nikomu potrzebny nie był.

Tymczasem są cele i ludzie, umiejący wycisnąć z Galicyi setki tysięcy guldenów. Ojcowie jezuici założyli z upoważnienia papieża klasztor a w nim scholastykat swego zakonu w Chyrowie. Późniéj przybyła myśl urządzenia w cieniach murów klasztornych pierwszéj w Galicyi prywatnéj szkoły męskiéj średniéj. Aż 800 chłopców ma czerpać wiedzę i umiejętność życia z tego źródła. Dotychczas wydano na budowę gmachu 300 tysięcy guldenów, a podobno potrzeba

jeszcze 200-u i ojcowie nie wątpią, że takowe się znajdą. Naturalnie kopalnią i bankiem są kieszenie zamożnéj szlachty. Tylko, czytelnicy, nie narzekajcie na jezuitów, oni robią co do nich należy.

Ach ta Galicya! Muszę powtórzyć ten okrzyk za powracającymi z wakacyjnych wycieczek, tylko z innych racyi. Z powodu spraw jéj męczy mnie również pytanie, ani mniéj ważne w téj chwili, ani mniéj trudne tu w téj chwili do roztrzygnięcia, jak najzawilsze kwestye metafizyczne lub teologiczne. Kto ma racyą w sprawie naftowéj? Kraj cały krzyczy, gazety wrzeszczą, że rząd, a w pierwszéj linii minister skarbu, rodak, p. Julian Dunajewski gospodarką swoją prowadzą bogactwo krajowe prostą drogą do przepaści. Istnieje przekonanie, że w Wiedniu wszyscy ulegają w sprawach wewnętrznych wpływowi Pesztu. W Peszcie robią interesy na handlu i rafinadzie (podobno tylko odfarbowywaniu falsyfikatu) nafty kaukaskiéj i dla tego nie chcą cła dla tego produktu, co zabija odpowiedni przemysł w Galicyi. Kto pamięta, jak wiele onego czasu liczono na naftę, kto wie, jaki jest to istotnie ważny produkt w gospodarstwie krajowém, ten rozumie łatwo, że upadek jego byłby koroną ruiny. Wśród przedsiębiorców ruch i popłoch, wiele kopalni zamknięto; 18 b. m. odbył się w Gorlicach zjazd nafciarzy, i uchwały swoje skierował przeciwko ministrowi skarbu i części koła polskiego. P. Dunajewski ma, według zapewnień powszechnych, działać świadomie ze szkodą kraju, gdyż lęka się, w razie zatargu z Węgrami, upadku ministeryum i dymisyi; są naturalnie i tacy, którzy widzą daleko gorsze pobudki. Koło polskie mogło łącznie z wolnomyślną lewicą obronić interesy nafty galicyjskiéj, nie zrobiło jednak tego (pomimo opozycyi mniejszości), gdyż—według zapewnień oburzonych—doprowadziłoby by to prawdopodobnie do rozwiązania Rady Państwa, a posłowie dzisiejsi lękają się upadku przy nowych wyborach. Celem głównym pocisków jest jak zwykle p. Kazimierz Grocholski, który nb. przy żadnych wyborach upaść nie może i o tém dobrze wie. Gdyby rzeczywiście p. Dunajewski działał tak świadomie ze szkodą kraju ojczystego, jak mu to zarzuca głos opinii publicznéj, to nietylko byłby kandydatem do pogardy powszechnéj, ale zasługiwał by na karę fizycznie dotkliwszą. Większość koła polskiego niewartą by była jednego dobrego słowa. Trzeba jednak pamiętać, że głos ogółu jest bardzo skory do uniesień, do potępień, posądzeń, i gdy mu raz pokażą jedną stronę rzeczy, to nie jest zdolny do samego końca zwrócić uwagi na drugą. Nie słyszeliśmy głosu obrony posądzanych, nie znamy bliżéj sprawy, dla tego, ani usprawiedliwiać, ani potępiać nikogo tu nie chcemy. Wiemy tylko z niejednokrotnych doświadczeń, jak często rzecz, uznana za oczywistą prawie przez wszystkich, miała inną stro-

nę; i że właściwie ją pojmowali ci, których okrzyczano na zdrajców, przeniewierców itd. Trudno nam przypuścić, nie wierzymy nawet stanowczo, aby p. Dunajewski i większość koła polskiego kierowała się takiemi niskiemi pobudkami. Rządzenie krajem, regulowanie jakiejkolwiek gałęzi spraw jego jest rzeczą bardzo skomplikowaną i trudną, opinia publiczna nie zawsze na tém znać się może, sąd též jéj w bardzo wielkiéj ilości wypadków bywa błędny. Im kto więcéj robi, tém więcéj daje sposobności do oburzania się.

Dzisiejsze krzyki na p. Dunajewskiego przypominają nam, że niegdyś pod pręgierzem stal marszałek Zyblikiewicz. Czego o tym człowieku nie powiedziano w swoim czasie: ambitny, arbitralny, politycznie podejrzany (przyczynił się, że komuś kazano wyjechać z Krakowa), nawet złodziéj, bo kazał obraz z sali sejmowéj przenieść do swego mieszkania. Odnowienie Sukiennic uważano mu niemal za zbrodnię, robota była fuszerska i gustu ani za grosz. Nigdy nie urządzał konkursów, ale poruczał komuś ułożenie planu i wykonanie, a pilnował sam. Widziano w tém niemal dążenie do despotyzmu i głośno mówiono o jakiś machinacyach brzydkich. Dziś już mało kto wątpi, że p. marszałek jest bardzo zasłużoną osobą i zrobił dla Krakowa i dla całéj Galicyi więcéj, niż ktokolwiek bądź inny. Ulegając zaś głosom opinii wyglądał by jak młynarz z bajki. Bylibyśmy teraz już z pewnością bliscy pomnika Mickiewicza, gdyby ta sprawa poruczoną była w ręce Zyblikiewicza wyłącznie. Tymczasem zbiorowa praca okazała się jałową, uwielbiona droga konkursu doprowadziła do matni, do jakiegoś węzła, który przeciąć chyba trzeba będzie, bo się rozplątać nie da. Komitet wykonawczy sam abdykował, nie zrobiwszy nic. Potępiają go za to; my ani dziwić się, ani oskarżać go nie mamy ochoty. Trzeba być obdarzonym wyjątkowo silną wolą, jak Zyblikiewicz, dbać tak jak on jedynie o przyniesienie korzyści sprawie publicznéj, aby, siląc się nad roztrzygnięciem zadania wcale nie łatwego, znosić spokojnie lekkomyślne krytyki, drwinki, krzywdzące posądzenia tych wszystkich, którzy najlżejszego pojęcia o trudności zadania nie mają.

Jaki przykry, jaki anormalny jest rozdźwięk, wciąż dający się słyszéć w Galicyi pomiędzy ogółem i jego przedstawicielami. Ci ostatni zajęli przecię swoje miejsca wskutek woli narodu, zkądże więc taki nieustający brak zaufania? Jestto albo dowód rozgoryczenia i lekkomyślności, która krzywdzi posądzaniami tego, kogo wczoraj darzyła całem zaufaniem; albo też może ci, którzy mówią i piszą, nie wyrażają wcale zdania tych, co wybierają.

Ale bądź co bądź, Galicya jest tym szczęśliwym zakątkiem, na który można dużo gderać, żalić się, ubolewać nawet, ale z życia któ-

rego można zanotować i fakty dodatnie. Świeżo rada miejska we Lwowie postanowiła pomimo opozycyi namiestnictwa otworzyć z początkiem roku szkolnego 1886/7 cztero - klasową szkołę rusińską. Doszło z tego powodu do czułych objawów uznania i sympatyi, a nawet rusińscy korespondenci do gazet polskich są teraz jakgdyby nieco pobłażliwsi dla nas.

10 czerwca uczniowie profesora Liskego założyli we Lwowie *Towarzystwo Historyczne*. Początki takowego datują się jeszcze od 1881 roku, kiedy święcono dziesięciolecie założenia przez tego profesora seminaryum historycznego. Złożono wtedy 200 guldenów i postanowiono wydać książkę zbiorową. Projekt jednak odwlókł się, a późniéj upadł, wobec nowéj myśli ufundowania czegoś trwalszego. Założono więc obecnie towarzystwo, obierając pr. Liskego dożywotnim prezesem. Ma być wydawane pismo peryodyczne kwartalne „Przegląd historyczny,“ gdzie uwzględniane będą przedewszystkiém dzieje Rusi Czerwonéj. Rusini przyłączyli się do wspólnéj pracy. Pr. Liske jest od lat kilku chory, pomimo to nie przerwał kierownictwa seminaryum i uczniowie zbierają się w sypialnym jego pokoju.

W 19 numerze „Kraju“ z r. b. znajduje się artykuł naczelny, zatytułowany *O kształceniu naszéj młodzieży akademickiéj* i zawierający ostrą krytykę stosunków uniwersyteckich we Lwowie i Krakowie. Zaraz po otrzymaniu tego numeru, w Warszawie szemrano po cichu, że autor, wspomniawszy z uznaniem o galicyjskiém wydawnictwie pedagogiczném „*Muzeum*,“ ani słówkiem nie zaznaczył istnienia innego pisma, poświęconego sprawom wychowania i oświaty, które wychodzi w daleko trudniejszych warunkach, bez pomocy mecenasów ani instytucyj żadnych, jedynie dzięki staraniom a nawet poświęceniu gromadki niezamożnych „belfrów.“ Chociażby nawet pismo samo nie zdołało treścią swą zyskać uznania surowego krytyka, to powinna go była ująć ta okoliczność, że jest to jedyny owoc pracy na bardzo ważném polu, i że, gdy nie robią ci, co by mogli robić lepiéj, to nie należy potępiać tych, którzy starają się jak mogą i nie opuszczają swego stanowiska, nie szczędząc czasu, pracy i pieniędzy.

Ostra krytyka i zarzuty, uczynione w wymienionym artykule w „Kraju“ uniwersytetom krakowskiemu i lwowskiemu, streszczają się w następujących ustępach. „Przedewszystkiém, katedry nasze, z wyjątkiem niewielu przykładów istotnie dodatnich, przedstawiają synekury dla niedołęstwa, które nic wspólnego z nauką nie ma, które stanowi jedynie szaniec obronny obskurantyzmu, tak bujnie porastającego na uniwersytecie lwowskim“... „Nadto, każdemu, ktoby się pragnął bliżéj zapoznać ze stanem wykładów w uniwersytetach

naszych, radzimy dostać sobie dla przejrzenia zapiski paru przedmiotów, albo zastanowić się chociażby nad tym faktem, że pomimo, iż różne przedmioty naukowe wykładają się z katedry po lat kilkadziesiąt i przeto nie można się uskarżać na brak sposobności lub czasu na ułożenie kursów, przecież ani te kursy, ani ich części, wcale się nie ukazują w druku na widok publiczny"... „Pracownie naszych uniwersytetów są w najopłakańszym stanie, a w wielu wypadkach wcale nie istnieją. Świeży to fakt przecież, że profesor fizyologii (mowa o Gustawie Piotrowskim; przypis. „Ateneum") po dwudziestoletnich wykładach w tym samym uniwersytecie, przekazał potomności pustą pracownię, na którą od czasu do czasu otrzymywał subsydya i, naturalnie, nie wykształcił ani jednego fizyologa. Jeszcze bardziéj znanym jest fakt nienormalny, że oba uniwersytety ostatniemi czasy najlepsze siły swoje pozyskały z zewnątrz, w uczniach Szkoły Głównéj, lub cudzych uniwersytetów". Autor uwzględnia różne przeszkody zewnętrzne, paraliżujące działalność profesorską, szczególniéj skromne zasoby materyalne uniwersytetów i tem tłómaczy, dla czego „profesor, zmuszony przerzucać się od przedmiotu do przedmiotu i wykładać kilkanaście godzin w tygodniu, ostatecznie schodzi do roli pospolitego belfra, który kurs swój recytuje według pierwszego lepszego podręcznika i cieszy się, gdy po przezwyciężeniu pierwszych trudności, może potem z roku na rok powtarzać raz sformułowane zapiski".

Wśród licznych zalet, „*Kraj*" ma tę wielką zasługę, że dostrzega, wyszukuje i podnosi, zwykle ze znajomością rzeczy i gruntownie, różne kwestye, pomijane przez inne pisma. Dotąd o stanie uniwersytetów polskich słyszeliśmy nieco od skłonnych do bezkrytycznego entuzyazmu korespondentów pism zachowawczych i ze zjadliwych przycinków sprawozdawców postępowych. Autor artykułu w „Kraju" nie dał wprawdzie dużo faktów i oskarżenie wygłosił bardziej ogólnikowo, ale sformułował je wyraźnie i co najważniejsza, z punktu potrzeb nauki, nie ze względu jakichś doktryn polityczno-socyalnych, lub filozoficznych. To umożliwiło dyskusyą, która się też natychmiast wywiązała i która ogół czytający może poinformować o wielu bardzo ciekawych szczegółach.

W num. 25 „*Prawdy*", p. M. z Krakowa zaprotestował w artykule „W obronie krzywdy" przeciwko sądowi o ś. p. Piotrowskim. Dowiadujemy się ztamtąd, że zmarły profesor dostawał tylko 600 zł. reńsk. rocznie na pracownią, w którą — według zapewnienia p. M. — wszystko to wkładał i „z której wyszedł cały długi szereg prac profesora i uczniów". Prace te są porozrzucane w wydawnictwach Akademii umiejętności i w pismach fachowych. Odpierając zarzut,

że Piotrowski nie wykształcił następcy, p. M. cytuje 8 nazwisk asystentów i uczniów profesora, z których wszyscy żyjący zajmują dziś wybitne stanowiska. Obrona wykazuje, że nieboszczyka profesora o nieogłoszenie kursów winić nie można, bo wydał własnym nakładem w 1863 roku pierwszy tom dzieła p. t. *Fizyologia ludzka w zarysie*, lecz straty pieniężne uniemożliwiły dalszą publikacyę. Niedrukowane zaś części zostały wylitografowane staraniem studentów.

W obronie uniwersytetów galicyjskich wystąpił również prof. Rostafiński, drukując obszerny list w numerach 25 i w 26 „Kraju“. Z listu tego dowiadujemy się o wielu bardzo ciekawych szczegółach, dotyczących wszechnicy krakowskiéj. W N-rze 28 „Kraju“ znajduje się znowu odpowiedź autora, który pierwszy sprawę tę podniósł. Pr. Rostafiński zwraca uwagę, że, mówiąc o uniwersytetach w Galicyi, należy uwzględnić przeszłość (co zresztą publicysta „Kraju“ również bierze pod uwagę). Epoka, sprzyjająca rozwojowi, zaczęła się od niedawna; przedtém wszystko składało się, aby poziom naukowy we wszechnicy krakowskiéj obniżyć do ostatnich granic. Reformy, jeżeli mają być gruntowne, muszą odbywać się powoli; a jednak wiele już zrobiono, popowstawały pracownie nowe, stare wciąż się ulepszają, potworzono seminarya i co roku niemal przybywa ich więcéj. Skład ciała nauczającego powiększył się znakomicie. W roku 1845 było profesorów 25, w 1855 — 33, w 1865 liczba profesorów i docentów doszła do 45, w 1875 — do 56 i nareszcie w 1885 — do 92.

Publicysta „Kraju“, zwracając uwagę na fakt, że uniwersytety galicyjskie często w ostatnich czasach uciekały się o pomoc na zewnątrz i obsadzały katedry wychowańcami innych szkół, tém samém zbił, a przynajmniéj osłabił zarzut, iż posady profesorów są synekurami dla niedołęstwa. Staranie się o siły prawdziwe i wyszukiwanie takowych dowodzi, iż nepotyzm i protegowanie niedołęstwa zjakichkolwiekbądź względów nie istnieje; pr. Rostaf. zwraca uwagę, że na najpierwszych uniwersytetach zdarza się powoływanie profesorów z zewnątrz; jest to bardzo dobry i pożądany zwyczaj, gdyż chroni od jednostajności i pozwala na wybranie siły najlepszéj z daleko szerszego koła. Można byłoby przytoczyć wiele przykładów powoływania w bardzo kwitnących uniwersytetach na katedry uczonych z obcego kraju, oraz takich wypadków, że uczeni profesorowie umierali, nie zostawiwszy godnych następców. Wspomnę tu tylko o Emilu Plantamour, który był istotnym mężem nauki, wielkim pracownikiem, doskonałym pedagogiem nawet, a jednak osierocona po nim katedra obsadzona jest zastępczo już od lat 3-ch wcale nie przez ucznia nieboszczyka.

„Dobrze się dzieje—pisze p. R.—że szukamy rodaków, nie pytając, gdzie się rodzili i uczyli, ale *co umieją i co naukowo obiecują* (1). Pomyłka, jak wszędzie, tak i tu, możliwa, zawód spotkał nas może nie jeden; ale stanowczo i śmiało twierdzić mogę, że po za dobrem i honorem uniwersytetu, żadne względy nie odgrywają tu roli i nie byłbym wcale w kłopocie o przytoczenie przykładów, jak nieraz po kilka lat nie obsadzano katedr, czekając właśnie na człowieka nauki i charakteru zarazem, jakim powinien być członek uniwersytetu“.

Prof. Rostafiński cytuje wiele nazwisk znanych (co prawda, niektóre względnie tylko zasłużone) na świadectwo, że krakowska wszechnica wydała nie małą liczbę uczonych, i wymienia kilku profesorów, prace których pozyskały rozgłos i uznanie w nauce świata. „Miałem zamiar — dodaje szanowny botanik — przesłać przy niniejszém spis prac profesorów, docentów, asystentów i uczniów naszego uniwersytetu, ogłoszonych drukiem w ostatnich pięciu latach, rychło jednak musiałem go zaniechać wobec tego, że spis urosłby bodaj w książkę bibliograficzną“.

W odpowiedzi przez „Kraj“ ogłoszonéj czytamy, że wiele z prac profesorskich posiada wartość mizerną, inne gromadzą faktyczny materyał i do teoretycznych wykładów wejść nie mogą, jeszcze inne nareszcie, jako drukowane w obcych językach, na młodzież oddziaływać nie są wstanie, a krytykowi o to głównie chodzi. Zapewne, tak jest, ale czy wobec tego może się utrzymać w swéj doniosłości zarzut ogólnie wygłoszony, iż profesorowie uniwersytetów galicyjskich „recytują kurs swój według pierwszego lepszego podręcznika“ i powtarzają stereotypowo z roku na rok raz sformułowane zapiski. Można być doskonałym profesorem uniwersytetu i gruntownym znawcą jakiegoś przedmiotu, nie będąc orlem, zdolnym do tworzenia nowych, lub nawet rozwijania istniejących już teoryi; fakt jednak jakiegokolwiek udziału w posuwaniu nauki, choćby tylko zbieranie faktycznego materyału, dowodzi udziału w życiu umysłowém,

---

(1) Muszę tu wyrazić żal, że uniwersytety, tak gościnne dla rodaków-profesorów, są częstokroć fortecami nie do zdobycia dla rodaków-uczniów. Doprawdy, nie wiem, co trudniejsze, czy przejście przez ucho igielne, czy skończenie gimnazyum w Warszawie, czy dostanie się do uniwersytetu krakowskiego dla Polaka nie galicyjskiego pochodzenia. Pan Rost. wie także coś o tém. Zapewne, słuszne jest nieraz pozbywanie się zarażonych owiec, ale niechby o zarazie orzekal ktoś kompetentny, a nie wszechwładny p. Englisz, który od nauki odgonił już niejednego obiecującego młodzieńca. A prócz tego, któż ma leczyć wykoślawione umysły, jeśli nie szkoła; społeczeństwo chyba słusznie tego domagać się może.

(Dodajmy wszelako, że i wybór profesora czasem nie dochodzi do skutku, jeśli mu p. Englisz odmówi swego *placet*. — Przyp. red. „Ateneum“).

w rozwoju pewnéj gałęzi wiedzy, co przecie nie pozwala na zostanie maszynką, powtarzającą stereotypowo wciąż jedno w kółko.

„Kraj“ ma racyą, obniżając zbyt optymistyczne nieraz wywody pr. Rost. i zwracając uwagę na ugorujące oddawna zagony wiedzy i na zaniedbanie na różnych polach, chociaż jest niesprawiedliwy, przykładając, dla stwierdzenia słów swoich, miarę, wziętą ze stosunków zachodnich, do naszéj biedy. Niepodobna wytworzyć w Krakowie tego, co się dzieje w Paryżu. Pp. Malinowski, Liske i inni mają stosunkowo nie mniéj uczniów, przynoszących im chlubę, jak Regnault, lub Haeckel. Pamiętać trzeba, że według stawu grobla.

Jakkolwiek niezupełnie ściśle utrzymuje autor z „Kraju“, że wielu znanych uczonych polskich nie jaśnieje na katedrach polskich jedynie dla tego, że nie chce się zanurzać w duszną i odstraszającą atmosferę galicyjską (1), to jednak ma najzupełniejszą racyą, iż atmosfera ta zdrową nie jest. Świadczy o tém nie tylko biskup, który może występować po za amboną z potępieniem dla nauki profesora (choć, co prawda, uniwersytet, wybierając tegoż profesora na dziekaństwo, dowiódł, że oburzenia pasterza do serca nie wziął), ale także znana nietolerancya potentatów uniwersyteckich. Wierzę mocno, że decydując się na wybór prof. Wróblewskiego, lub Cybulskiego, miano na względzie jedynie naukowe zasługi; ale czy można ręczyć, iż na nie tylko zwracanoby uwagę, gdyby chodziło o profesora filozofii? Czy profesor, któryby się ośmielił wygłosić publicznie przekonania niezupełnie zgodne z przepisami obowiązującéj prawomyślności, nie potrzebowałby się spodziewać nic więcéj po nad teoretyczną krytykę? Bardzo być może, że sfery rządzące uniwersytetem, ścigając wrogie im myśli, robią to, co im każe obowiązek: tem nie mniéj jednak taki stan rzeczy nie sprzyja samodzielnym pracom, krępuje twórczość, wyklucza dla względów nienaukowych pewną ilość sił.

Zarzut, zrobiony w „Kraju,“ że profesorowie nie publikują kursów, odpiera p. R. w ten sposób, że zwyczaj, który by obowiązywał wykładających do wydawania swych wykładów, istnieje może gdzieindziéj, gdzie drukowanie tego rodzaju książek daje materyalne zyski, ale gdzie indziéj nie istnieje, a w Galicyi szczególnie jest niemożliwy ze względu na pewność strat, których by nie miał kto po-

---

(1) Np. p. Laskowski jest anatomem, katedra anatomii jest jedna tylko, w Krakowie, którą zajmuje p. Teichman i wcale nie zasługuje na usunięcie. Pr. L. proponowano posadę w projektowanym wydziale medycznym we Lwowie; proponowano tam również katedrę pr. Nenckiemu (obu tych uczonych autor wymienia) i ten zgodził się, ale wydział medyczny nie został otwarty.

krywać. Krytyk z „Kraju“, zdziwiony twierdzeniami oponenta, cytuje znaczną liczbę książek w różnych językach, które są reprodukcyą wykładów. Kto wie, czy na tym punkcie nie nastąpiło nieporozumienie. Na uniwersytetach niektórych istnieje zwyczaj nieustannego wydawania kursów, litografowanych lub nawet drukowanych, które zawierają każde niemal słowo profesora. W Warszawie studenci wyjednali sobie prawo naśladowania tego zwyczaju dopiero od lat kilku i wtedy, a zapewne, i dzisiaj oni narówno jak prasa uważali to za wielki tryumf. Kursy podobne nie są takimi podręcznikami jak francuskie, lub niemieckie, które „Kraj“ cytuje, lub przynajmniéj nie grają téj roli. Kurs taki służy dla jednego tylko profesora, dla jednego uniwersytu; wychodzenie chociażby najczęstsze nie świadczy w tym wypadku o zasługach wykładającego, gdyż z każdego przedmiotu często sami studenci robią to dla siebie. Autor z „Kraju“ wie dokładniéj niż ja i prof. Rostafiński, że podobne „zapiski“ często są świadectwem nicości i nieraz nie są warte lepszego losu jak wyścielanie szuflad w brudnych stołach i owijanie lichszych sprawunków. Dla tego téż zapewne o nich nie myślał. Podobne kursy są istotnie plagą nauki i nieszczęściem dla młodzieży. Wiedząc, iż każde słowo profesora zostanie wylitografowane, ogromna ilość studentów nie chodzi na wykłady, nie ma kiedy i jak zainteresować się nauką; klęskę tę potęguje jeszcze system egzaminów, który tygodnie całe daje na przygotowanie się. Można przez cały rok budować zamki fantastyczne, a późniéj zdawać egzaminy. Student nie potrzebuje wcale zapoznawać się osobiście z literaturą przedmiotu, niepotrzebuje zaglądać do prac specyalnych, aby się o czém dowiedzieć i zrozumieć *własne* notatki: ma on wszystko w „zapiskach“, które za 75 kop. nabywa. Zamiast studyować przez lat 4-y, kuje on przez kilka miesięcy. Student taki ani się nie domyśla, że w ten sposób lekceważy swoje obowiązki, nie przygotowując się według sił do zawodu, w którym ma pracować dla społeczności; mając wiele czasu na zajmowanie się sprawami, których doniosłości nawet zrozumieć nie jest wstanie, zostaje zaraz na pierwszym kursie, prorokiem, niedostępnym dla żadnych wpływów ludzi dojrzałych. Taka rozpusta umysłowa, brak dyscypliny naukowéj wraz z gorączką najszlachetniejszych, ale niczém nieregulowanych uczuć, wykoślawia umysły i kaleczy je często na całe życie. Podobnie dobroczynne kursy na zachodzie nie są wydane (wyjątek stanowi, zdaje mi się, dla specyalnych jakichś racyi zapewne, paryska szkoła politechniczna, gdzie litografowane kursy są w użyciu, choć może innem niż w uniwersytetach rosyjskich). Przypuszczam, że pr. Rostafiński, mówiąc o szkodliwości nie chodzenia na lekcye i „dębieniu“ późniéj z książ-

ki, miał na myśli takie właśnie *zapiski*, które, jestem pewny, równie stanowczo potępia autor z „Kraju.“ Rzecz prosta, że po za tém podręczniki uniwersyteckie, książki, obejmujące usystematyzowanie całéj danéj gałęzi wiedzy, są potrzebne; profesor wykładający potrafi książkę taką ułożyć lepiéj niż kto inny, i naturalnie swój wykład, uważając za najlepszy, zarekomenduje innym. Każdy profesor ma jakiś kurs, mało jest nicości, które zrozumieją, że nienależy pokazywać światu czego się nie umie, główną też przyczyną nieukazywania się podręczników jest brak wydawców i brak kupujących. Tak naprzykład, o ile wiem, prof. Franke ze Lwowa nie wydawał kursu wykładanéj przez siebie mechaniki, i mógłby uledz zarzutowi: tymczasem, gdy kasa Mianowskiego dała nakład, podręcznik odpowiedni, ułożony przez tegoż profesora, wnet oddany został pod prasę drukarską. Dotychczasowy więc brak książki szkolnéj wynikał z przyczyny, nie mającéj nic wspólnego z lenistwem lub niezdolnością. Nie podobna nawet przypuszczać, aby wielu profesorów galicyjskich nie mogło, lub nie chciało zdobyć się na wydanie kursu; wymienię tylko p. Godlewskiego, botanika z Dublan, szeroko znanego w świecie nie tylko z gromadzenia faktycznych materyałów. Kursy na zachodzie nie drukują się jak „zapiski“ na wschodzie dla ułatwienia uczniom zdania egzaminu; znakomite dzieła Sturma Analizy matematycznéj i Mechaniki wyszły dopiero po jego śmierci, mają kilka wydań i są używane powszechnie. Student potrzebuje podręcznika, ale gdy ten nie odpowiada ściśle obowiązującym go wykładom, musi chodzić na lekcye, notować, porównywać, dowiaduje się o różnych punktach widzenia, poznaje różne sposoby dowodzeń nie znalazłszy czegoś w jednéj książce musi szukać w drugiéj, a nieraz zajrzéć i do monografii. Uczy się pracować. Że na zachodzie ukazywanie się książek, zawierających wykłady profesora, zależy od wydawcy, tego daje nam dowód zupełnie wyraźny literatura francuska. Znana firma *Gautier-Villars* wydaje rocznie mnóstwo kursów z zakresu nauk ścisłych; są to wyłącznie niemal prace profesorów paryskich, rzadko kiedy spotkać się można z autorem z Marsylii lub z Montpelier. Tłómaczy się to większą w stolicy łatwością o nakładcę, który, ciągnąc znaczne zyski, zachęca, prosi i prędzéj wydaje rzecz bardziéj znanego nazwiska, co znowu z drugiéj strony zniechęca profesorów zamieszkałych na prowincyi. W uniwersytecie genewskim, obsadzonym starannie, pielęgnowanym przez rząd i naród, niezależnym zupełnie, żadne prawie kursy nie wychodzą. I niekoniecznie dla tego, że Paryż zadowalnia potrzeby, bo naprz. francuska literatura ubogą jest w podręczniki astronomii; do ostatnich czasów były rzeczy oryginalne ale stare i jedno tłómaczenie; dopiero

w ciągu ostatnich lat wyszło kilka książek. Tymczasem w Genewie wykładał astronomię przez lat kilkadziesiąt wspomniany wyżéj Plantamour, miał kurs świetnie ułożony, przed uczniami ubolewał na brak książek i swego kursu pomimo to nie wydrukował; gdyby był w Paryżu, z pewnością astronomia z jego nazwiskiem miałaby już wiele wydań.

Łatwo zrozumiéć, że w Galicyi na książkę naukową znaléść nakładcę bardzo trudno. Przykład, iż w Warszawie wydano Logikę Baina i Fizykę Daniela, niczego nie dowodzi. Bo jeżeli nawet nie jest to wypadkowe i powiedzie się, to dopiero może zachęci wydawców; rzeczywiście w ostatnich czasach książki naukowe są jak gdyby bardziéj kupowane (naprz. Geometrya Analityczna pr. Zajączkowskiego), to téż i ruch się ożywił, ale na wyraźniejsze skutki poczekać jeszcze należy.

Spodziewać się można, że za dobrym przykładem „Kraju" pójdą inne pisma i kompetentni ludzie otoczą kontrolą i opieką moralną sprawy uniwersytetów polskich. Doprawdy dziwne to, iż o nich tak mało myślano. Zapewne téż nieraz jeszcze z tego powodu ogół usłyszy dysputy. Ale w takim razie życzyć by należało, aby ta nawet, jak na naszą praktykę niewielka ilość docinków, złośliwości, posądzeń i t. p. polemicznych ozdób, jakich w tym razie użyto, nie powtórzyła się. Zbyt to rzecz ważna, zbyt blisko nas obchodzi, aby przeszkadzać drażnieniem siebie i innych do wydobycia na wierzch prawdy. Pan M., podejmując się godnéj uznania obrony nieżyjącego człowieka, mógł był powstrzymać się od najzupełniéj niewzmacniających jego dowodzeń takich epitetów, jak „obskurant", „kłam oszczercy". Jacyśmy krewcy! Pan Rostafiński, choć traktował rzecz spokojniéj niż inni, téż od zarzutu wolny nie jest, a témbardziéj autor z „Kraju." Nie rozumiemy doprawdy, co go mogło rozdrażnić że aż z tego powodu robi złośliwe uwagi. Szkoda, bo „Kraj" nie uległ polemikomanii warszawskiéj. W pierwszym głosie jest zwykle spokojnym, ale w replikach zdarza mu się dochodzić do tonu irytacyi lub uporu.

Nawet w sprawach osobistych, dotyczących honoru i uczciwości, można mówić spokojnie i z taktem. Przekonał nas o tém wydawca „Dziennika Łódzkiego" p. Stefan Kossuth, inżynier-technik. Jest-to człowiek ruchliwy i niejednokrotnie widzieliśmy go, krzątającego się na polu służby publicznéj. Za jego inicyatywą powstało i przez parę lat żyło „*Biuro dla szukających pracy*", on założył „Przegląd Techniczny". Gdy się jakiś czas uczciwie przykłada ręki do wspólnéj pracy społecznéj, ma się prawo późniéj wymagać od roda-

ków zaufania. P. Kossuth w dalszym ciągu swéj działalności rozpoczął wydawać w Łodzi pismo, a to w celu służenia tam polskiemu żywiołowi, zahukanemu przez obce pierwiastki. Zdawało się że pisma polskie, dla których nawet konkurencyą „Dziennik Łódzki“ nie jest, będą pomagać koledze, zajmującemu taki trudny posterunek. Ale od czegoż ferwor polemiczny i fantazya warszawska! Zaczęto więc oskarżać pismo o schlebianie kapitałowi obcemu, o pachołkowanie Niemcom i t. p., jak to my umiemy. Jakiś głęboki socyolog-felietonista lżył i wprost domagał się, ażeby „Dziennik“ został tém, czém on sobie życzy. „Rola“ naturalnie ostatnią nie była. Doszło nareszcie do oskarżenia o oszustwo. P. Nowakowski, krawiec, zawiadomił „Rolę“, iż fabryka Szajblerów sprzedaje perkal mniejszéj szerokości niż głosi cennik. P. Jeleński oskarżenie rozdął i wykazywał z wielkiemi szczegółami jacy Niemcy-fabrykanci są oszuści i jak ufać nie można pozorom spolszczenia się. „Dziennik Łódzki“ krótko wyjaśnił, że oszustwa nie było, bo perkal się kurczy po zdjęciu z krosien i w bieleniu, i kurczy się niejednostajnie, w cenniku nie można podawać szerokości każdéj sztuki, wszystkie więc wyroby tego rodzaju podzielone są w handlu na kilka kategoryi, według zawsze większéj szerokości postawu. Jak zwykle tłómaczenie dolało oliwy do ognia, „Rola“ nietylko przekonaną nie została, lecz „Dziennik“ usłyszał kilka miłych rzeczy, przyczém zrobiono go wspólnikiem oszustwa, nazywając organem szajblerowskim. Wobec takiego oskarżenia trudno zachować zimną krew, a jednak p. Kossuth ją zachował i artykuł jego „Z powodu polemiki o szerokość perkalu“ (Dzien. Łódz. Nr. 132—138) jest wzorem właściwego traktowania rzeczy. Nietylko spokojnie, obiektywnie i przekonywająco, wytłómaczył rzecz, ale potrafił nawet być pobłażliwywm dla „Roli“, postawić się na jéj miejscu, zrozumieć przyczyny i pobudki jéj błędów.

W artykule p. Kossutha potrącone są przytém inne sprawy z jędrnością, w któréj czuć człowieka czynu. Mówi o sprawie żydowskiéj i o stosunku do Niemców; szczególnie jednak ciekawe są jego uwagi o prasie warszawskiéj, o jéj zachowywaniu się względem pracy społecznéj i względem pism prowincyonalnych i t. d. Czytamy tam: „Daleko bardziéj przykrą (niż napaści „Roli“) i zniechęcającą jest obojętność, z jaką zadanie przez „Dziennik“ podjęte, traktowaném jest przez te pisma warszawskie, z któremi „Dziennik“ nie różni się w zasadach“... „Z małemi wyjątkami żadna sprawa, poruszona w „Dzienniku“ nie znalazła należytego odgłosu, dalszego wyjaśnienia, sprostowania lub rozwinięcia w prasie warszawskiéj“... „Zakładając pismo ekonomiczne w ognisku wielkiego przemysłu, z różnorodnych żywiołów złożonego, który czy z dodatniéj, czy z ujemnéj strony

nie może być dla kraju obojętnym, spodziewaliśmy się ze strony prasy warszawskiéj przynajmniéj zainteresowania się poruszanemi w „Dzienniku“, sprawami i stosownéj krytyki z szerszego stanowiska ogólnych interesów kraju. Obojętność ta ze strony prasy warszawskiéj odnosi się zresztą nietylko do spraw, wchodzących w zakres działalności „Dziennika“. Doznają jéj wszystkie prawie sprawy prowincyonalne, nieznajdujące w ogólności należytego uwzględnienia w prasie warszawskiéj. Tymczasem działalność społeczna nie kończy się za rogatkami Warszawy“. Stołeczni pisarze o tyle tylko uważają prowincyą i jéj prasę za godną uwzględnienia, o ile ta dostarcza materyału do kroniki wypadków nadzwyczajnych.

P. Kossuth twierdzi, że pisma warszawskie spełniają swoje zadanie w stosunku do szczytów potrzeb społecznych, to jest dbają należycie o rozwój sztuk i nauk, ale o podstawach, o rozwoju ekonomicznym nie pamiętają. „Niektóre podają wprawdzie artykuły ogólnéj treści ekonomicznéj, ale i w tym zakresie przeważa literackie traktowanie przedmiotu“.

Szanowny inżynier ulega złudzeniu: wszystko jest u nas przez prasę jednakowo traktowane. O sztuce i nauce piszą się równie bezwartościowe literacko dyletanckie fantazye, jak i o sprawach ekonomicznych. Lekkomyślność, brak taktu, jest jednakowo wielka w każdym wypadku. Weźmy przykład. Oto chłop polski dostał nagrodę na konkursie na pomnik Mickiewicza. Zdawałoby się, że radosne okrzyki prasy gwiazdami winny były wstrząsnąć. Była to świetna zapowiedź dla sztuki naszéj, odkrycie niby nowéj żyły, obiecującéj bogactwa bez końca. Było w tém istotnie coś rozrzewniającego i dodającego otuchy, że człowiek ze stanu, który w historyi odgrywał ostatnią rolę, potrafił zrozumiéć i przejąć się duchem poety, streszczającego najwyższe pragnienia narodu. Prasa zbeształa konkurs, wydrwiła artystę. Ten ostatni wykazał nadzwyczajną niezależność myśli i charakteru, a zarazem szlachetne dążenia prawdziwego artysty. Stanął po raz drugi do konkursu i znowu zdobył nagrodę. Kompetencya i bezstronność sędziów żadnym zarzutom seryo podlegać nie mogła. Prasa i tym razem nie miała nic więcéj dla pana Dykasa nad szyderstwo.

Tak samo z nauką. Człowiek, zajmujący się nią u nas, może być szczęśliwym dopóty tylko, dopóki z wiedzy jego nikt nie korzysta, dopóki rezultaty pracy nie oglądają światła dziennego. Jeżeli los wyplata mu figla i ześle jakiego wydawcę, kończy się spokój na rok cały mniéj więcéj. Pomijam kłopoty, czasem szykany, na jakie bywa narażanym autor nim książka dostanie się na półkę księgarską. To trudno. Pomijam również zdobycie smutnego przeświadczenia,

że ani korzyści się nie przyniesie, ani sławy nie osiągnie—bo książkę poważną mało kto bierze do ręki. Ale od prasy krajowéj ma się prawo domagać, aby rzecz oceniła sumiennie, rozważnie i ze znajomością rzeczy, żeby dopomogła przez swój sąd i radę do dalszéj pracy trudnéj i niewdzięcznéj. O tém u nas ani mowy nie ma. Jakiś fizyk lub geograf noce bezsenne mógł spędzać nad pracą, myśléć wahać się, słowo każde ważyć, tymczasem zdanie o nim wypowiada literat, którego specyalnością jest—skandal, który nic nie wie i nic nie widział, nauczyć nikogo nie może, aby więc zainteresować i być czytanym, musi dawać rzeczy pieprzne. Wyrok zależy naturalnie od tego, w jakim humorze jest krytyk, jaka pogoda na dworzu, jakie go stosunki łączą z redaktorem pisma lub wydawcą i autorem książki. A że w nastroju powszechnym przemaga kwas, a przytém łatwiéj coś zganić, bo to pewniejsze, gdy się mówi o rzeczy nieznanéj, i daje pozory mądrości, więc téż „rznięcie“ góruje nad wszystkiem. Czytając krytyki dziennikarskie, można by było nieraz przyjść do przekonania, że występkiem jest napisanie książki poważnéj po polsku, którego płazem puścić niepodobna. Potém czytelnika ogarnia zdziwienie. Rzecz istotnie osobliwa: książki piszą zawsze niedołęgi, niemal osły, a recenzye—tacy pewni siebie mędrcy. Co prawda, pochwała lub nagana ma w gruncie rzeczy jednę i tęż samą wartość, gdy wygłaszaną jest przez ludzi niekompetentnych. Smutno jednak, bo chwilami zdaje się, iż wśród nas tradycya nawet zanika tego, że pisać należy jedynie o rzeczach znanych piszącemu. Nie tylko publicyści, o jakich wyżéj mówiłem, ale brylanty naszéj literatury, ludzie poważni i uczciwi, rozumiejący i czujący istotne potrzeby, dopuszczają się wykroczeń. Naprzykład Prus połowę kroniki nr. 196 „Kurjera Warszawskiego“ poświęcił popularyzacyi wyższéj matematyki i wykazaniu zasług naukowych matematycznych p. Abakanowicza. Mniejsza o to, że popularyzowanie przypomina język Pytyi, że Prus stracił dużo czasu i miejsca, z których zwykle tyle czytelnicy korzystają. Ale o matematyce nagadał takich rzeczy, że powstawanie włosów na głowie byłoby zbyt słabą oznaką zdumienia. Nie chodzi już o jakieś wnioski fałszywe, ale fakty poprzekręcane są bardziéj, daleko bardziéj, aniżeli to udaje się pensyonarzom funduszu gadzinowego, gdy o sprawach poznańskich świat pouczają. Nawet p. Abakanowiczowi przyjemności sprawić nie mogą pochwały, oparte na takiéj znajomości przedmiotu.

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

---

† Dnia 14 lipca r. b. w Poznaniu dokonał zasłużonego żywota **Ignacy Łyskowski,** obywatel ziemi Michałowskiéj w Prusach Zachodnich, który do podtrzymania życia narodowego w téj prowincyi niemało się przyczynił. Czynem, słowem i piórem służył sprawie publicznéj. W roku 1848 wystąpił pierwszy raz na arenie politycznéj w sejmie frankfurckim, jako delegowany Prus Zachodnich. Następnie brał czynny udział w zarządzie miejscowego Towarzystwa pomocy naukowéj dla młodzieży i w zarządzie Towarzystwa interesów moralnych. Przy zawiązaniu Towarzystwa naukowego w Toruniu, obrany został jego prezesem. Kierował prowincyonalnym komitetem wyborczym; był posłem i to posłem istotnie czynnym na sejm pruski, do parlamentu związku północno-niemieckiego, a wreszcie parlamentu cesarstwa. W ciałach tych prawodawczych przewodniczył on kołu polskiemu, dopóki zdrowia i sił starczyło. Z pod jego pióra w r. 1847 wyszedł zbiorek poezyi, w dwa lata późniéj „Książka dla ludu“, w r. 1854 „Słowa prawdy“ oraz „Pieśni gminne i przysłowia ludu w Prusach Zachodnich.“ Wzorowo gospodarując w rodzinnym majątku, ogłosił wyniki swego doświadczenia rolniczego w książce „Gospodarz“, która trzech wydań się doczekała. Pisał téż po niemiecku o równouprawnieniu języka polskiego w Prusach Zachodnich. Umarł, mając lat 66.

† **Czesław Sławomir Stecki,** autor popularnych utworów dramatycznych, po 28 latach życia pełnego cierpień i zawodów, zmarł 9-go lipca r. b. w Kozienicach. Komedya jego „Rywale proroka“ i obrazy ludowe „Wieczornice“ i „Baśń jesienna“ przedstawiane były na wszystkich scenach prowincyonalnych. W pismach codziennych i tygodniowych pomieszczał poezye, lirycznego zwykle charakteru. Był spółpracownikiem „Gazety Radomskiéj.“ Zostawił w rękopisie tragedyą „Królowa Halikarnasu“ i liczne inne prace.

† **Feliks Czyżewicz,** współpracownik „Kuryera Wileńskiego“ i korespondent pism warszawskich, przeżywszy lat 59, zmarł we wsi Lipowońkach, powiecie bałckim. Pochowany w Hołowanieskiem.



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Czerwca i Lipca 1886 r.

---

1. **Ród Gedimina**. Dodatki i poprawki do dzieł Hr. K. Stadnickiego „Synowie Gedymina“. „Olgierd i Kiejstut“ i „Bracia Władysła-Jagiełły“, przez *Józefa Wolffa*. Krak. 1886, 8-o, str. VIII i 172.
2. **Oddział Warszawski** Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Sekcya II. Sprawozdania meteorologiczne za miesiąc Marzec 1886 r. 4-o. str. 20.
3. **Wieś Świątniki**. (Wiejskie zarysy). Przez *J. K. Gregorowicza*. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki. 1886, 8-o, tom I, str. 264; tom II, str. 172.
4. **Zarys nauki gimnastyki szkolnéj i towarzyskiéj**. Dział siódmy: Ćwiczenia na przyrządach, bez przyborów, bez pomocy lub oporu współćwiczących się. Grupa pierwsza. Skocznia. Skreślił *Antoni Durski*. (z 4 litogr. tablicami). Lwów, 1886, 8-o, str. 84.
5. **Głos publiczności** czyli list otwarty do redakcij wszystkich warszawskich Dzienników i Tygodników ogólnéj treści. Przez *Celsa Lewickiego*. Warsz., 1886, str. 15. (Cena kop. 15, z przesyłką kop. 20).
6. **Oddział Warszawski** Towarzystwa popierania przemysłu i handlu Sekcya IV. Projekt ustawy rzemieślniczéj. Warsz., 1886, 4-o, str. XXXVIII i 37.
7. **Uwagi krytyczne do Mapy poglądowéj Królestwa Polskiego,** ułożonej przez Jadwigę Woycicką, skreślił *W. Nałkowski*, Warsz. 1886, 8-o, str. 40.
8. **„Exsiccator“**. Monografija wyłącznego środka wynalazku inżeniera *Gustawa Rittera*. Wyd. I. Warsz., 1886, 8-o, str. 32.
9. **Ruina Bohojawleńskiéj cerkwi w zamku Ostrogskim na Wołyniu** Przyczynek do dziejów architektury w XVI wieku. Skreślił i rysunkami objaśnił prof. *Władysław Łuszczkiewicz* czł. Akad. umiejętności (z 3 drzeworytami). Krak. nakł. Akademii umiejęt., 1886, 4-o, str. 26.
10. *Stanisław Rossowski*. **Poezje**. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1886, 8-o, str. 128.
11. **Studien über die Descendenztheorie** von *Ludwig Hodoly*. Lemberg, 1885, 8-o, str. 43.
12. **Poezye** *D-ra J. Długoborskiego*. Kijów, nakł. autora, 1886, 8-o, str. 122 + II.
13. *Adolf Dygasiński*. **Z ogniw życia**. Nowelle. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1886; tom I (z podobizną autora), 8-o, str. 247, tom II, str, 188.
14. **Uwaga o modelach na pomnik dla Mickiewicza**, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty. Naszkicował członek Komitetu pomnika dla Mickiewicza *D-r Hubert hr. Krasiński*, 8-o, str. 59.
15. **Oddział Warszawski** Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Sekcya II. Sprawozdania meteorologiczne za miesiąc Kwiecień 1886 r. Warsz. 1886, str. 17.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюля 1886 г.